

# WcN WSZYSTKO CO NAJWAŻNIEJSZE

Idee • Opinie • Debaty

Informacje zamieniamy w Wiedzę

Zbrodnia katyńska to wciąż aktualna przestroga dla wolnego świata przed rosyjskim imperializmem

Andrzej DUDA

s. 7

Bez konstytucji społeczeństwo skazane jest na rządy satrapów i bezmyślnego tłumu

Prof. Jacek HOŁÓWKA

s. 5

Donald Tusk mówił do mnie w 2014 r., że aby podał rękę Jarosławowi Kaczyńskiemu, „Ruscy musieliby stać na granicy”

Rafał DUTKIEWICZ

s. 11

Kogo będzie stać na drodze protezy robotyczne lub selektywne i długotrwałe terapie lekowe?

Giovanni CUCCI SJ

s. 14

Jesteśmy potrzebne do spełnienia parytetu czy suwaka. Prowadzi to de facto do pozbawienia godności

Jadwiga EMILEWICZ

s. 20

## Cywilizacja europejska – najlepszy ze światów?

Ta cywilizacja nie zwraca uwagi ani na moralność, ani na religię. Dąży jedynie do zwiększenia wygód cielesnych, choć nawet w tym ponosi sromotną porażkę

Mahatma GANDHI

Indyjski prawnik, filozof, polityk i mąż stanu, jeden z twórców współczesnej państwowości indyjskiej

### Przesłanie dla Europy

Mieszkańcy Europy żyją dziś w solidniejszych domach niż sto lat temu. Uznaje się to za symbol cywilizacji i wykorzystuje jako element promocji szczęścia cielesnego. Dawniej ludzie nosili skóry i walczyli włócznią. Dziś zakładają długie spodnie i dla ozdoby przywdziewają różnorodne ubrania, a zamiast włóczni noszą w pasa wielokomorowe rewolwery. Jeśli mieszkańcy jakiegoś kraju, w którym do tej pory chodzono w skąpym odzieniu i nie zakładano butów, zaczną ubierać się po europejsku, mówi się, że stali się cywilizowani.

Dawniej w Europie ludzie orali swoje ziemie głównie własnym wysiłkiem. Teraz jeden człowiek może zorać ogromny obszar, wykorzystując moc silników parowych, i w ten sposób zgromadzić wielkie bogactwo. To również uważa się za przejaw cywilizacji.

Dawniej mniej ludzi pisało książki, lecz miały one większą wartość. Dziś każdy pisze i wydaje, co tylko mu się podoba, i zatrzuwa ludzkie umysły. Dawniej ludzie podróżowali powozami; dziś wsiadają do pociągów, które mogą pokonać 650 kilometrów w ciągu jednego dnia. Uznaje się to za szczyt cywilizacji.

Mówi się, że postęp techniki umożliwi ludziom latanie statkami powietrznymi i dotarcie do każdego zakątka świata w ciągu kilku godzin.

Ludzie nie będą już musieli używać swych rąk i nóg. Nacisną przycisk, a obok pojawi się ubranie. Nacisną kolejny przycisk – i otrzymają gazetę. Trzeci – i będzie na nich czekał automobil. Będą jedli różnorodne, starannie przygotowane potrawy. Wszystko będzie wykonywane przez maszyny.

Gdy dawniej ludzie chcieli ze sobą walczyć, oceniali swoją siłę cielesną; teraz jeden człowiek strzelający z broni umieszczonej na wzgórzu może odebrać życie tysiącom ludzi. To jest cywilizacja.

Dawniej ludzie pracowali na świeżym powietrzu – tylko tyle, ile chcieli. Teraz tysiące robotników tłoczy się w fabrykach lub kopalniach, aby zarobić na utrzymanie. Pracują w gorszych warunkach niż zwierzęta. Dla zysku milionerów muszą narażać życie na najbardziej niebezpiecznych zawodach.

Dawniej człowiek stawał się niewolnikiem pod wpływem nacisku silniejszego; teraz zniewala go pokusa pieniądza i zapewnianych przez niego luksusów.

Pojawiły się choroby, o których ludzie nigdy wcześniej nie śnili. Armie lekarzy głowią się, jak je wyleczyć, mamy więc obecnie znacznie więcej szpitali. Jest to sprawdzian cywilizacji.

Dawniej potrzebni byli specjalni posłańcy, a wysyłanie listu wiązało się z dużymi kosztami; dziś każdy może znać się nad bliźnimi w wiadomości nadanej za jednego pensa. Choć owszem, za tę samą cenę można również wysłać podziękowania.

Dawniej ludzie spożywali w ciągu dnia dwa lub trzy posiłki składające się z domowego chleba i warzyw; teraz muszą jeść co dwie godziny, przez co nie starcza im czasu na cokolwiek innego.

**Gdy dawniej ludzie chcieli ze sobą walczyć, oceniali swoją siłę cielesną; teraz jeden człowiek strzelający z broni umieszczonej na wzgórzu może odebrać życie tysiącom ludzi. To jest cywilizacja. Dawniej człowiek stawał się niewolnikiem pod wpływem nacisku silniejszego; teraz zniewala go pokusa pieniądza i zapewnianych przez niego luksusów**

Cóż więcej muszę powiedzieć? Wszystkiego tego można dowiedzieć się z różnych rzetelnych książek. I wszystko to składa się na prawdziwy test cywilizacji. A jeśli ktoś twierdzi inaczej, wiedzie, że jest ignorantem.

Ta cywilizacja nie zwraca uwagi ani na moralność, ani na religię. Jej wyznawcy otwarcie twierdzą, że nie są zainteresowani ich nauczaniem. Dla niektórych religia to wręcz zabobon. Inni chętnie przyoblekają się w jej pozory i rozprawiają o moralności. Jednak po dwudziestu latach doświadczeń doszedłem do wniosku, że niemoralność często nosi płaszczek moralności. Tymczasem nawet dziecko pojmie, że wszystko, co opisałem, nie może do niej pobudzać. Ta cywilizacja dąży jedynie do zwiększenia wygód cielesnych, choć nawet w tym ponosi sromotną porażkę.

Niepublikowany dotychczas w Polsce tekst z *Hind Swaraj* z 1909 roku. Książka została zakazana w 1910 roku przez rząd brytyjski w Indiach jako tekst wyrotowy.

**ÉDITO** Nowy numer naszego miesięcznika otwiera ciekawy artykuł Mahatmy Gandhiego. Mimo że tekst został napisany przeszło sto lat temu, autor analizuje w nim wiele zadziwiająco aktualnych problemów dotyczących europejskiej cywilizacji.

Kolejny już raz tematem jest konieczność złagodzenia w naszym kraju poziomu politycznej polaryzacji. Piszemy także o konstytucji, która powinna być kluczowym elementem funkcjonowania państwa i eliminować wszelkie spory kompetencyjne.

Nie pomijamy tak dzisiaj ważnej i szeroko dyskutowanej problematyki zmian w funkcjonowaniu Unii Europejskiej z ogólnym przesłaniem konieczności dalszego istnienia Unii, pod warunkiem jednak daleko idących korekt w jej dzisiejszym sposobie funkcjonowania.

W związku ze zbliżającą się rocznicą zbrodni katyńskiej prezydent Andrzej Duda ocenia ten jeden z najbardziej okrutnych aktów wojennego terrorku, jakich w czasie II wojny światowej doświadczyła Polska, jako wciąż aktualną przestroga dla wolnego świata przed rosyjskim imperializmem.

O doniosłych problemach w społeczeństwie Stanów Zjednoczonych pisze republikański senator tego kraju. Zmiany w naszym życiu wprowadzane przez nowe technologie są zaś tematem artykułu, którego sedno wskazuje wielokrotnie pojawiające się w nim terminy *post-człowiek* i *transczłowiek*. Piszemy także o zbliżającym się kolejnym, istniejącym już od prawie 100 lat, Konkursie Chopinowskim – wydarzeniu dostrzeganym na całym świecie.

Życzymy ciekawej lektury.

**Prof. Michał KLEIBER**  
Redaktor naczelny



reklama

WcN WSZYSTKO CO  
NAJWAŻNIEJSZE

INFORMACJE ZAMIENIAMY W WIEDZĘ  
www.WszystkoCoNajwazniejsze.pl



Marek A. CICHOCKI • Chantal DELSOL • Zbigniew BRZEZIŃSKI • Jerzy EISLER • Charles BEIGBEDER • Aleksander HALL • Tim BERNERS-LEE • Stefan MOSZORO-DĄBROWSKI • Eryk MISTEWICZ • Bernard-Henri LÉVY • Marek MACIEJOWSKI • Kofi A. ANNAN • Jarosław OBREMSKI • Pierre MANENT • Dan ARIELI • Bogusław CHRABOTA • Mirosław MALIŃSKI • Carl BILD • Roland MASZKA • Jeff JARVIS • Marek JEDRASZEWSKI • Maja INGARDEN • Jan OŁDAN • François HEISBOURG • Sławomir CENCKIEWICZ • Andrzej HRZECOROWICZ • Franciszek LONGCHAMPS DE BÉRIER • Toomas Hendrik ILVES • Mateusz MORAWIECKI • René BRAGUE • Grzegorz DOBIECKI • Adam BODNAR • George FRIEDMAN • Marek KACPRZAK • Viktor ORBÁN • Małgorzata NIEZABITOWSKA • Józef FLOCH • Thomas Elkjer NISSEN • Ireneusz C. KRZEMINSKI • Michał KOBOSKO • Javier SOLANA • Wiesław JOHANN • Andrzej NOWAK • Tom NICHOLS • Claude HURIET • Piotr Ibrahim KALWAS • Sebastian HEJNOWSKI • Arkady RZEGOCKI • Joschka FISCHER • Piotr SEMKA • Zbigniew LEWICKI • George SOROS • Michał GORBACZOW • Józef MICHALIK • Günter VERHEUGEN • Jan CIENSKI • Szwach WEISS • Paweł LISICKI • Dominique MOÏSI • Małgorzata WANKE-JAKUBOWSKA • Julian ASSANGE • Piotr ZAREMBA • Ada YONATH • Thierry CROUZET • Jan WINIECKI • Andrzej DUDA • Michel WIEVIORKA • Marcin OCIEPA • Andrzej ZYBERTOWICZ • Nicolas TENZER • Piotr WĄGLEŃSKI • Norman DAVIES • Guy KAWASAKI • Piotr BARON • Ewa CZACZKOWSKA • Charles CRAWFORD • Mateusz MATYSZKOWICZ • Eric WORRE • Noemie COMBE • Jacek CZAPUTOWICZ • Rafał DUTKIEWICZ • Arnaud DASSIER • Thomas BAEKDAL • Cezary JURKIEWICZ • Benjamin BARBER • Jean-Marc DANIEL • Jan ROKITA • Naomi WOLF • Stéphane DANGEL • Michał KLEIBER • Paul WOJCIECHOWSKI • Jerzy ROTTERMUND • Piotr ZGORZELSKI • Richard STALLMAN • Waldemar CHROSTOWSKI • Nouriel ROUBINI • Piotr MÜLLER • Maria WANKE-JERIE • Kornel MORAWIECKI • Dariusz ROSIAK • Andrzej BLIKLE • Włodzimierz SULEJA • Valéry GISCARD D'ESTAING • Manfred WEBER • Piotr DARDZIŃSKI • Tomasz ROZEK • Bill WIRTZ • Nicolas BEYTOUT • Maciej ZIEBA • Anna BIAŁOSZEWSKA • Joseph S. NYE • Jean ZIEGLER • Natacha HENRY • Maciej CHOROWSKI • Katarzyna DOMAŃSKA • Jan ZIELONKA • Juliusz BRAUN • Nicolas SARKOZY • Cyrille BRET • Nick BOSTROM • Piotr LEGUTKO • Mariusz BEASZCZAK • Pierre BUHLER • Sylwia BORSKA • Wojciech MYŚLECKI • Gordon BROWN • Agnieszka ROMASZEWSKA-GUZY • Tomasz SEKIELSKI • Piotr GLIŃSKI • Edouard FILLIAS • Françoise PONS • Piotr GURSZTYN • Bogdan ZDROJEWSKI • Marie DUTREIX • Tomoko OHTA • Jadwiga EMILEWICZ • Hanna ZDANOWSKA • Adam BIELAN • Marcin KYDRYŃSKI • Waldemar PAWLAK • Anders Fogh RASMUSSEN • Jean-Pierre POIRIER • Rafał WOŚ • Milton FRIEDMAN • Łukasz KAMIŃSKI • Piotr WEREŚNIAK • Zdzisław KRASNOBĘSKI • Pascal BRUCKNER • Ryan HOLIDAY • Adolf JUZWENKO • Zygmunt FRANKIEWICZ • Beata WOJNA • Herman Van ROMPUY • Jacques SÉGUÉLA • Wojciech ROSZKOWSKI • Krzysztof KAWALEC • Joachim GAUCK • Dariusz SZYMZYCHA • Patrick de SAINT-EXUPÉRY • Christopher S. CHIVVIS • Paweł RYTEL-ANDRIANIK • Andrzej ZIEMSKI • Paul KRUGMAN • Jean-Paul OURY • Ana PALACIO • Kazimierz KRUPA • Tomasz SIEMONIAK • Dariusz KOWALCZYK • Krzysztof ZIEMIEC • Gérard LARCHER • Klaus BACHMANN • Cyrille LACHÈVRE • Jerzy KWIECINSKI • Piotr BIŁOŚ • Francesca BORI • Romuald LAZAROWICZ • Nicholas CARR • Andrzej SEWERYN • Mona CHOLLET • Henryk ZIELIŃSKI • Andrzej JERIE • Clay SHIRKY • Eric FASSIN • Joanna LEMAŃSKA • Robert SARAH • Jan ŻARYN • Jeffrey D. SACHS • Papież FRANCISZEK • Nicolas LECAUSSIN • Pierre LÉVY • Jędrzej STEPIEŃ • Yoani SÁNCHEZ • Marcin JAKUBOWSKI • Nadia SAWCZENKO • Aleksander NAWRAT • Jacek SALLI • Peter SINGER • Iwan KRYSZTEW • Stanisław GADECKI • Leszek PACHOLSKI • Stanisław KOZIEJ • Krzysztof SKOWROŃSKI • Michał KŁOSOWSKI • Andrzej SZCZEKLIK • Xavier QUÉRAT-HÉMENT • Abishur PRAKASH • Robert TYSKIEWICZ • Wojciech JAKÓBIK • Sabina TREFFLER • Konrad SZYMAŃSKI • Jerzy POLACZEK • Julia TYMOSZENKO • Roman BIELECKI • Paweł LEWANDOWSKI • Janis WARUFAKIS • Nassim Nicholas TALEB • Magdalena ŚLABA • Jan ŚPIEWAK • Dariusz PŁOCHOCKI • Małgorzata LIŚKIEWICZ • Łukasz A. TURSKI • Shlomo AVINERI • Tadeusz ŚLAWEK • Wojciech POLAK • Jolanta PAWNIK • Grzegorz POLAKIEWICZ • Paweł RABIEJ • Jan ŚLIWA • Marek JUREK • Marjorie PISANI • Bartosz MARCZUK • Donald TRUMP • Umair HAQUE • Piotr SZUMLEWICZ • Seth GODIN • Tomasz TOMASZEWSKI • Laurent BECCARIA • Bill GATES • Anna MAKUCH • Jarosław GOWIN • Paweł SIENICKI • Zygmunt BERDYCHOWSKI • José Ángel GURRIA • Agnieszka KOŁAKOWSKA • Maria STEPAN • Bartosz KABALA • Laura TYSON • Jennifer RAFF • Wojciech KOLARSKI • Marek TWARÓG • Gustav GRESSEL • Elżbieta OLECHOWSKA • Przemysław PREKIEL • Jacek SARYUSZ-WOLSKI • Krystyna RODOWSKA • Agaton KOZIŃSKI • Tomasz MŁYNARSKI • Krzysztof SZCZERSKI • Aleksander GLEICHGEWICHT • Dominika ANDRZEJCZAK • Mariusz Orion JEDRYSEK • Charles GAVE • Katarzyna JARKIEWICZ • Maria PRZEŁOMIEC • Frank-Walter STEINMEIER • Jarosław KORDZIŃSKI • Joseph E. STIGLITZ • Marcin GIEŁZAK • Andrzej SZAHAJ • Aleksandra SOWA • Monika PRZYBYŚZ • Michał KOSIŃSKI • Jacek KŁOCZKOWSKI

ISSN 2545-0352



9 772545 035632 &gt;

Nr 63  
Cena 14,90 zł (w tym VAT)

WcN nr 63 1



WYDAWCA

WSZYSTKO CO  
WcN NAJWAŻNIEJSZE

INSTYTUT NOWYCH MEDIÓW

Eryk MISTEWICZ  
Prezes zarządu

Adres wydawcy i redakcji

Instytut Nowych Mediów  
ul. Marii Konopnickiej 6  
00-491 Warszawa

kontakt@instytutnowychmediow.pl  
tel.: +48 728 888 615

Oddział w Paryżu

32, rue Pierre Demours, 75017 Paris  
Szefer oddziału paryskiego  
Jean-Paul OURY

REDAKCJA

Prof. Michał KLEIBER  
Redaktor naczelny

Michał KŁOSOWSKI

Z-ca red. naczelnego

Emil GOŁOŚ

Sekretarz redakcji

redakcja@wszystkocojnajwazniejsze.pl  
tel.: +48 728 888 615

Anna BIAŁOSZEWSKA

Piękno Sztuki

Patryk PALKA

Piękno Historii

Mateusz KRAWCZYK

Wspólny Świat

Nathaniel GARSTECKA

Julia MISTEWICZ

Edycja francuska

Fabien CLAIREFOND

„Le Figaro”

Portrety Autorów

SEKRETARIAT REDAKCJI

Anna-Maria CLÉMENT

Tomasz RYCHARSKI

ZESPÓŁ TRANSLATORSKI

Michał BORUN, Jerzy DZIEWIĘCKI,  
Anna Małgorzata GALANT, Grzegorz  
GORTAT, Ewelina ROZENEK,  
Magdalena SKOĆ, Andrzej STANČZYK,  
Ewa ŚWITLAK

PROJEKTY SPECJALNE,  
MARKETING, REKLAMA

Dariusz CHEŁSTOWSKI (kierownik)  
Arkadiusz JORDAN  
kontakt@instytutnowychmediow.pl

PROJEKT GRAFICZNY I SKŁAD

ALBERTI Studio

TWITTER/X

www.twitter.com/najwazniejsze

FACEBOOK

www.facebook.com/  
wszystkocojnajwazniejsze

WERSJE ELEKTRONICZNE

E-BOOK

Legimi.pl

COTYGODNIOWY

NEWSLETTER

www.WszystkoCoNajwazniejsze.pl/  
newsletter

POPOŁUDNIOWE ESPRESSO

www.WszystkoCoNajwazniejsze.pl/  
espresso

PRENUMERATA,  
KOLPORTAŻ, SPRZEDAŻ

Wydawnictwo Edukacyjne OPERON  
tel.: +48 58 679 00 00  
www.SklepIdei.pl/wcn

Redakcja nie odsyła materiałów  
niezamówionych. Wszystkie materiały  
są chronione prawem autorskim.  
Przedruk bez pisemnej zgody redakcji  
zabroniony.

ISSN 2545-0352

27.03.2024

Felieton na drugą stronę

# Profesorowie i partie klonów

W OSTATNICH KILKUNASTU DNIACH DUŻO DYSKUSJI wzbudził list prof. Andrzeja Nowaka. Na portalu „Arcana” historyk opublikował coś w rodzaju manifestu, wzywając do głębokiej zmiany wewnątrz PiS i ustąpienia Jarosława Kaczyńskiego z funkcji prezesa partii. Ten ostatni postulat w naturalny sposób uruchomił domino spekulacji dotyczących intencji samego profesora i ewentualnych konsekwencji jego propozycji – tym bardziej że zbiegł się z zapowiedzią Kaczyńskiego o tym, że będzie walczył o kolejną kadencję w fotelu prezesa PiS. Rzadko kiedy na prawicy pojawiają się tak silne dysonanse poznawcze.

ALE WĄTKU NAJBARDZIEJ NOŚNEGO NIE NALEŻY mylić z wątkiem najważniejszym. Ciekawsza od samej dyskusji o kierownictwie partii niegdyś rządzącej jest bowiem diagnoza prof. Nowaka dotycząca przyczyn kryzysu, w jakim PiS się znalazł, skutkującym utratą władzy w wyborach. „Trzeba ograniczyć wodzowski monolog i wrócić do dialogowej formy stosunków wewnątrz własnego obozu. Ludziom potrafiącym myśleć politycznie i aktywnym trzeba dać poczucie, że mogą realnie partycypować w pracy dla Polski” – pisał prof. Andrzej Nowak, podpierając się cytatem z innego tekstu, autorstwa prof. Andrzeja Waśki. To zdanie przeszło prawie niezauważone. A szkoda, bo ono jest sercem całego długiego wywodu prof. Nowaka.

BRUTALNA PRAWDA O POLSKIEJ POLITYCE – NIE tylko o PiS, ale i o każdej dużej partii w polskim parlamencie. Właściwie wszystkie zatraciły umiejętność dyskusji. Jedyne w małej partyjce na lewicy o nazwie Razem można dostrzec jakiś ferment intelektualny. Pozostałe konsekwentnie wyjaławiły się pod tym względem. Prosty proces – im dłużej partia jest u władzy, tym bardziej jest pozbawiona wewnętrznych mechanizmów debaty. Spory o meritum, wartości, idee zostały zastąpione kłótniami czysto personalnymi o obsadę stanowisk i podział wpływów. Kwintesencja polityki partyjnej.

A PRZECIEŻ BYŁO INACZEJ. WSPÓLRZĄDZĄCĄ Polską od 2005 r. PO i PiS powstawały w cieniu wcześniejszych formacji – AWS i Unii Wolności. Dla przypomnienia: na początku tego wieku przewodniczącym Unii Wolności był prof. Bronisław Geremek,

a na czele tworzonego przez AWS rządu stał prof. Jerzy Buzek. Gdy w 2001 r. władzę przejmowało SLD, to w gabinecie Leszka Millera najbardziej prominentne resorty również obsadzili profesorowie: Marek Belka, Jerzy Hausner, Michał Kleiber. Pozycja profesorów w polityce – zwłaszcza w tej polityce przez wielkie „P” – była naprawdę wysoka.

**Prym w PiS zaczęli wieść szamani emocji politycznych. Znaczenie argumentów merytorycznych spadło niemal do zera. W tej formule nie mieszczą się profesorowie Ryszard Legutko i Zdzisław Krasnodębski, więc są odsuwani na boczny tor. Tylko że bez elit intelektualnych każda partia zamienia się w armię bezimiennych klonów**

PLATFORMA I PiS TO ROZUMIAŁY I U NICH również profesorstwo odgrywało kluczowe role. Takimi tytułami mogły się pochwalić tak ważne postaci pierwszej dekady XXI wieku, jak Lech Kaczyński, Zyta Gilowska, Zbigniew Religa, Jacek Rostowski, Zbigniew Cwiągalski, Barbara Kudrycka, Hanna Gronkiewicz-Waltz – by wymienić nazwiska najgłośniejsze. Wtedy tytuł „prof.” przed nazwiskiem stawał się kluczem otwierającym drzwi do najważniejszych gabinetów, a często wręcz trampoliną wynoszącą na najwyższe stanowiska w kraju.

W PEWNYM MOMENCIE „PROFESORYZACJA” polskiej polityki zaszła tak daleko, że ludzie mieli coraz większe problemy ze zrozumieniem tego, co politycy mówią, bo używali zbyt trudnego języka. To też jeden z powodów sukcesu PO i PiS. Te partie weszły do polityki w 2001 r. i od ówczesnych największych partii odróżniały się tym, że lepiej operowały emocjami. Wreszcie zaczęły dotykać spraw interesujących zwykłych Polaków. To w tamtych czasach Tusk ukuł doktrynę „odpowiedzialnego populizmu” jako skuteczną metodę uprawiania polityki. Z czasem wahadło zaczęło się wychylać coraz mocniej w stronę emocji. Merytoryczność coraz bardziej przegrywała ze sztuką kumulowania napięć.

PRZED WSZYSTKIM W PLATFORMIE. JESZCZE w 2009 r. ta partia umiała stymulować intelektualną debatę wokół raportu „Polska 2030”. Ale im dalej w las, tym więcej drzew. Profesorowie wypadali z czołowych miejsc w partii, zastępowani przez anonimowych polityków średniego szczebla, podobnych do siebie niczym kłony. Nie przypadkiem w obecnym rządzie Donalda Tuska tytuł profesora mają tylko dwie osoby, w dodatku obie do nominacji ministerialnej funkcjonujące poza życiem partyjnym: Adam Bodnar i Marzena Czarnecka. Nawet minister nauki jest tylko magistrem.

PiS DŁUGO SZEDŁ W POPRZEK TEGO TRENDU – ale wydaje się, że teraz, po utracie władzy po wyborach 15 października 2023 r., również mu ulega. Nie chodzi tylko o protest wyartykułowany przez Nowaka. W tym samym czasie rezygnację z angażowania się w czynną politykę ogłosił inny profesor – Ryszard Legutko. Nieoficjalnie słychać, że z list wyborczych do Parlamentu Europejskiego wypychany jest prof. Zdzisław Krasnodębski. Ten jeden z najlepszych polskich eurodeputowanych, doceniany również w międzynarodowych rankingach, przez ostatnie dwie kadencje skutecznie budujący miękką sieć współpracowników pośród europosłów innych partii, frakcji i narodowości, został zdegradowany w kraju. Według pierwszych przymiarek do list otrzymał propozycję kandydowania z „dwójki” w Wielkopolsce – choć pięć lat temu był na niej „jedyneką”. Tym razem przed nim ma się znaleźć Joanna Lichocka, poprzednio „trójka”.

PRAWO I SPRAWIEDLIWOŚĆ CORAZ MOCNIEJ ewoluuje w kierunku prawicowego radykalizmu, od wyborów postępując szybko „trumpizacja” linii tej partii. Widać, że w tym ugrupowaniu prym zaczęli wieść szamani emocji politycznych. Znaczenie argumentów merytorycznych spadło niemal do zera. Jeśli obecni w partii profesorowie nie zarządzają nimi wystarczająco skutecznie (przypadek Przemysława Czarnka), to wypadają z gry. W tej formule nie mieszczą się profesorowie Ryszard Legutko i Zdzisław Krasnodębski, więc są odsuwani na boczny tor. Tylko że to ślepa uliczka. Profesorowie w polityce są tym, czym jest sól dla potraw. Bez przypraw każde danie smakuje tak samo. Bez elit intelektualnych każda partia zamienia się w armię bezimiennych klonów, bezrefleksyjnie realizujących zalecenia płynące z „wodzowskiego monologu”. Nastąpi pełna dominacja emocji. Zdolność do racjonalnej, merytorycznej dyskusji spada do zera. Takiej polityki nie chcemy. Dlatego potrzebujemy w niej też profesorów.

**Agaton KOZIŃSKI**

reklama

Ponad  **miliardów złotych** przekazanych na polski sport i kulturę

  
TOTALIZATOR SPORTOWY  
NAJWIĘKSZY MECENAS SPORTU I KULTURY W POLSCE  


Dofinansowanie sportu  
ponad **15,7 MILIARDÓW ZŁOTYCH** od 1994 roku

Dofinansowanie kultury  
ponad **3,3 MILIARDA ZŁOTYCH** od 2003 roku

#WygrywamyRazem



# Nowy początek

Warunkiem poprawy perspektyw dla naszego kraju jest złagodzenie poziomu politycznej polaryzacji

## 100 idei dla Polski

Od kilku lat narasta przekonanie, że kończy się trwający kilka dekad okres powojennej stabilizacji. Przegrana systemu komunistycznego skończyła się rywalizacja Zachodu ze Wschodem, ale wbrew oczekiwaniom demokratyczny kapitalizm także przeżywa perturbacje. Neoliberalizm po okresie tryumfu w dekadach lat 80. i 90. nie uniknął ostrego kryzysu w latach 2008–2010.

Widać też wyraźnie, że kształtuje się nowy światowy układ sił międzynarodowych. Rosja już nie jest wielkim mocarstwem, natomiast Chiny (pewnie również Indie) zmierzają do zajęcia miejsca takiego mocarstwa. Powszechne jest przekonanie, że najbliższe dekady zdominuje rywalizacja USA z Chinami.

Wielkim globalnym problemem ostatnich lat stał się kryzys klimatyczny. Budowane są katastroficzne prognozy. Nie ma właściwie wątpliwości, że przezwyciężenie tego kryzysu nie jest możliwe bez radykalnych (pochłaniających ogromne nakłady) i skoordynowanych wspólnych działań społeczności międzynarodowej.

Wiele krajów stoi też przed dramatycznymi wyzwaniami demograficznymi i przed problemem uchodźców. Wprawdzie pojawiły się prognozy przewidujące zatrzymanie wzrostu populacji świata jeszcze przed końcem XXI wieku, ale to rezultat postępującego ograniczenia przyrostu ludności przede wszystkim w krajach wysoko rozwiniętych i w Chinach. Nadal jednak szybki jest przyrost ludności w wielu krajach Trzeciego Świata.

Wielkim problemem, obejmującym prawie wszystkie kraje świata, jest wzrost nierówności dochodowych i majątkowych. Stanowi on przyczynę konfliktów politycznych i w szeregu krajach sprzyja wzrostowi poparcia politycznego dla partii i ruchów populistycznych.

Listę globalnych uwarunkowań, które determinują – w różny sposób – politykę praktycznie wszystkich państw, można oczywiście wydłużyć. Tu wspomnieć trzeba koniecznie o jednej jeszcze kwestii: w minionych kilku dekadach rywalizacja wielkich mocarstw nie doprowadziła do globalnych konfliktów zbrojnych. Dominowało przekonanie, że ich wybuch w praktyce został wyeliminowany. Agresja Rosji na Ukrainę podważa jednak to przekonanie.

Polska, jak wiele innych krajów, musi szukać środków minimalizujących zagrożenia. Jesteśmy członkiem NATO i UE, ale to nie znaczy, że możemy bez reszty powierzyć losy naszego kraju tym organizacjom. Więcej nawet, jest wątpliwe, czy Polska powinna akceptować ewolucję Unii w kierunku federacji, co musiałoby ograniczyć pole wyboru naszej polityki. Brukselski establishment (łącznie z europejskim parlamentem) skłania się do ewolucji w tym kierunku. Już dotychczasowe przekształcenia Unii (od przystąpienia Polski do Unii) zbliżyły tę organizację do formuły podmiotu federalnego. Oczywiście niepoważny jest alarm politycznej prawicy, że za chwilę definitywnie utracimy suwerenność. Jednak trudno jest też

zgodzić się ze zwolennikami postępującej federalizacji, twierzącymi, że jest to jedyna droga, która respektuje polskie interesy. Wydaje się, że federalizacja Unii prowadziłaby jednak do osłabienia demokracji w państwach członkowskich i politycznej oligarchizacji. Demokracja polityczna to nie tylko procedury, ale też tradycja, historia i kultura. Także struktury społeczne i gospodarcze. Jest wątpliwe, czy formalnie większościowe rozstrzygnięcia mogą być skutecznym mechanizmem podejmowania decyzji, respektującym ważne interesy państw członkowskich. Członkostwo w Unii jest członkostwem w organizacji, która stoi przed bardzo trudnym wyborem ścieżki dalszych przemian.

Należy z pewnością przyjąć, że nie dysponujemy dostateczną wiedzą pozwalającą na określenie kształtu systemu społeczno-ekonomiczno-politycznego gwarantującego uniknięcie kryzysowych perturbacji. Zresztą źródła kryzysu mogą pochodzić z otoczenia zagranicznego. Nieoczywiste jest też obiektywne zdefiniowanie celów, do których należy dążyć. Wiele przyjmuje – często bezrefleksyjnie – że celem kluczowym jest maksymalizacja wzrostu mierzonego tempem PKB. Przynajmniej w długim okresie jest to wybór wątpliwy, choć trudno uznać racje zwolenników – zresztą nielicznych – zerowego wzrostu.

Nie będę tu próbował określić „obiektywnych celów”. Ograniczę się do przyjęcia założenia, że najważniejsze jest zbudowanie systemu politycznego zdolnego do elastycznego kształtowania polityki państwa zgodnie z wolą większości i obiektywnymi uwarunkowaniami. Z pewnością znaczenie kluczowe (choć nie rozstrzygające) ma więc sprawność funkcjonowania systemu politycznego, który jest metamechanizmem decydującym o dynamice instytucji społecznych, ekonomicznych, prawnych, także wojskowych i innych. W szczególności zdolność politycznych elit do generowania odpowiedzialnych i pluralistycznych propozycji programowych przedstawianych wyborcom i ich powszechny, świadomy udział w procesie demokratycznych rozstrzygnięć. Ważne jest też, by rywalizacja elit nie prowadziła do eliminacji możliwości współdziałania między ugrupowaniami politycznymi. Ważne jest także, by elity nie były postrzegane jako grupy forsujące swoje partykularne interesy.

Bilans przekształceń w minionych dekadach jest bez wątpienia korzystny, co nie znaczy, że uniknęliśmy porażek. Generalnie sukcesem jest nowe miejsce Polski na scenie międzynarodowej. Gospodarka rosła szybko, ale powstały niepokojące duże nierówności. System nie zapewnia realnie równych szans. Niepokoić musi też utrzymywanie się znacznej luki technologicznej. Jednak największy problem, przed którym stoimy „tu i teraz”, to przekształcenie mechanizmów sceny politycznej.

Po roku 1990 ukształtował się system określany jako „Trzecia Rzeczpospolita”. To system inspirowany ideami liberalnymi. W kwestiach politycznych respektował on zasady demokratycznego państwa prawa, ale w praktyce uprzywilejowywał grupy elitarne, dawał preferencje grupom zamożnym, które były reprezentowane przez główne partie polityczne (przede wszystkim UW i PO, ale też SLD). Narracja debaty publicznej była zdominowana przez postulat zbliżenia Polski do modelu europejskich krajów Zachodu. W dominującym nurcie rozstrzygającym argumentem było kryterium zgodności przemian ze „wzorcem europejskim”. Głos rozstrzygający należał (w każdym razie taki był zasadniczy postulat) do ekspertów. Na scenie politycznej właściwie nie istniała tradycyjna lewica artykułująca postulaty równościowe i program interwencjonizmu w polityce gospodarczej.

Konsekwencją funkcjonowania tak ukształtowanego systemu „Trzeciej Rzeczypospolitej” była w pierwszym okresie ograniczona aktywność obywateli w sferze publicznej. Spora część obywateli nie była zachwycona realizowaną w Polsce formułą transformacji, ale niewielu było przekonanych, że istnieje

alternatywa. Sukcesy w sferze ekonomicznej (szybki wzrost PKB, a potem redukcja bezrobocia) powstrzymywały sprzeciw. Sytuacja materialna uboższych grup społecznych także się poprawiła. Nie były dostrzegane ani narastające nierówności, ani niewielkie postępy w redukowaniu „peryferyjnych cech” polskiej gospodarki. W miarę upływu czasu satysfakcja społeczna ulegała jednak erozji.

Krytyczne oceny systemu „Trzeciej Rzeczypospolitej” zostały dostrzeżone przez PiS – partię o sympatiach konserwatywnych i narodowych, sprzyjającą wkomponowaniu w system kapitalistyczny państwa opiekuńczego. Taka orientacja PiS-u miała przede wszystkim charakter polityczny, co wiązało się z przekonaniem, że kontestacja „Trzeciej Rzeczypospolitej” może być skutecznym sposobem wyborczej rywalizacji. Ale też orientacja ta była bliska sympatiom ideowym PiS-u. Partia zdecydowała się wysunąć postulat „Czwartej Rzeczypospolitej”. W programowej orientacji tej koncepcji można było dostrzec wyraźny rys socjalny, dystans do UE (sprzeciw wobec propozycji federalistycznych, odrzucenie euro), sympatie etatystyczne, zakwestionowanie dominującej roli ekspertów (i ogólnie autorytetów), a także silne tony patriotyczne i obronę tradycyjnych wartości narodowych (rodzina, Kościół).

Ta orientacja PiS-u została przyjęta ze znacznym poparciem wyborców (przede wszystkim „klasy ludowej”). PiS wprowadził skrócony wiek emerytalny i okazało się (co było do przewidzenia), że ani nie zburzyło to rynku pracy, ani nie było przyczyną zapaści finansów ubezpieczeniowych. Dobrze przyjęty został też program 500+. Poparcie wyborców okazało się względnie trwałe.

Jednak stopniowo PiS podejmował coraz więcej działań godzących w podstawowe instytucje liberalnej demokracji. Wszystkie one intencjonalnie zmierzały do rozszerzenia zakresu politycznej władzy PiS-u. W znacznej mierze kolidowały z normami zawartymi w konstytucji. Niezależności pozbawiony został Trybunał Konstytucyjny, de facto kontroli poddana została Krajowa Rada Sądownictwa (KRS). Media publiczne stały się instrumentem propagandowej agitacji ośrodka władzy. Na niespotykaną poprzednio skalę aparat partii rządzącej zawłaszczał środki publiczne, również dostęp do lukratywnych stanowisk w administracji i gospodarce uzależniony został od pozycji w systemie władzy. Podjęte zostały próby represji („lex Tusk”) wobec konkurentów politycznych. Wszystkie te działania (mimo kontrolowania mediów publicznych przez władzę) szeroko nagłaśniała opozycja, jednak w stosunkowo długim okresie nie miało to szczególnego znaczenia dla wielkości poparcia wyborców dla rządzącej partii.

Wydaje się, że punktem zwrotnym była pandemia koronawirusa. Wkrótce pojawił się kolejny czynnik, który przyniósł osłabienie poparcia dla PiS-u: program Polski Ład. W pierwotnej wersji dokument obejmował postulaty, które można było interpretować jako zapowiedź modyfikacji systemu szeroko rozumianych obciążeń podatkowych z preferencją dla osób o niższych dochodach. Pod wpływem zmasowanej krytyki opozycji rząd (w chaotyczny sposób) wycofał się z tych propozycji, przy okazji czyniąc Polski Ład propozycją szczególnie mętną.

Przez ostatnie kilka lat narastała polaryzacja polskiej sceny politycznej. Właściwie w żadnej sprawie nie była możliwa kooperacja rządzącej koalicji z opozycją. Po przegranych przez PiS wyborach parlamentarnych w 2023 r. konflikt jeszcze się zaostrza. Zarazem jednak rośnie poziom zagrożeń zewnętrznych (wojna na Ukrainie, zwalczanie zagrożeń klimatycznych, napięte stosunki Chiny – USA itd.). Przewidywać można, że obecnie rządząca koalicja będzie dążyć do „odbudowy” państwa według formuły „Trzeciej Rzeczypospolitej”. Natomiast PiS (jeżeli nie zostanie zmarginalizowany) będzie dążył do utrzymania obecnych ustrojowych reguł funkcjonowania państwa. Trudno więc sobie wyobrazić złagodzenie konfliktów przynajmniej do rozstrzygnięcia wyborów samorządowych i prezydenckich. Perspektywa nie jest optymistyczna.

Wydaje się, że warunkiem poprawy perspektyw dla naszego kraju jest złagodzenie poziomu politycznej polaryzacji. Raczej nie jest to możliwe ani

w przypadku odbudowy „Trzeciej Rzeczypospolitej”, ani – tym bardziej – w przypadku powrotu do formuły ukształtowanej w okresie ośmiu lat rządów PiS-u. Potrzebna jest zgoda głównych (dziś skonfliktowanych) ugrupowań politycznych na system, który gwarantowałby usunięcie z pola partyjnej rywalizacji kontrolę kierowniczych gremiów podmiotów państwowych, które powinny być „bezzstronne” (RPP, KRRiT, NIK, KRS i niektóre inne podmioty). Drugi warunek to powiększenie realnego wpływu wyborców na selekcję składu ciał przedstawicielskich i ich decyzje.

**Wyjście z obecnego impasu wymaga reform przekraczających horyzont powrotu do „Trzeciej Rzeczypospolitej”. Oczekiwanie, że po wyborach prezydenckich obecna koalicja uzyska zdolność swobodnego działania i uchwalania ustaw, nie jest oparte na mocnych przesłankach**

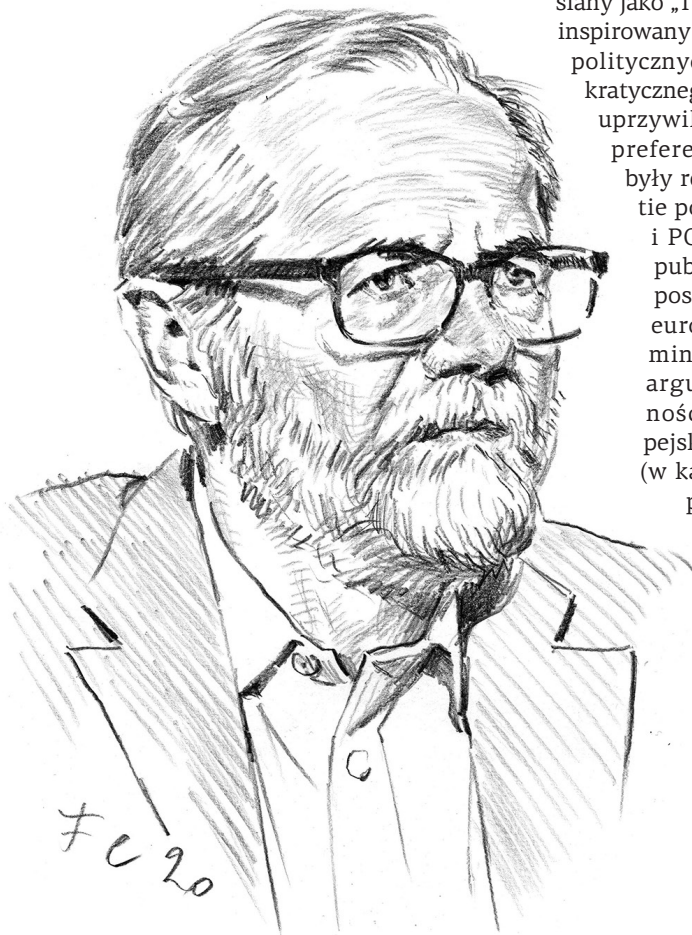
Postulat drugi ma na celu nie tylko poszerzenie kręgu wyborców trwale i aktywnie uczestniczących w życiu politycznym, ale też wyeliminowanie przynajmniej części emocji, jakie obecnie towarzyszą polityce. Chodzi więc o to, by zracjonalizować relację między elitami politycznymi i wyborcami. Ideałem byłby system, w którym partie polityczne wytwarzają, przedstawiają i popularyzują swoje programy, a wyborcy dokonują ich oceny i wybierają polityków prezentujących bliskie im koncepcje. Jesteśmy dalecy od tego ideału. To nie tylko (ani nie najbardziej) kwestia nierównego dostępu do środków masowego przekazu. Kluczowe znaczenie mają ordynacja wyborcza i system wspierania finansowania działalności partii politycznych.

W Polsce pod hasłem przeciwdziałania rozdrobnieniu parlamentu w 1992 roku koalicja SLD-UD-KPN wprowadziła 5-procentowy próg wstępu do parlamentu. Oznacza to, że obecnie (przy frekwencji na poziomie z ostatnich wyborów) próg przekraczają ugrupowania uzyskujące sporo ponad milion głosów. Wszyscy wyborcy, którzy chcieliby poprzeć mniej znane ugrupowania ryzykują, że ich głos zostanie stracony. Nowe ugrupowania mają niewielkie możliwości uzyskania parlamentarnej reprezentacji, a przecież warunkuje to w znacznej mierze uzyskanie przez nie stabilnej pozycji na scenie politycznej. W rezultacie ograniczany jest pluralizm sceny politycznej i redukowane jest znaczenie programowych przesłanek wyborców.

W wyborach w 1993 roku zwycięska koalicja (SLD-PSL) uzyskała poparcie ok. 36 proc. wyborców (przy niskiej frekwencji). Na partie, które nie przekroczyły progu, padło 34 proc. głosów. W następnych wyborach na koalicję sklejoną jako AWS padło 33,8 proc. głosów. W kolejnych wyborach AWS uzyskał poniżej 5 proc. i przestał istnieć. Progi sprzyjają formalnej konsolidacji sceny w parlamencie, ale ograniczone znaczenie ma tu bliskość programowa. Nie znaczy to, że celowe jest całkowite zrezygnowanie z progów (choć w niektórych krajach nie są stosowane). Wydaje się, że rozsądne byłoby zastosowanie progów w postaci kwoty głosów – np. na poziomie 0,5 mln głosów.

Również finansowanie partii (szczególnie parlamentarnych) nie sprzyja dziś koncentracji ich działalności na polu programowym. Generalnie finansowanie z budżetu (a to obecnie – i bardzo dobrze – podstawowy kanał finansowania) środkami w postaci dotacji dla partii i ich klubów parlamentarnych skorelowane jest z „rozmiarami” tych podmiotów. Kwota równa dla każdego parlamentarzysty przekazywana jest na finansowanie biur posłów i senatorów. Jednak obiektywne koszty szeregu funkcji partii, klubów parlamentarnych i biur poselskich nie są zależne od ich wielkości.

ciąg dalszy na s. 4





W rezultacie np. kampania plakatu może być sfinansowana przez duże ugrupowania, a nie mają takiej możliwości ugrupowania niewielkie. W konsekwencji system finansowania nie sprzyja podejmowaniu wysiłku programowego i zachęca do koncentracji uwagi na działaniach marketingowych. Pobudza też wysiłek – często nieodpowiedzialnych – obietnic. Z pewnością byłoby celowe skorygowanie systemu dotacji działalności politycznej, co nie znaczy, że za celowe należy uznać wyeliminowanie wszelkich preferencji z tytułu „skali”. Zresztą nawet ograniczone zmiany trudno uznać za łatwe do uzgodnienia i wprowadzenia.

**Trudno zgodzić się ze zwolennikami postępującej federalizacji Unii, twierzącymi, że jest to jedyna droga, która respektuje polskie interesy. Federalizacja prowadziłaby do osłabienia demokracji w państwach członkowskich i politycznej oligarchizacji. Demokracja polityczna to nie tylko procedury, ale też tradycja, historia i kultura**

Wielkim problemem, przed którym stoimy, jest mechanizm selekcji kierowniczych gremiów instytucji państwowych, które powinny przestrzegać politycznej bezstronności. To takie instytucje, jak Trybunał Konstytucyjny, KRS, NIK, KRRiT, RPP i niektóre inne. Obowiązujące uregulowania (nieraz zapisane w konstytucji) rezerwują prawo do decydowania przez parlament, prezydenta lub korporacje zawodowe. Te zasady nie zawsze są precyzyjne i jednoznaczne. Rządząca większość (szczególnie w okresie rządów PiS-u) często interpretowała obowiązujące zasady ze złą wolą. To było i jest przyczyną „piętrowych” konfliktów. Nie wydaje się, by można było ustalić zasady gwarantujące bezstronność, gdy decyzja będzie nadal należeć do podmiotów politycznych.

Jaka jest alternatywa? Rozważenia wymaga powołanie do życia osobnej instytucji (mającej umocowanie w konstytucji) w postaci państwowego komitetu nominacyjnego, składającego się z osób pełniących w przeszłości najważniejsze funkcje w państwie (byłych prezydentów, byłych prezesów Trybunału Konstytucyjnego, byłych prezesów Polskiej Akademii Nauk oraz osób pełniących aktualnie funkcje marszałków województw). Ciało to powinno powoływać na stanowiska kierownicze (lub w skład ciała zbiorowego) osoby spośród zgłoszonych przez uprawnione podmioty kandydatów. Komitet powinien też dokonywać okresowych ocen funkcjonowania instytucji, w których byłyby uprawniony do decyzji kadrowych.

Można chyba oczekiwać, że choć państwowy komitet nominacyjny składałby się z osób, które w przeszłości lub obecnie zajmowały stanowiska polityczne, to miałyby charakter pluralistyczny i nie byłyby kontrolowane przez jakiegokolwiek ugrupowanie polityczne lub organ administracji państwa.

Naiwnością byłoby sądzić, że zasygnalizowane tu krótko kierunki reform systemu politycznego (a przecież potrzebne są reformy w szerszym zakresie) są łatwe do przeprowadzenia. Jednak bez przebudowania w szerokim zakresie systemu politycznego trudno wyobrazić sobie przezwyciężenie impasu, w jakim się znaleźliśmy.

Utworzona w wyniku wyborów 15 października 2023 r. koalicja zmierza do wyeliminowania „tego, co PiS popsuł” i przywrócenia „Trzeciej Rzeczypospolitej”. Nie wydaje się, by znaczna większość wyborców oczekiwała po prostu powrotu do tej formuły ustrojowej. Nie wydaje się też, by takie przekształcenie było możliwe na drodze zmian w ramach obecnego porządku prawno-konstytucyjnego. W konstytucję – całkiem świadomie – wpisana została zasada uzależniająca uchwalanie ustaw od zgody prezydenta, gdy ustawę popiera mniej niż 3/5 posłów.

Wyjście z obecnego impasu wymaga reform przekraczających horyzont powrotu do „Trzeciej Rzeczypospolitej”. Oczekiwanie, że po wyborach prezydenckich obecna koalicja uzyska zdolność swobodnego działania i uchwalania ustaw, nie jest oparte na mocnych przesłankach.

# Głos rozzłoszczonego Polaka

Musimy, i to szybko, zabrać się do wprowadzenia zmian systemowych, które pozwolą Polsce opuścić grupę państw uboższych i wyjść z pułapki państw średniego rozwoju



Prof. Krzysztof PAWŁOWSKI

Założyciel Wyższej Szkoły Biznesu – National Louis University. Fizyk. Senator I i II kadencji

## Polska po wyborach

3 marca uczestniczyłem w Muszynie w zjeździe członków Biznes Misji i wysłuchałem wykładu Ryszarda Florka, właściciela FAKRO, mojego przyjaciela. Zainteresowało mnie zestawienie liczby firm globalnych na 5 mln mieszkańców i średniego wynagrodzenia netto w roku 2022 w 14 wybranych państwach UE. Jeżeli chodzi o liczbę firm globalnych na 5 mln mieszkańców, to przoduje Dania (ze wskaźnikiem 41 firm globalnych na 5 mln mieszkańców), za nią w pierwszej piątce są Austria (31), Finlandia (25), Szwecja (29) i Niemcy (27), następnie to Francja (11), Włochy (6), Hiszpania (3), a wszystkie pozostałe, w tym Polska, są w ogniu ze wskaźnikiem jedna firma globalna na 5 mln mieszkańców. Co jeszcze ciekawsze, to zestawienie jest niemal identyczne, jeżeli porównamy średnie roczne wynagrodzenie netto w euro, także w 2022 r. – znowu na pierwszym miejscu jest Dania (ponad 32 tys. euro), za nią są Austria, Finlandia, Szwecja i Niemcy, a daleko z tyłu Polska, z wartością wynagrodzenia rocznego ok. 10 tys. euro.

Zestawienie Ryszarda Florka i jego Fundacji „Pomyśl o Przyszłości” jest zastanawiające. Pojawia się pytanie, dlaczego mała Dania ma najwięcej firm globalnych i najwyższe średnie wynagrodzenie pobierane w firmach przez jej mieszkańców w porównaniu z 14 państwami Unii, w tym 10 państwami starej Unii. Jeszcze bardziej zadziwiające jest porównanie zysku za rok 2022 największego duńskiego giganta gospodarczego MAERSK (ponad 30 mld euro) z dotacją dla Polski w ramach KPO na 5 lat (25,207 mld euro).

Ciekawe jest także porównanie wzrostu PKB na osobę w latach 2008–2022 w euro. Oto dane dla dwóch państw: Danii (20 450 euro) i Polski (7700 euro). Ta różnica jest zastanawiająca, bo przecież Polska jest w UE od 2004 roku, a ciągle czytałem i czytam, że Polska otrzymywała i otrzymuje najwyższe wsparcie z UE w ostatnich dwóch okresach siedmioletnich (141 mld euro, nie licząc wsparcia dla rolnictwa). A mimo to PKB na osobę za rok 2022 to ciągle, wyraźna przewaga małej Danii. Licząc inaczej: w Danii to niemal 60 tys. dolarów na osobę (PPP), a w Polsce to 43 tys. dolarów (PPP).

Jako były fizyk lubię takie zestawienia rozumieć i znajdować przyczyny tak wielkich różnic. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem

wyduje się wytłumaczenie, że zyski duńskich firm globalnych „łądują” w centralach, a polska gospodarka musi wciąż nadrobić stracone lata, szczególnie okres 1939–1989, w którym gospodarka duńska mogła się rozwijać normalnie i tamtejsze firmy mogły rosnąć aż do poziomu globalnych gigantów.

Ryszard Florek w swoim wystąpieniu pokazał, jak jego konkurent z Danii utrzymuje swoją dominującą pozycję na rynku metodami, które powinny być niedopuszczalne w Unii Europejskiej (przytoczę tylko niektóre z nich: ceny dumpingowe w kraju konkurenta, oddziaływanie na dystrybutorów produktów – np. poprzez umowy wyłącznościowe, stosowanie tzw. „mgły patentowej” czy wyniszczanie ekonomiczne, np. poprzez bezzasadne procesy sądowe czy też stosowanie marki walczącej). Te metody skutecznie wykorzystywane przez konkurenta FAKRO narzucają konieczność zbadania, czy unijna Dyrekcja Generalna ds. Rynku Wewnętrznego, Przemysłu i Przedsiębiorczości oraz MŚP pracują w sposób prawidłowy. Czy nie jest tak, że urzędnicy Dyrekcji, a może także kierownictwo nie dostrzegają niewłaściwego postępowania VELUX-u, aby nie podpaść komisarzowi nadzorującemu Dyrekcję, który zapewne przez przypadek jest Duńczykiem. Może też warto sprawdzić liczbę Duńczyków i Polaków pracujących w Dyrekcji Generalnej.

Zostawmy jednak FAKRO i VELUX i popatrzmy na rozwój gospodarczy Polski od jej wstąpienia do Unii Europejskiej, analizując dane za lata 2005, 2015 i 2022 (bo zakładałem, że dane za 2023 r. są jeszcze niepewne).

Polski PKB w roku 2005 wynosił 306,1 mld dolarów, w 2015 – 477,1 mld, a w roku 2022 – 688,3 mld. Te dane pokazują, że środki unijne są ważne, ale najważniejszy dla wzrostu PKB jest rozwój polskiej gospodarki i eksportu firm działających na terenie Polski. Popatrzmy jeszcze na przychody polskiego budżetu w tych samych latach. W 2005 roku było to 164 mld zł, w 2015 – 289,1 mld, a w 2022 – 517,4 mld. Przyrost PKB w latach 2005–2015 to 171 mld dolarów, a w latach 2015–2022 (tylko siedem lat) to 211,2 mld. Wniosek: polska gospodarka i polski budżet rosną pomimo niesprzyjających warunków zewnętrznych.

Od kilku lat powtarzam, że Polska mimo rozwoju gospodarczego wciąż pozostaje w tzw. „pułapce średniego rozwoju”. Odwołam się jeszcze raz do danych Fundacji „Pomyśl o Przyszłości”. Polskie ministerstwo finansów podało, że w latach 2005–2015 nastąpił wpływ kapitału do krajów Unii w wysokości 500 mld zł, najczęściej do Holandii (117 mld zł), Niemiec (101 mld zł), Francji (59 mld zł), Wielkiej Brytanii (55 mld zł), Luksemburga (43 mld zł). Według fundacji wpływ kapitału rośnie z roku na rok. Trafia on głównie do krajów pochodzenia zagranicznych koncernów, mających firmy córki w Polsce. Dla przykładu – wpływ kapitału w roku 2005 kształtował się na poziomie 25 mld zł, a już w roku 2014 – 66 mld zł. Kwota 500 mld zł jest porównywalna z wysokością całych przychodów polskiego budżetu w 2022 roku.

Podam jeszcze jedno zestawienie, dla mnie osobiście zdumiewające: analitycy wybrali 11 najbiedniejszych państw Unii oraz 8 najbogatszych, uwzględniając także Szwajcarię, i podali średnią ważoną dla obu grup. Zmiana PKB na osobę w latach 2008–2019 dla grupy państw biedniejszych wyniosła 3674 euro na osobę, a w grupie państw bogatszych aż 11 819 euro na osobę – oznacza to, że kraje bogatsze w tym

okresie wzbogaciły się ponad trzy razy więcej niż grupa 11 państw mniej zamożnych. Założenia twórców wspólnego rynku były przecież inne – wspólny rynek UE miał doprowadzić gospodarki państw Unii do podobnego poziomu.

Nie chciałbym zamięczać Czytelnika nadmiarem liczb i porównań. Nie uważam, że powinniśmy dyskutować, czy w tej sytuacji nie należałoby opuścić Unii – to byłby absolutny błąd. Natomiast musimy, i to szybko, zabrać się do wprowadzenia zmian systemowych, które pozwolą Polsce opuścić tę grupę państw uboższych i wyjść z pułapki państw średniego rozwoju.

**Koalicja rządząca powinna szybko zakończyć audyty ministerstw poprzedniego rządu, a także rozliczenia winnych (niezbędne dla zadowolenia własnego „plemienia wyborczego”) i rozpocząć tworzenie wspólnej instytucji strategii rozwoju Polski**

Patrząc na dzisiejszą sytuację, widzę jedyny rozwiązanie: koalicja partii rządzących oraz polski rząd powinny możliwie szybko zakończyć audyty ministerstw poprzedniego rządu i spółek państwowych, a także rozliczenia winnych (niezbędne dla zadowolenia własnego „plemienia wyborczego”) i rozpocząć tworzenie wspólnej instytucji strategii rozwoju Polski (think tanku), nakazując jej opracowanie strategii wszechstronnego rozwoju Polski w trzech perspektywach, na przykład: 2030 rok (najkrótsza), 2035 rok (średnia) i 2040 rok (najdłuższa).

W pełni zgadzam się z artykułem prof. Michała Kleibera zamieszczonym na pierwszej stronie nr 62 „Wszystko co Najważniejsze” – *Zakończmy ten szkodliwy dla wszystkich konflikt – jednak nie jestem wielkim optymistą. Tworząc sądecki Klub Inteligencji Katolickiej 44 lata temu, miałem nadzieję, że uda się w klubie wychować następane dwa, trzy pokolenia, które będą przygotowane do pracy w wolnej i demokratycznej Polsce. Zdarzył się niemal cud, że wolną Polskę wywalczyliśmy wówczas już po ośmiu latach. Jednak obecnie prof. Kleiber musi stanowczo wzywać do zakończenia konfliktu, który przerodził się w dramatyczną wojnę plemienną. Ja sam marzę, że może obecne pokolenie dwudziestolatków albo jeszcze młodsze będzie zdolne do odejścia od wojny plemienną w Polsce i zacieśnić wspólną pracę, tworząc skuteczne rozwiązania ustawowe, szczególnie podatkowe, budując dzięki temu coraz silniejszą naszą gospodarkę. Być może wówczas wreszcie przynajmniej kilkudziesięciu polskich przedsiębiorców rozbuduje polskie firmy do wielkości firm globalnych, a warunki prawne i finansowe pozwolą przynajmniej milionowi młodych Polaków rozwijać własne małe firmy lub tworzyć nowe. Wtedy też zostaną zrealizowane plany Ryszarda Florka i jego Fundacji „Pomyśl o Przyszłości”, aby Polacy pracujący w firmach w Polsce zarabiali tyle co pracujący w firmach bogatych krajów Europy Zachodniej. Być może spełnią się także moje marzenia, że Polska będzie co roku sięgać po spory kawałek światowego tortu w postaci przychodów z przemysłu wysokich technologii.*

reklama

GNN gazeta na niedziele  
NOWY TYGODNIK OPINII  
www.GazetaNaNiedziele.pl



# Każda władza musi być „ograniczona i zrównoważona”

O konstytucję trzeba dbać niezmiernie, ponieważ bez konstytucji społeczeństwo skazane jest na rządy satrapów i bezmyślnego tłumu



**Prof. Jacek HOŁÓWKA**

Filozof i etyk, profesor nauk humanistycznych związany z Uniwersytetem Warszawskim. Autor m.in. prac „Relatywizm etyczny”, „Wybrane problemy moralne współczesności”, „Etyka w działaniu”

## 100 idei dla Polski

Od kiedy Andrzej Frycz Modrzewski napisał rozprawę *De Republica emendanda* (O naprawie Rzeczypospolitej, 1551), minęło pół tysiąca lat bez dwudziestu siedmiu. Szmat czasu. Mogliśmy się nauczyć bardzo wiele przez te lata, choć trochę przeszkażdały nam inne zajęcia, nieprzyjazna polityka sąsiadów i swoista górnołotna łatwowierność. Mimo tych przeszkód, a trochę dzięki nim nauczyliśmy się, że niepodległości nie dostaje się darmo, że błędy w polityce płaci się wysoką cenę, a podstawą bezpieczeństwa jest stabilny system polityczny. To jest lekcja z Frycza Modrzewskiego, rozciągnięta na wiele dekad. Ten autor w rozdziale *O królu* wylicza to, co najważniejsze: „Bywał ten czas, iż ci, którzy królowali, byli albo filozofami, albo prorokami, i rzecz pewna, że naonczas rzeczywolite bywały bardzo dobrze sprawowane. A teraz wiele jest zwierzchnych panów, którzy za to u siebie mają, że im nic do tego, a przetoż też w prawich wiele przewrotności i w rzeczywolitej wiele się błędów i nierządów najduje”.

Jak widzimy, należy unikać przewrotności w prawie i nie wolno powierzać władzy ludziom, którzy za nic mają troskę o przyszłość (lekceważą proroków) i sprawiedliwe zasady rządzenia (lekceważą filozofów). Te mądre słowa łatwo zapomnieć, więc trzeba, póki je pamiętamy, rozważyć ich konsekwencje.

Otóż wcale nie musimy wierzyć, że kiedykolwiek istniało państwo naprawdę doskonałe. To nie jest główna sprawa. Wystarczy, jeśli będziemy pamiętać, że funkcją prawa i polityki jest zbudowanie wspólnej kultury i poczucia wspólnego losu. Dlatego Frycz Modrzewski pisze o obyczajach, o wychowaniu, o królu, sędziach, hetmanach, starostach, przełożonych zamkowych i miejskich, o tym, że państwu bardziej szkodzi bałagan myślowy wśród rządzących i egoizm społeczny wśród pozostałych niż luki w wiedzy historycznej lub spory religijne. Nawet tu zresztą można się różnić zdaniem: „Papież, podstawiając wszystkim nogę do całowania, każą wypełniać swoje rozkazy i polecenia, jakby one pochodziły z tajemnych planów bożych, i zapomniawszy o tym, że są tylko ludźmi, pragną, by im przyznawano tytuły i cześć niemal boską”.

Religia jednym pomaga budować republikę, innym przeszkadza. Zbieżności postaw politycznych trzeba więc oczekiwać wprost od wszystkich mieszkańców kraju i żądać od nich zarówno szacunku dla obowiązków obywatelskich, jak i działania usuwającego główne wady charakteru – takie jak umiłowanie zbytku, pewność siebie, pycha i pogarda. Tyle Frycz Modrzewski.

I choć ten sposób ilustrowania problemów politycznych dziś nie jest modny, to można go też znaleźć u pewnych współczesnych autorów, którzy wierzą, że głęboki sens polityki ukrywa się w mitach o dobrym państwie. Tak sądzi np. Samuel Freeman z Uniwersytetu Pensylwanii. Freeman to nieco starożytny fantasta, przekonany, że społeczeństwo ludzi inteligentnych może spontanicznie dążyć do pokoju i sprawiedliwości tylko dlatego, że to są piękne cele. Czy Freeman przesadza? Czy

w jego założeniu tkwi jakiś zasadniczy błąd? Nie sądzę. Leszek Kołakowski też pisał, gdy komunizm stawał się już nie do zniesienia, że zdrowa świadomość społeczna czerpie swą siłę z mitów i że mity są wszędzie. Ważne jest tylko, by wybrać właściwe – mądre, a nie głupie. Te pierwsze umacniają poczucie wspólnoty i pomagają uwolnić kraj od kręactwa, cynizmu, interesowności i bałaganu myślowego. Szansa na taką poprawę pojawia się zwykle po większym przesileniu politycznym. Czyli może na przykład teraz. Te drugie działają nieustannie i żerują na naiwności.

Freeman ma pięknie brzmiący tytuł akademicki: awaloński profesor dyscyplin humanistycznych. Jak sugeruje nazwa tych kompetencji, wolno mu uczyć w Filadelfii dowolnych mitów, które uznaje za pouczające dla studentów; byleby to robił jasno i w dobrym stylu, bo uczy na uniwersytecie. Freeman spełnia te wymagania z nadmiarem. Pamięta oczywiście, że mity to mądre zmyślenia i że Avalon to mityczna kraina zmarłych, leżąca na nieznanym śmiertelnikom wyspie gdzieś na północno-zachodnim krańcu Atlantyku. Wypę zamieszkuje piękne czarodziejki hodujące jabłonie. Na wyspie nie ma chorób i trwa wieczna wiosna. Ziemia sama dostarcza składników do wegetariańskiej diety, i to wystarczy, bo mięsa tam się nie je. Mężczyźni też są tam zbyteczni, choć się trafiają. Na przykład królowa ma męża, choć niewiele o nim wiadomo. Chyba ma on status atrakcyjnego trutnia, i to wystarczy. Książę konsortnikom nie szkodzi. Na wyspie panuje spokój, jednopłciowy ład i niezmażone szczęście. Jak u pszczoł i mrówek. Czy to wystarczy? Feministki chyba powiedzą, że tak. Może wielbiciel *Władców pierścienia* i *Władcy pierścieni* też. To już prawie większość.

Freeman z pewnością nie jest zupełnym fantastą. Podobnie jak nie był nim Andrzej Frycz Modrzewski. Freeman nie udaje, że można mieszkać w Awalonie, tylko zajmuje się utopiami, by wykazać, że część z nich da się łatwo wcielić w życie. Coś takiego proponuje w artykule *Deliberative Democracy: A Sympathetic Comment*. Dowodzi tam, że wszyscy, którzy wierzą w demokrację, w istocie wierzą (nie zdając sobie z tego sprawy) w szczególny rodzaj demokracji, demokrację „deliberatywną”, a odrzucając demokrację „agregatywną”. Są jednak zachęcani przez przedsiębiorczych spirytyarzy do wychwalania tej drugiej.

Skryci totalitaryści pozują na zwolenników demokracji. Jeśli ktoś poświęci tej sprawie trochę uwagi, to zgodzi się jednak, że demokraci cenią demokratyczną polemikę i wspólne planowanie, a nie życie pod panowaniem organizatorów, którzy sterują polityką przez urządzanie gremialnych wieców, masowych plebiscytów i szerzących jednomyślność „ewentów” ulicznych.

Postawmy tę sprawę wyraźnie. Zwolennicy demokracji deliberatywnej to zwolennicy prawa i konstytucji, a nie propagandy i bezprzedmiotowej agitacji. Wybierają konstytucję, bo cenią sobie wolność; a transparenty, broszury i tęczowe korowody uznają za teatralne propagowanie pozorowanej tolerancji. Zwolennicy demokracji agregatywnej tylko wymuszają jednomyślność, ale nie potrafią na jej rzecz argumentować. Natomiast ci pierwsi cenią sobie racjonalność i dlatego wybierają konstytucję. Nie szkoda im czasu na dyskusje i polemiki i nie cenią tłumnej jednomyślności. Liczą na to, że trwała jednomyślność powstaje pod wpływem argumentów, a nie agitacji.

Jeśli tak sprawę postawimy, to widać wyraźnie, że stronnikami agregatywnej demokracji są przyczajeni demagogi i manipulatoři, którym łatwo przychodzi mącić w głowie trwałego ustroju opartego na prawie. To w środowisku ludzi biernych i uległych szerzy się mechanicznie nakręcana demokracja. „Wolimy iść w szeregu razem z naszymi braćmi i chcemy, by nas było jak najwięcej”. Zwolennicy agregowania nie dbają o to, czy maszerują na Kołymę, do kopalni alabastru, czy na Księżyc. Tłoczą się wokół wodza jak owce wokół przebranego wilka i od innych żądają tego samego „w imię wolności”.

Demokracja agregatywna polega na zliczaniu głosów w dowolnej sprawie i pod byle pretekstem. Taki system wstępnie wspierał Jean Jacques Rousseau, choć opisywał w swej

filozofii dwie różne koncepcje wolności. Jedna opierała się na *volonté de tous* i rejestrowała bezkrytycznie wszelkie żądania, które stawiają ludzie pewni siebie i pozbawieni preзорności. Druga koncepcja wolności u Rousseau opierała się na *volonté general* i przedstawiała oczekiwanie tych samych obywateli, gdy wyrażali swe przekonania po namyśle. Jeśli ktoś nie odróżnia tego, co mu akurat przychodzi do głowy, i tego, co wybiera, gdy się dobrze zastanowi, to jest mąciwodą i politycznym szkodnikiem. Sprawa została jeszcze lepiej postawiona u Johna Stuarda Milla, który od początku mówił wszystko jasno. Każdy może być egoistą i każdy może być obywatelem – w zależności od tego, jaką przyjmie rolę. Zły ustrój powstaje, gdy pozwalamy, by budowaliby go egoiści. Oni wybierają demokrację agregatywną. Dobry ustrój powstaje, gdy budują go obywatele. Oni wybierają demokrację deliberatywną, ponieważ myślą nie tylko o własnym interesie, ale myślą o interesie wszystkich obywateli i starają się ten interes powszechny uchwycić, opisać i ująć w system prawa opartego na wolności i równości.

Zwolennicy demokracji deliberatywnej nie uznają własnych przelotnych zachcianek i błędów w planowaniu za własne poglądy. Ich zdaniem każdy woli, zanim odda swój głos, dokładnie wiedzieć, za czym optuje. Chce, by uwzględniano jego głos w publicznej debacie dopiero wtedy, gdy uzna, że jest to głos, jaki by oddał, gdyby mógł wybrać świadomie i poważnie. A nie głos kierowany impulsem. Oczywiście nie wszystkich to odróżnienie przekonuje, ponieważ są ludzie, którzy mają te same przekonania przed namysłem i po namyśle. Im niestety namysł nic nie daje. Ci ludzie nie nadają się do polityki w ogóle, ale garną się do niej, krzyczą, bronią swojej wersji demokracji (a jest to oczywiście wersja agregatywnej) i utykają w absurdach. Domagają się wolności dla równości i wolności dla wolności. Nie słyszą, co sami mówią. Żądanie wolności to postulat rozsądny w pewnych granicach. Ale żądanie wolności w imię wolności to postulat, byśmy się poddali bezmyślnej anarchii, która – jak już pisał Platon – prowadzi bezpośrednio do despotyzmu. Gdy wszystkim grozi kompletny bałagan i samowola, większość szuka umiarkowanych despotów, ale rzadko ich znajduje i musi poprzestać na byle jakim tyranie.

Jeśli Freeman ma rację, to w wolnym świecie ostre konflikty powstają nie między totalitarystami i liberałami – jak się zwykle sądzi – tylko między zwolennikami demokracji agregatywnej i deliberatywnej. Obecnie to jest już dość jasne, ale przez lata nikt nie spostrzegł, że system polityczny faworyzuje specjalnego rodzaju cwaniaków, którzy skrycie kierują się prostą zasadą: „Moja wersja demokracji (oczywiście jest to wersja agregatywna) mówi, że każdy głos liczy się tak samo i to jest ostatecznie najlepsza metoda ogłupienia mniejszości. Tylko niewiele mi to szkodzi. Ja się godzę na to, by większość mogła zrobić z mniejszością, co jej się podoba. Tak świat wygląda i temu służą wybory. A co się stanie z mniejszością, mało mnie obchodzi. Niech idzie do diabła. Sama się stawia na marginesie”.

Zwolennik demokracji deliberatywnej mówi coś zupełnie innego: „Podczas głosowania rolę obywateli będących demokratami, a może nawet ich obowiązkiem, jest wyrażenie swoich bezstronnych przekonań na temat tego, co prowadzi do wspólnego dobra wszystkich obywateli, a nie osobistych preferencji opartych na poglądach na temat tego, jakie środki wpływają na ich jednostkowe lub grupowe preferencje” (Freeman).

Ten argument nie tylko ujawnia różnicę między demokracją agregatywną i deliberatywną, ale także wyjaśnia, jak to było możliwe, że na Hitlera i na Stalina głosowała zawsze jakaś większość. Ci ludzie chodzący tłumnie zawsze głosowali tak, jak im kazano, i głosowali tak tylko dlatego, że to samo robili wszyscy (lub prawie wszyscy). W demokracji agregatywnej działa mimikra i staje się główną religią. Nikt niepewny swoich racji nie chce występować przeciw większości. Bo zwyrodniała demokracja zagłusza przeciwników i nie chce z nimi dyskutować. Skołowane społeczności chętnie poddają się jednolitej perswazji i oddają za bezcen swe poparcie polityczne demagogom i manipulatorom.

Istnieje jednak sposób na zatrzymanie tej politycznej manipulacji. Racjonalną odpowiedzią na populizm jest konstytucjonalizm. Nie ma powodu za każdym razem, gdy społeczeństwo staje przed trudnym wyborem, urządzić plebiscyt i pytać, czy chcemy szczepionek, prac zadawanych do odrobienia w domu, GPT w internecie, nocnych autobusów, wyższych podatków na opiekę medyczną, płatnych urlopów, droższych papierosów, homoseksualistów ukrytych w domach poprawczych lub wśród księży. Na te wszystkie pytania raz na zawsze odpowiada konstytucja. A gdy odpowiada źle – bo tak się też zdarza – to najpierw trzeba publicznie udowodnić, że odpowiada źle, a potem dopiero wolno ją ostrożnie zmienić. Ale zmieniać trzeba tak, by za dwa lata nie trzeba jej było układać na nowo. To jest realne zagrożenie. Tak jak pojedynczy człowiek czasem kieruje się impulsem, a czasem rozważa, podobnie całe społeczeństwo, czasem podlega impulsywnym nastrojom, a czasem kieruje się jasnym namysłem. Kto tych sytuacji nie odróżnia, niech wraca do Frycza Modrzewskiego lub niech czyta Freemana.

**Wolności polityczne są wprowadzane do życia publicznego tylko przez dobrą konstytucję, opartą na zasadach wolności, równości i poszanowania prawa, przy założeniu, że prawo będzie stosowane bezstronnie, konsekwentnie i oględnie**

Konstytucjonalizm to sposób na zaprowadzenie kolektywnej demokracji deliberatywnej. Los państwa i społeczeństwa kładzie w ręce ludzi sprawdzonych i bezstronnych, tak by ich los zależał od wiary w trwałość porządku prawnego. Natomiast w demokracji agregatywnej konstytucja jest po prostu zbędna i chyba widzieliśmy to już na wielu przykładach. Czy będziemy to widzieli znów? Być może. Wystarczy, by aktualna lub przyszła władza znów wprowadzała konstytucję na pokaz i mydliła oczy propagandą polityczną, stylizowaną na wolną prasę.

Warto więc pamiętać, że wolności polityczne są wprowadzane do życia publicznego tylko przez dobrą konstytucję, opartą na zasadach wolności, równości i poszanowania prawa (tak brzmią lekko zaktualizowane hasła rewolucji francuskiej), przy założeniu, że prawo będzie stosowane bezstronnie, konsekwentnie i oględnie. Trzeba więc uwzględniać nie tylko zasadę legalizmu, czyli: *nullum crimen sine lege*, ale także zasadę proporcjonalności kary do winy: *poena non magis gravis esse debet quam dolor delicti fuit* (kara nie powinna być bardziej surowa niż cierpienia ofiary). Ta ostatnia paragraf nie jest oczywiście starożytna, ale zapewniam, że jest wiarygodna, a jej źródło jest łatwe do odgadnięcia (np. licealiści, którym nie wolno już pisać prac domowych, bez trudu zgodną, skąd pochodzi). Natomiast domaganie się surowszych represji niż te, które wyznacza powyższa zasada, nie leży w dziedzinie sprawiedliwości, tylko raczej pedagogiki penitencjarnej. Jeśli więc ktoś chce stosować surowe kary, niech to robi pod poprawną nazwą (re-kompensata), a nie mylącą (retrybucja).

Wiemy już dość na temat demokracji deliberatywnej, by uznać, że o konstytucję trzeba dbać niezmiernie, ponieważ bez konstytucji społeczeństwo skazane jest na rządy satrapów i bezmyślnego tłumu. XXI wiek nie usunął plag tych szkodników. Może to zrobić tylko wiara w skutecznie i bezstronnie działającą konstytucję. Trzeba więc zadać pytanie, jak powstaje dobra konstytucja, kto ma prawo ją formułować i komu wolno ją poprawiać. To są dość skomplikowane kwestie i nie ma w tej sprawie jednolite uznanych zasad. Niektóre zbieżności są jednak znamienne. Konstytucja zawsze ustala obowiązki i uprawnienia obywateli, tworzy instytucje polityczne, określa źródła prawa, ustala zasady działania administracji państwowej, określa granice i formy egzekwowania postuszeństwa.

Ciąg dalszy na s. 6



**Prof. Jacek Hołówka - Każda władza...**

Dokończenie ze s. 5

Chciałbym zatem omówić przynajmniej trzy najważniejsze problemy z tego zakresu: rozdzielenie kompetencji poszczególnych władz (*tripartite division*), regułę egzekwowania uprawnień wykonawczych (*checks and balances*) i rolę precedensów w administracji i sądownictwie. Wspieranie się angielskimi terminami to dobra praktyka, ponieważ wiara w konstytucję przeżyła swój największy rozkwit w Stanach Zjednoczonych. Dlatego, to osobna sprawa, i nie musi nas teraz zajmować.

Ustalmy tylko tyle. Każda dobrze działająca konstytucja eliminuje spory kompetencyjne. Jeśli tego celu nie osiągnie, skazuje społeczeństwo na królestwo, w którym rządzą, a w rzeczywistości w demokracji agregatywnej, czyli na populizm. Kto to odkrył? Często się mówi, że Monteskiusz lub ojcowie założyciele Stanów Zjednoczonych. Myślę, że to mało wnikliwie ustalenie. Zwróćmy uwagę, że i Monteskiusz, i federaliści opierali się na Cynceronie. To się nie stało przez przypadek. To, co najważniejsze, jest już u Cyncerona: „Choć zatem jest prawdą, że królestwo, wedle mej opinii, jest zdecydowanie najlepszym z trzech prostych ustrojów; jednak umiarkowana i zrównoważona forma rządów, jaka powstaje z połączenia trzech prostych ustrojów, przewyższa nawet królestwo. Tak jest dlatego, że w państwie powinien występować jakiś najwyższy i królewski składnik, i jakaś władza powinna być przypisana wybitnym obywatelom, a wreszcie pozostałe sprawy powinny być pozostawione osądowi i pragnieniom mas. Dopiero taki ustrój zapewni wszystkim wysoki stopień równości, co jest wymaganiem, z którego wolni ludzie nie potrafią zrezygnować na dłuższą metę, a ponadto tylko on gwarantuje państwu stabilność. Jest tak dlatego, że wymienione podstawowe formy łatwo przemieniają się w odpowiadające im formy wypaczone. Króla zastępuje tyran, arystokracja przemienia się w oligarchię, a lud staje się tłuszcza i w konsekwencji powstaje anarchia. Choć wymienione ustroje często się zmieniają w inne, to tak się z reguły nie dzieje w przypadku ustroju mieszanego i zrównoważonego, dopóki go nie podważą poważne błędy klasy rządzącej. Bo przecież nic nie wymusza zmiany, jeśli każdy obywatel czuje się bezpieczny na swojej pozycji, a pod nią nie leży jakaś wypaczona wersja jego stanowiska, w którą mógłby się osunąć i popaść” (*De re publica - „O rzeczypospolitej”*).

Tu widać już prawie wszystko. Dobry ustrój to ustrój mieszany, czyli połączenie władzy królewskiej, arystokratycznej i ludowej. Taki ustrój był oczywiście inspirowany przez Arystotelesa, ale sam Arystoteles nie uważał podanego przez siebie porządku za ustrój złożony i trwały. Twierdził, że królestwo degeneruje się w despotyzm, arystokracja w oligarchię, a *politeja* w ochlokrację, czyli rządy motłochu. Ponadto nie wierzył, że trzy klasy mogą rządzić jednocześnie. Dlaczego nie wierzył? Ponieważ nie wierzył w trwałość prawa. Trwałość prawa w ustroju politycznym to pomysł Cyncerona, sugerowany, rzecz jasna, świetnym funkcjonowaniem rzymskiej tradycji prawnej. Sam był doskonałym obrońcą ludzi tendencyjnie oskarżonych lub mętnie pomawianych o rozmaite zbrodnie. Tak zdobył sobie uznanie wielu senatorów i tysięcy mieszkańców Wiecznego Miasta.

Pomysł, na którym opierał się ustrój mieszany, nie zadziałał skutecznie w Rzymie. W Senacie klasa patrycjuszów, czyli dziedzice wielkich fortun, reprezentowali się sami i zawsze mówili pierwsi. Ekwicy mówili po nich, bo płacili nieco niższe podatki i budowali swój majątek i władzę w administracji majątków. Trudnili się handlem, rzemiosłem, rolnictwem, wydobywaniem surowców, pośrednictwem handlowym, inwestycjami w koloniach. Reprezentowali się sami albo przez wybranych senatorów, reprezentujących po kilka bogatych rodzin. Plebejusze nie płacili podatków, ale mieli w sumie dwóch trybunów ludowych, którzy według własnego uznania reprezentowali ich interesy.

Ten porządek miał się rozpaść, ponieważ rolę króla w Senacie odgrywał *princeps*, najwyższy rangą i doświadczeniem senator, który przewodniczył podczas najważniejszych sporów, dotyczących głównie spraw wojny i pokoju. Od 27 roku funkcję *princepsa* przejął Oktawian August, pierwszy cesarz, i zgodnie z przewidywaniami Arystotelesa władza jednoosobowa oparta na wiedzy i prestiżu zdegenerowała się do tyranii opartej na sile. Jednak

związek między trzema klasami w Rzymie i trzema władzami w republice jest uderzający i być może Cynceron już go dostrzegł. Przez wiele lat nie został jednak wyodrębniony w teorii. Dopiero twórcy amerykańskiej konstytucji wyraźnie wyodrębnili trzy władze polityczne – i to oni stworzyli podwaliny republikańskiej konstytucji.

Wspólne intencje tych autorów wyraził James Madison w artykule zamieszczonym w nowojorskiej prasie, a później utrwalonym jako *Esej 51* w zbiorze *The Federalist Papers*. Autorzy mają poczucie niezwyklej ważności tego, co starają się ustalić. Piszą: „Bo czym jest rząd, jeśli nie najważniejszym odbiciem natury ludzkiej?”. Są też świadomi zasadniczych zagrożeń w polityce. Despotyzm, samowola i nadużycia finansowe powstają pod działaniem niepokromionej ambicji. To też jest główna wada każdego sfrustrowanego polityka. Przeciw niej znają tylko jeden środek zaradczy: „Ambicja musi być powstrzymana przez ambicję”. To jest chyba celowo użyta dwuznaczność. Po pierwsze, ambicja każdego polityka powinno być powściągnięciem własnej ambicji. Po drugie, ambicją każdego urzędu powinno być pohamowanie nieuprawnionych roszczeń innych urzędów. W ten sposób autorzy identyfikują motyw psychiczny i funkcjonalny każdej błędnej polityki. Nadmiar pewności siebie i dążenie do nieosiągalnych celów niszczy ustrój republikański.

Każda władza musi być „ograniczona i zrównoważona”. I to jest niepodważalna myśl tego eseju: „Do jakiego sposobu mamy się zatem uciec, by umocnić niezbędną praktykę podziału władzy między nieliczne urzędy wymienione w konstytucji? Mogę dać tylko jedną odpowiedź. Wszystkie zewnętrzne zabezpieczenia, jakie by podjęto, okażą się niewystarczające, a błędów nie da się uniknąć w inny sposób niż przez skonstruowanie takiej wewnętrznej struktury rządu, by jego części składowe mocą zachodzących między nimi relacji pozostawały na właściwych dla siebie miejscach”.

Powstała olbrzymia literatura na temat zasady „ograniczenia i zrównoważenia”. W amerykańskim społeczeństwie każde dziecko uczy się o niej w szkole. Standardową interpretację tej zasady podaje Akademia Khana. Jej założyciel, człowiek z trzema dyplomami amerykańskich uczelni, Salman Amin Khan, jest zaliczany przez tygodnik „Time” do stu najbardziej wpływowych ludzi na świecie. Wśród uczniów Akademii byli dzieci Billa Gatesa, a ich ojciec zapraszał Khana na sponsorowane wykłady „na żywo” (*live*) – co jest ewenementem w epoce nauczania online.

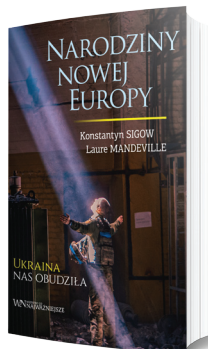
W interpretacji Akademii Khana zasada „ograniczenia i zrównoważenia” interpretowana jest przez trzy pary wpływów między władzą ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. Kongres kontroluje prezydenta i władzę sądowniczą przez możliwość zastosowania procedury odwołania z urzędu (*impeachment*). Tak zdjęto z urzędu Andrew Johnsona w 1868 roku, Billa Clintona w 1998 i Donalda Trumpa dwa razy, raz w 2019 i po raz drugi w 2021 roku; za drugim razem na tydzień przed końcem kadencji za wzniecanie rebelii. *Impeachment* jest procedurą nieodwoływalną, jednak zdjęcie z urzędu, jak wielu Amerykanów dowiedziało się ze zdumieniem, jest procedurą wyłączającą, ale nie wykluczającą. Zdejmuje prezydenta ze stanowiska, ale nie uniemożliwia mu ponownego kandydowania w kolejnych wyborach. Niemniej jest to procedura w wysokim stopniu wspierająca praworządność.

Trójpodział władzy realizuje funkcję „ograniczenia przez zrównoważenie” (*checks and balances*) przez trzy pary władz: 1. Prezydent kontroluje Kongres i władzę sądowniczą przez zastosowanie prawa weta wobec decyzji podjętej przez władzę ustawodawczą oraz przez stosowanie wyłącznego uprawnienia do nominowania sędziów Sądu Najwyższego; 2. Sąd Najwyższy ma ostateczną prerogatywę stwierdzania, czy jakaś propozycja ustawy jest niekonstytucyjna lub czy jakaś decyzja prezydenta jest zgodna lub niezgodna z konstytucją; 3. Władza sądownicza decyduje, czy prezydent działa w zgodzie z konstytucją.

Te ustalenia nie wystarczyły do tego, by zapobiec wielkim błędom politycznym w pracy amerykańskich instytucji rządowych w przeszłości. Znaczna część społeczeństwa USA uważała, że przedłużanie wojny w Wietnamie było błędem. Znaczna część dziś uważa, że brak powszechnego ubezpieczenia medycznego jest błędem. Nie są to jednak błędy, których nie można by naprawić w przyjętym systemie podejmowania decyzji.

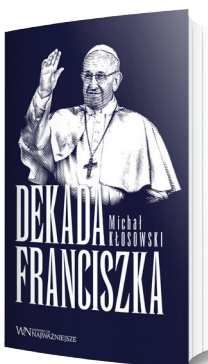
## WN WSZYSTKO CO NAJWAŻNIEJSZE

to także wydawnictwo książkowe,  
w którym ostatnio ukazały się:



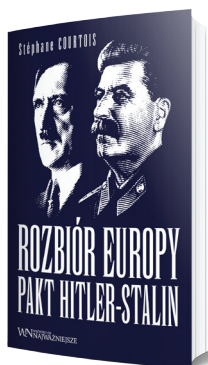
### Laure MANDEVILLE, Konstantyn SIGOW „Narodziny nowej Europy. Ukraina nas obudziła”

Ukraina zmieniła Europę. Polityka prowadzona wobec Rosji okazała się fiaskiem. Co dalej? Wybitny ukraiński filozof i francuska dziennikarka docierają do sedna europejskiego problemu z krajem Władimira Putina.



### Michał KŁOSOWSKI „Dekada Franciszka. Nowy świat papieża”

Dekada pontyfikatu Franciszka była dla Kościoła katolickiego przełomem, który trudno przecenić. Jakie wnioski można wyciągnąć z tego czasu? W jakim kierunku podążą Kościół i świat?



### Stéphane COURTOIS „Rozbiór Europy. Pakt Hitler-Stalin”

Jeśli historia jest nauczycielką życia, to dlaczego część Europy nie wyciągnęła wniosków z tego, co wydarzyło się na Starym Kontynencie przed II wojną światową? Doskonała analiza wybitnego francuskiego historyka, Stéphane'a Courtois, który wyjaśnia, w jaki sposób pakt Hitler-Stalin wpłynął na dzisiejszą rzeczywistość.



### Michel WIEVIORKA „Co z tą Francją, Panie Macron?”

Emmanuel Macron potrafi odnaleźć się na światowych salonach. Ale czy rozumie współczesną Francję? Prof. Michel Wieviorka, jeden z najwybitniejszych francuskich intelektualistów, egzaminuje prezydenta Macrona ze znajomości własnego kraju.



### Éric ZEMMOUR „Francja nie powiedziała ostatniego słowa”

Kraj, który przez dekady był punktem odniesienia dla świata, przechodzi kryzys, jakiego nie znał od wieków. Czy przetrwa? Czy i kiedy wyłoni się nowa forma Francji? Lektura obowiązkowa nie tylko dla frankofilów, ale i dla każdego, kto chce zrozumieć Francję – i Europę.

Z A M Ó W I E N I A

[www.SklepIdei.pl](http://www.SklepIdei.pl)





Zbrodnia katyńska

Zbrodnia katyńska to jeden z najbardziej okrutnych aktów wojennego terrorku, jakich w czasie II wojny światowej doświadczyła Polska. Powszechnie znane są zbrodnie hitlerowskich Niemiec, popełnione na okupowanych przez nie ziemiach polskich, począwszy od 1939 roku, na czele z Zagładą Żydów. Zbrodnie sowieckie, równie przerażające i haniebne, nadal pozostają mniej znane w świecie. W 84. rocznicę mordu katyńskiego składam hołd jego ofiarom. Chcę też przypomnieć tę zbrodnię NKWD jako wciąż aktualne ostrzeżenie przed rosyjskim imperializmem, który zagraża Europie i światu także dziś.

Katyńskiej masakry dokonała sowiecka Rosja wiosną 1940 roku. Była to zbrodnia wojenna. Sprawcy pozbawili życia ponad 20 tysięcy obywateli polskich, w większości jeńców wojennych,

# Zginęli za wierność Polsce

## Zbrodnia katyńska to wciąż aktualna przestroga dla wolnego świata przed rosyjskim imperializmem

oficerów Wojska Polskiego i funkcjonariuszy Policji Państwowej, którzy zginęli, bo śledczy NKWD uznali ich za nieprzejednanych wrogów komunizmu. Decyzja o egzekucji zapadła na najwyższych szczeblach władz ZSRS. Początkowo Sowietci próbowali nakłonić pojmanych oficerów i innych uwięzionych Polaków do porzucenia wierności niepodległej Ojczyźnie i do współpracy na rzecz interesów Moskwy. Ale to im się nie udało. Jak stwierdził szef NKWD Ławrientij Beria w notatce dla Stalina, polscy jeńcy wojenni byli „zatwardziały, nierokującymi poprawy wrogami władzy sowieckiej”.

Dlatego ponad 20 tysięcy ludzi musiało zginąć. Bez procesu, bez przedstawienia zarzutów, bez możliwości obrony. Zginęli, bo byli wierni swojej Ojczyźnie i narodowi. Mord katyński, popełniony na jeńcach wojennych, stanowił przy tym pogwałcenie wszelkich norm moralnych i prawa międzynarodowego, na czele z konwencjami genewskimi.

**Ludzie ci zostali zamordowani, bo zagrażali sowieckim interesom.** Ich śmierć była niepowetowanym ciosem dla naszego narodu. Zgładzono część elity intelektualnej: prawników, lekarzy, urzędników, nauczycieli, dziennikarzy – oficerów rezerwy zmobilizowanych do służby w armii wobec zbliżającej się wojny. Zgładzono ich, by uniemożliwić odrodzenie się suwerennego państwa polskiego. Dzięki tej zbrodni Sowietci od 1945 roku mogli o wiele łatwiej wprowadzić nowy, totalitarny porządek w naszym kraju.

Dziś – po 84 latach od tamtych wydarzeń, a także 35 lat po upadku komunizmu w Polsce – jesteśmy w Europie świadkami kolejnego odrodzenia imperializmu rosyjskiego. I trzeba być świadomym, że to odrodzenie nie zaczęło się 24 lutego 2022 roku, wraz z pełnoskalową agresją Rosji na Ukrainę. Już w 2008 roku Rosja zaatakowała Gruzję, a w 2014 roku dokonała zbrojnej aneksji ukraińskiego Krymu i Donbasu.

**Władimir Putin, rozpętując przed dwoma laty największy konflikt w Europie od czasów II wojny światowej, pokazał jasno, że zmierza do tych samych celów co niegdyś przywódca Rosji sowieckiej.** Próbuje przemoć zniszczyć wartości wolnego świata: wolność, pokój i bezpieczeństwo. Dlatego wojska rosyjskie na Ukrainie od początku agresji dopuszczają się mordów i gwałtów na ludności cywilnej, dążąc do sterroryzowania całego narodu ukraińskiego i złamania w obrobach woli oporu.

Putin nie ukrywa przy tym ani trochę swych imperialnych dążeń. W licznych wypowiedziach publicznych często określa Ukrainę nie jako państwo niepodległe i suwerenne, lecz jako terytorium przynależne Rosji. Porównuje się nawet do cara Piotra Wielkiego, argumentując, że – podobnie jak władca sprzed trzech stuleci – wcale nie podbija ościennych państw, ale walczy o ziemie prawowicie należące do Rosji.

Oczywiście to wszystko są jawne kłamstwa, które nie mają nic wspólnego z prawdą historyczną. Kłamstwo od wieków stanowi integralną część rosyjskiej propagandy imperialnej. Sowietci przez pół wieku zaprzeczali swojej odpowiedzialności za zbrodnię katyńską. Potwierdzili rosyjskie sprawstwo dopiero na początku lat 90. XX wieku. Dziś Rosja zaprzecza zbrodniom, których dokonała w wielu ukraińskich miejscowościach. Dlatego my, Polacy, doskonale rozumiemy cierpienie Ukraińców, solidaryzujemy się z nimi i wspieramy ich w walce.

**Od dwóch lat powtarzam: rosyjski imperializm musi zostać zatrzymany, Rosja musi wycofać się z ziem ukraińskich, a zbrodnia rzy wojennych musi osiągnąć kara.** Rosja łamie prawo międzynarodowe, jest agresorem i okupantem ziem ukraińskich.

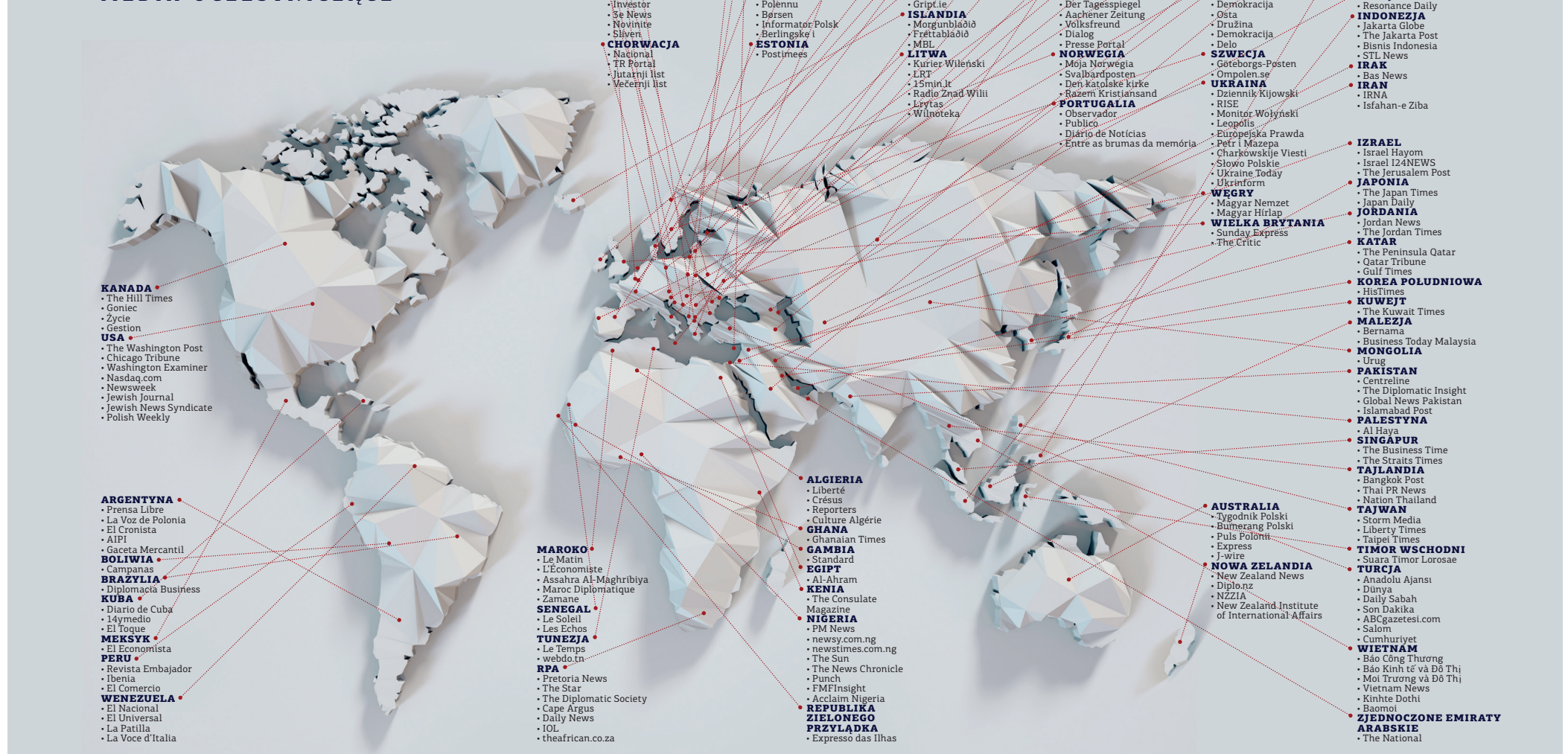
Dziś obywatele państw wolnego, demokratycznego Zachodu muszą być świadomi, że rosyjski imperializm nie zatrzyma się na Ukrainie. Jeśli ten kraj zostanie podbity, potem przyjdzie kolej na inne, takie jak państwa bałtyckie czy Mołdawia. A potem na kolejne. Dlatego narody zachodniego świata muszą być zjednoczone w przeciwstawianiu się imperialnym dążeniom Rosji. Tylko zjednoczeni w obronie wolności i demokracji możemy sprawić, by ustały okrutne zbrodnie wojenne; by w Europie znów zapanował pokój.

**W 84. rocznicę zbrodni katyńskiej wspominam poległych i oddaję cześć ich pamięci.** Ich bohaterska postawa i poświęcenie są dziś drogowskazem dla nas, współczesnych. A mord popełniony przez Sowietów powinien być przestroga przed tym, do czego zdolny jest rosyjski imperializm. Musimy zrobić wszystko, by go powstrzymać.

Wszystko co Najważniejsze

# OPOWIADAMY POLSKĄ ŚWIATU

MEDIA UCZESTNICZĄCE



Projekt „Opowiadamy Polskę Światu” realizowany jest od 2017 r. przez Instytut Nowych Mediów, wydawcę miesięcznika opinii „Wszystko co Najważniejsze”. Szczególne podziękowania kierujemy do wspierających kolejne edycje projektu: Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, Centrum Informacyjnego Rządu, Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Instytutu Pamięci Narodowej, Biura Prasowego Episkopatu Polski, Narodowego Banku Polskiego, Giełdy Papierów Wartościowych, Polskiej Fundacji Narodowej, Polskiego Funduszu Rozwoju, Agencji Rozwoju Przemysłu, Banku Gospodarstwa Krajowego, Fundacji State of Poland, Fundacji Orlen, Grupy PZU, KGHM Polska Miedź, Polskiej Agencji Prasowej, MSL Publicis Groupe.

- Do redakcji w ponad 70 krajach świata trafiają – na zasadzie wymiany tekstów pomiędzy redakcjami – artykuły wcześniej publikowane we „Wszystko co Najważniejsze”. W ostatnim czasie były to teksty nt. polskiego bohaterstwa, beatyfikowanej rodziny Ulmów oraz 30-lecia wyścia Rosjan z Polski. W najnowszej edycji projektu piszemy o zbrodni katyńskiej. Jak pisze prezydent Andrzej DUDA: „Mord popełniony przez Sowietów powinien być przestroga przed tym, do czego zdolny jest rosyjski imperializm. Musimy zrobić wszystko, by go powstrzymać”. Tę edycję projektu realizujemy we współpracy z Instytutem Pamięci Narodowej.
- 1 650 000 000 (ponad półtora miliarda!) zasięgu miały publikacje 87 artykułów w ponad 70 krajach (wszystkie dane: analiza PAP). 221 172 250 wyniósł łączny zasięg źródłowy (a więc bez proliferacji, cytowań i mediów społecznościowych, wyłącznie teksty na portalach i w aplikacjach, bez tradycyjnych wydań papierowych). 36 918 691 to zasięg artykułu Mateusza MORAWIECKIEGO „Topicality of the World War II”, opublikowanego w globalnym wydaniu „Newsweeka” i popularyzowanego na platformach MSN.com, Daillyhunt, IOL i in. Warto podkreślić, że projekt realizowany jest bez płatnych reklam, wyłącznie poprzez wypracowane przez lata relacje z mediami.
- Wcześniej największy zasięg zanotowała seria tekstów na 40-lecie „Solidarności” – publikacje w 38 krajach wygenerowały 1 014 000 000 zasięgu. Dużym zaciekawieniem cieszyły się w redakcjach na całym świecie także „Opowiadamy Polskę Światu” wokół 100-lecia urodzin św. Jana Pawła II, rocznic Bitwy Warszawskiej, Grudnia '70, Konstytucji 3 maja, ponadto z ogromnym zainteresowaniem spotkała się seria tekstów o osiągnięciach polskiej nauki, Fryderyku Chopinie czy też seria tekstów najwybitniejszych światowych ekonomistów przygotowana na Forum Ekonomiczne w Davos. Wszystkie teksty w wolnym dostępie na www.WszystkoCoNajwazniejsze.pl.





**Karol NAWROCKI**

Prezes Instytutu Pamięci Narodowej

### Zbrodnia katyńska

Znajomi ostatni raz widzieli go na stacji kolejowej w Bydgoszczy. Józef Dróbka kazał przekazać rodzinie, że ma się dobrze i do domu wróci tak szybko, jak to będzie możliwe. Był wśród tysięcy Polaków zmobilizowanych późnym latem 1939 r. Mieli bronią ojczyzny przed niemiecką napaścią, ale 17 września – w trzecim tygodniu wojny – od wschodu uderzył na kraj jeszcze jeden potężny wróg: Armia Czerwona. Dróbka znalazł się w gronie tych, którzy dostali się do sowieckiej niewoli.

**Dwa totalitarne reżimy, wbrew różnicom ideologicznym złączone w tym czasie wspólnym paktem, od początku siały terror na podbitych ziemiach polskich.** Symbolem krwawej okupacji niemieckiej są do dziś kominy Auschwitz i innych obozów zagłady, ale też doły śmierci w miejscach masowych egzekucji, takich jak Palmiry czy Piaśnica. Z brutalną okupacją sowiecką nieodłącznie i najmocniej kojarzy się zaś słowo „Katyń”.

„Smutny dzień – nic nie wiadomo, co w domu” – notował w Wigilię 1939 roku jeden z Polaków osadzonych w sowieckim obozie w Kozielsku. Tam i w Starobielsku przetrzymywano oficerów Wojska Polskiego. Do Ostaszkowa skierowano głównie policjantów, żandarmów, funkcjonariuszy Straży Wewnętrznej, Korpusu Ochrony Pogranicza i Straży Granicznej (wśród tych ostatnich także Józefa Dróbkę). Polskimi patriotami szybko zapełniały się też więzienia tzw. Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy – jak Sowieci nazywali wschodnie ziemie II Rzeczypospolitej, bezprawnie przyłączone do ZSRS.

# Katyńska blizna

**Wiosną 1940 roku Sowieci zgładzili bez wyroku sądowego kwiat polskiej inteligencji. Dziś rosyjskie władze chciałyby widzieć w tej zbrodni pospolite przestępstwo, podlegające przedawnieniu**

Los tych ludzi został przesądzony na początku marca 1940 roku. Wtedy to Ławrientij Beria, szef osławionego NKWD, w notatce do sowieckiego przywódcy Józefa Stalina zasugerował rozstrzelanie – bez żadnego sądu – 14,7 tys. polskich jeńców wojennych i 11 tys. więźniów. Tłumaczył, że są to „zdeklarowani i nierokujący poprawy wrogowie władzy sowieckiej”.

W tej diabelskiej argumentacji była pewna logika. Ludzie, których postanowił zgładzić Beria, w minionym dwudziestolecu wiernie służyli państwu polskiemu i z pewnością nie pogodzili się z utratą niepodległości.

**Dróbka jeszcze w roku 1920 zaciągnął się do Wojska Polskiego.** W szeregach 17. Pułku Ułanów Wielkopolskich wziął wówczas udział w wojnie z bolszewikami, którzy „po trupie białyj Polski” chcieli nieść Europie swą krwawą rewolucję. Gdy najazd udało się odeprzeć i nastał pokój, Dróbka służył w Straży Celnej, a następnie Straży Granicznej. „Gorliwy, obowiązkowy, pilny, służbę wykonuje z poświęceniem” – czytamy w opinii wystawionej mu przez przełożonego. W roku 1939 pracował w drużynie sztabowej Komendy Obwodu SG w Chojnicach. Miał żonę, troje dzieci – i trzypokojowe mieszkanie. Wojna przerwała to stabilne życie.

„Był płacz, ale i nadzieje szybkiego powrotu” – tak jego wnuk Zdzisław pisał po latach o chwili rozstania z dziadką z rodziną. Dróbkowie, jak wielu ich rodaków, wierzyli w pomoc zachodnich sojuszników Polski: Francji i Wielkiej Brytanii. Ta jednak nie nadeszła – ani we wrześniu 1939 roku, ani w kolejnych miesiącach.

**Stalin i jego najbliżsi współpracownicy zatwierdzili tymczasem diabelską propozycję Berii.** 3 kwietnia 1940 roku rozpoczęło się „rozładowywanie” obozów polskich jeńców w ZSRS. Osadzeni w Kozielsku byli wywożeni do Katynia pod Smoleńskiem i tam mordowani. Jeńców ze Starobielska zabijano w Charkowie, a tych spod Ostaszkowa – w piwnicach siedziby NKWD w Kalininie (obecnie to Twer).

Rozstrzeliwanie rozpoczynano wieczorem, a kończono o świcie – zeznał potem Dmitrij Tokariew, w 1940 r. szef Obwodowego Zarządu NKWD w Kalininie. Zapamiętał on, że w jednym z pomieszczeń sprawdzano perso-

nalia, a następnie daną osobę skuwano i prowadzono do celi śmierci. Tam ofiara ginęła od strzału w tył głowy. Zwłoki układano na ciężarówkach i rankiem wywożono w pobliże miejscowości Miednoje, gdzie na skraju lasu był już przygotowany dół, mogący pomieścić 250 zwłok. Właśnie tak musiała wyglądać ostatnia droga Józefa Dróbkę, zamordowanego 27 kwietnia.

Równolegle w Kijowie, Mińsku i innych miejscach trwała zagłada polskich więźniów. Dziś sowiecki mord na Polakach z wiosny 1940 roku nazywany jest powszechnie zbrodnią katyńską. Wiadomo, że łącznie pochłonęła ona życie co najmniej 21 768 osób.

**Nie przypadkiem mówimy, że w Katyniu został wymordowany kwiat polskiej inteligencji.** Na liście ofiar znajdziemy bowiem wysokich rangą oficerów Wojska Polskiego i innych służb mundurowych, księży, ale też ludzi, którzy w cywilnym życiu byli lekarzami, inżynierami, prawnikami, nauczycielami czy urzędnikami. Trzeba jeszcze dodać, że sowieckie represje spadły też liczne rodziny pomordowanych. Zostały one deportowane w głąb ZSRS, na „nieludzką ziemię”.

**Zbrodnia Katyńska miała na zawsze pozostać tajemnicą.** Jednak w kwietniu 1943 roku Niemcy – którzy od prawie dwóch lat prowadzili wojnę przeciwko Sowiutom – zdążyli posunąć się daleko na wschód – ogłosili światu odkrycie w Katyniu zwłok polskich oficerów. Na miejsce zbrodni zaprosili Międzynarodową Komisję Lekarską. Choć sami popełniali nie mniej straszne zbrodnie i również zacierali ich ślady, w przypadku Katynia mieli interes w ujawnieniu prawdy.

Stalin szedł w zaparte. Władze sowieckie powołały własną pseudokomisję – tak zwaną Komisję Burdenki. Jeszcze w czasie wojny stwierdziła ona, że zbrodni katyńskiej dokonali w 1941 roku Niemcy. Zarzut taki znalazł się również w akcie oskarżenia przeciwko głównym niemieckim zbrodniarzom wojennym sądzonym w Norymberdze. Tak rozdziło się i umacniało kłamstwo katyńskie.

Przez kolejnych kilkadziesiąt lat obowiązywało ono nie tylko w Związku sowieckim, lecz również we wszystkich krajach Europy Środko-

wo-Wschodniej, które u schyłku II wojny światowej znalazły się w strefie wpływów ZSRS. Na fundamencie kłamstwa katyńskiego budowana też była komunistyczna władza w Polsce, przyniesiona na sowieckich bagnietach. Każdy, kto próbował głosić prawdę o Katyniu lub choćby jej dociekać, był narażony na represje.

**Bliscy Józefa Dróbkę długo nie wiedzieli, co się z nim stało.** Sąd Grodzki w Chojnicach kilka lat po wojnie uznał go za zmarłego, a jako datę zgonu przyjął... 9 maja 1946 roku. „Rodzina mówiła półsłówkami bądź milczała” – wspomina Zdzisław Dróbka. W roku 1963 babcia dała mu dziadkowy guzik z polskim orzełkiem. „Masz i szukaj” – powiedziała. Ale poszukiwania Józefa Dróbkę w Polsce i za granicą nie dawały rezultatu.

**Władze sowieckie dopiero w kwietniu 1990 roku – na fali głośności – przyznały, że zbrodnia katyńska była jedną z „ciężkich zbrodni stalinizmu”.** W tym samym roku Dróbkowie dowiedzieli się, że Józef prawdopodobnie był jeńcem Ostaszkowa i został zamordowany w Kalininie. Później informacja się potwierdziła. W roku 1993 Zdzisław Dróbka pojechał do Miednoje, by w miejscu kaźni dziadka wkopać krzyż i pobrać stamtąd ziemię. Kilkanaście lat później zasadił mu Dąb Pamięci w Centralnym Ośrodku Szkolenia Straży Granicznej w Koszalinie.

**Katyń to ważna część polskiej historii i pamięci.** Traumą związaną z tym, co wydarzyło się 84 lata temu, dodatkowo wzmacnia w Polakach tragedia sprzed czterem lat. 10 kwietnia 2010 roku ówczesny prezydent Lech Kaczyński leciał do Smoleńska, by wziąć udział w rocznicowych uroczystościach w Katyniu – by na rosyjskiej ziemi oddać hołd ofiarom i przypomnieć prawdę o sowieckiej zbrodni. W katastrofie samolotu zginęło 96 osób: prezydent wraz z żoną i wielu innych przedstawicieli elity państwa polskiego. To także nieodłączna część najnowszej historii Polski.

**Ale nie tylko dlatego ludobójcza zbrodnia katyńska to dużo więcej niż wyłącznie przeszłość.** Groby w Katyniu, Miednoje i innych miejscach pokazują nam istotę sowieckiej duszy – nastawionej na zło, zniszczenie, ekspansję. W trzeciej dekadzie XXI wieku ta dusza odradza się na nowo w nieco innym wcieleniu. Federacja Rosyjska już niemal wprost gloryfikuje swą komunistyczną przeszłość i pokazuje imperialne skłonności.

Dwa lata temu przed polskim cmentarzem w Katyniu demonstracyjnie pojawił się ciężki sprzęt budowlany. Ale prawdy katyńskiej już nawet koparki nie byłyby w stanie zasypać. ●

### Prof. Wojciech MATERSKI

Historyk specjalizujący się w historii ZSRS i stosunków polsko-sowieckich. Były dyrektor Instytutu Studiów Politycznych PAN

### Zbrodnia katyńska

Dokonany wiosną 1940 r. przez reżim sowiecki masowy mord na polskich jeńcach wojennych i więźniach, zwany zbrodnią katyńską, wymyka się wszelkim, nawet najbardziej cynicznym próbom racjonalizacji. To nie tylko wymordowanie w warunkach formalnego braku stanu wojny bez mała 22 tysięcy bezbronnych ludzi, ale też fałszowanie i ukrywanie przez dziesięciolecia prawdy o tym ludobójstwie, czynienie z niego oręża walki politycznej, niszczenia przeciwników ideologicznych.

W siedemnastym dniu wojny polsko-niemieckiej na tyły brońącego się z determinacją Wojska Polskiego uderzyła Armia Czerwona. Było to następstwem paktu Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939 r., przewidującego wspólny niemiecko-rosyjski rozbiór ziem Rzeczypospolitej. W rękach sowieckich znalazła się znaczna liczba polskich jeńców wojennych, wojskowych i cywilów. Na potrzeby ich przetrzymywania rozkazem szefa NKWD Ławrientija Berii utworzono sieć ośmiu obozów specjalnych. Oficerów, policjantów i część cywilów (elity administracyjne i kulturalne) izolowano w trzech z nich: Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku. Oboz ostaszkowski, przeznaczony głównie dla policjantów, był największy i liczył ok. 6 tysięcy jeńców; oficerów skierowano do dwóch pozostałych – kozielskiego, ok. 4,5 tysiąca, i do starobielskiego, ok. 4 tysiący.

**5 marca 1940 r. Biuro Polityczne Komitetu Centralnego WKP(b) podjęło decyzję zgodną z wcześniejszą praktyką, z okresu tłumienia buntów chłopskich czy masowego terroru lat 1937–1938.** Zdecydowano o ich wymordowaniu, uznając, że nie kwalifikują się do reedukacji w sowieckim duchu. Powołano specjalny organ, tzw. Centralną Trójkę (*Osoboje Sowiezczanije*), który miał zająć się stroną organizacyjną tego ludobójstwa, sprawić, by mimo jego kolosalnej skali dokonane zostało w sposób tajny.

Centralna Trójka podzieliła jeńców i więźniów na partie po mniej więcej sto osób, ujęte w formie wykazów („list śmierci”).

# To było ludobójstwo

**Dla Rosjan 22 tysiące polskich ofiar tej zbrodni to kropla w morzu w porównaniu z milionami ich rosyjskich ofiar po 1917 r., które nie przeszkadzają im czcić pamięci Lenina i Stalina**

Na ich podstawie komendant danego obozu wydawał partię jeńców jednostkom Wojsk Konwojowych NKWD, które transportowały ich do wskazanego obwodowego zarządu NKWD wraz z rozkazem ich wymordowania. Podobnie było z więźniami. Jeńców ze Starobielska mordowano w tzw. więzieniu wewnętrznym Zarządu NKWD w Charkowie, a grzebano w masowych grobach w strefie parkowej koło miasta. Jeńców z Ostaszkowa mordowano w więzieniu wewnętrznym w Kalininie (obecnie Twer), a grzebano w pobliskim Miednoje. Jeńców z Kozielska mordowano w Lesie Katyńskim koło Smoleńska, bezpośrednio nad dolami śmierci. Brak jak dotąd dokumentacji wskazującej, gdzie zamordowano i pogrzebano ponad 7300 więźniów. Ci, których mordowała białoruskie NKWD (tzw. lista białoruska), zapewne spoczywają w Kuropatach koło Mińska. Natomiast ci podlegli ukraińskiemu NKWD (tzw. lista ukraińska) – zapewne w różnych miejscach, z których dotąd ustalono tylko Bykownię pod Kijowem, gdzie ekshumowano ok. 500 zwłok.

**Fakt dokonanego ludobójstwa udało się zachować w tajemnicy do wiosny 1943 r.** Wówczas to, 13 kwietnia, Radio Berlin nadało komunikat, że w Lesie Katyńskim pod Smoleńskiem odkryto masowe groby zamordowanych oficerów polskich. Moskwa z miejsca oskarżyła o tę zbrodnię Wehrmacht, które to oskarżenie Anglosasi uznali za nieudowodnione w trakcie procesu norymberskiego. Niemniej Moskwa tzw. kłamstwo katyńskie głosiła nadal, reagując agresywnie na wszelkie próby jego podważania.

W Polsce mimo objęcia tematu zbrodni katyńskiej zapisem cenzury prawda o niej była powszechnym udziałem społeczeństwa. Wykazał to dowodnie okres tzw. pierwszej „Solidarności”, gdy na masową skalę pojawiły się tego dowody w postaci jawnie organizowanych prelekcji, spektakli artystycznych, wydawnictw podziemnych, różnych pamiątkowych mobiliiów, znaczków poczty podziemnej itp.

Pod koniec lat 80., w warunkach tzw. pieriestrojki i głośności, powstała szansa na obalenie kłamstwa katyńskiego. Doszło do tego w kwietniu 1990 r., gdy Sowieci oficjalnie przyznali, iż zbrodni ludobójstwa na polskich jeńcach i więźniach dokonało wiosną 1940 r. NKWD.

Rosyjska prokuratura wojskowa została zmuszona do rozpoczęcia śledztwa w sprawie tej zbrodni. Ciągnęło się ono latami, stopniowo tracąc na dynamice. We wrześniu 2004 r. ogłoszono komunikat określający ją jako... „przestępstwo pospolite, które uległo przedawnieniu”.

**Mimo że Rosja oficjalnie przyznała się do sprawstwa zbrodni katyńskiej, w rosyjskiej polityce historycznej prawda ta jest dziś praktycznie nieobecna.** Nie mieści się bowiem w micie o wielkim zwycięstwie w wojnie, podobnie jak nie mieszczą się w nim zmowa Hitler-Stalin z 1939 r., masowe deportacje, zniewolenie republik bałtyckich czy kolosalna skala maruderstwa Armii Czerwonej w końcowej fazie II wojny światowej.

**Dla Rosjan 22 tysiące polskich ofiar tej zbrodni to kropla w morzu w porównaniu z milionami ich rosyjskich ofiar po 1917 r., które nie przeszkadzają im czcić pamięci Lenina i Stalina.** Do zdecydowanej większości nie docierało i nadal nie dociera, że posługiwanie się nieludzkimi, zbrodniczymi metodami w realizowaniu tzw. zadań strategicznych pociąga za sobą degenerację nie tylko elity władzy, ale także społeczeństwa tę władzę akceptującego. Taką społeczną akceptację widzieliśmy w trakcie wojny czeczeńskiej, agresji na Gruzję czy też napaści na Krym. Obserwujemy ją również od lutego 2022 r., gdy Putin zdecydował o wojnie na ogromną skalę przeciwko bratniej – jak głoszą – przez dziesięciolecia – Ukrainie. Trudno być optymistą, jeśli chodzi o przyszłość takiego państwa i narodu, i nie przejawiać niepokoju o los państw z nim sąsiadujących. ●



Piękno Historii

W połowie lutego 2024 r. Ministerstwo Edukacji Narodowej udostępniło oficjalny projekt gruntownej reformy podstawy programowej z wielu przedmiotów w celu poprawy jakości nauczania w polskiej szkole, a w zasadzie „odchudzenia” obowiązkowych wymagań. Postaram się przybliżyć moje przemyślenia związane z podstawą programową z przedmiotu historia dla szkół średnich w zakresie podstawowym (czyli obejmującym większość uczniów liceum ogólnokształcącego i technikum), gdyż zawodowo jestem związany z nauczaniem tego przedmiotu już od ponad trzydziestu lat.

**Kolejne ekipy rządowe co kilka lat starają się zreformować i unowocześnić nauczanie tego przedmiotu** – rozszerzając bądź redukując treści nauczania, wymiar godzinowy i stawiane wymagania. Przejściowo obok historii tworzone pokrewne przedmioty – takie jak *historia i społeczeństwo* oraz *historia i teraźniejszość*. Skutkowało to dość ekstremalnym modelem edukacji, gdzie na różnych poziomach nauczania w ubiegłym roku szkolnym obowiązywały wspomniane przedmioty, konkurując niekiedy dodatkowo z *wiedzą o społeczeństwie*. Na tak rozchwianym edukacyjnie młodym pokoleniu zdecydowano się przeprowadzić kolejny „wielki eksperyment” – *de facto* wprowadzając permanentną destrukcję wybranych treści nauczania.

Najbardziej uderzającą kwestią jest likwidacja wielu podstawowych i kluczowych treści z naszej narodowej historii, wpisujących się w kanon kodu kulturowego i tożsamościowego kolejnych pokoleń Polaków. Odrzuconymi, by nie rzec „wyklętymi” bohaterami narodowymi stają się m.in. Romuald Traugutt, Roman Dmowski, Józef Piłsudski, Witold Pilecki, bł. ks. Jerzy Popiełuszko wraz z całym bagażem ich idei i przemyśleń, jakże ważnych dla zrozumienia dziejów naszego narodu. Podobnie odejść w niepamięć bohaterowie czynu zbiorowego z naszych współczesnych dziejów – tacy jak żołnierze wyklęci, ofiary stanu wojennego z KWK „Wujek” oraz działacze „Solidarności Walczącej”, krytycznie nastawieni do idei rozmów ze stroną rządową (komunistyczną) przy okazji obrad Okrągłego Stołu. Zdaniem MEN nie powinniśmy także zaprzętać umysłów młodzieży próbą refleksji nad skutkami katastrofy smoleńskiej z 10 IV 2010 r. w kontekście współczesnego państwa polskiego.

Zdefiniowałbym kilka kierunkowych „walców” traktujących treści programowe – te niewygodne i niezgodne z przyjętą liberalno-lewicową ideologią, stanowiącą popularny obecnie na świecie paradygmat i probierz pojmowania nowoczesności. Mam tu na myśli kierunkowe skanalizowanie i zredukowanie do minimum wybranych treści programowych.

Po pierwsze, usuwa się treści związane z chrześcijaństwem i jego rolą w dziejach Europy i świata, a przede wszystkim Polski w ciągu ostatniego tysiąclecia, czyli w istocie całej naszej państwowości, od Mieszka I po czasy współczesne. Dlatego postanowiono m.in. zrezygnować z przedstawiania duchowej i kulturowej roli zakonów średniowiecznych, reform gregoriańskich, cywilizacji łacińskiej i bizantyjskiej, myśli teologicznej i społecznej m.in. św. Tomasza z Akwinu. Brak także ukazania przełomowej roli państwowotwórczej chrześcijaństwa przy okazji chrztu Polski i jego roli w pierwszych wiekach państwa polskiego, na przykład roli samodzielnego arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. Według MEN nie należy wspominać o ożywieniu religijnym polskiego społeczeństwa w kontekście pielgrzymek do takich miejsc kultu, jak Jasna Góra i Ostra Brama w XIX i XX w., przy okazji procesu odrodzenia narodowego w czasach braku samodzielnego bytu państwowego. W końcu nie powinno się wskazywać roli Kościoła katolickiego w oporze przeciw zniewoleniu komunistycznemu w czasach PRL-u.

Po drugie, nader precyzyjnie postanowiono „wygumkować” szereg działań ze strony zachodniego sąsiada Polski – od zagrożeń zewnętrznych we wczesnym średniowieczu, z ekspansją terytorialną i gospodarczą Marchii Brandenburskiej i Zakonu Krzyżackiego, przez labilność pruskich gwarancji i potencjalnego „sojusznika” w czasach reform ustrojowych Sej-

# Ludobójstwo na Woli w powstaniu warszawskim wyrugowane z programu nauczania historii

Uczeń zostanie zarzucony wielością faktów i dat, ale nie będzie zdolny do opisanego związków przyczynowo-skutkowych i tym bardziej nie będzie rozumiał istoty dziejów w ujęciu nie tylko poznawczym, ale także edukacyjnym

mu Wielkiego oraz proklamowania Konstytucji z 3 maja 1791 r., do przebudzenia narodowego Polaków w XIX w., występujących przeciw oficjalnej polityce władz pruskich na terenie Górnego Śląska oraz na Warmii i Mazurach. Brak charakterystyki genezy i przebiegu powstania wielkopolskiego 1918–1919 oraz jego znaczenia dla odrodzenia państwa polskiego oraz obrony jego niepodległości w 1920 r., a także informacji o kulcie heroicznej walki Polaków z agresją III Rzeszy w 1939 r. (w tym: Westerplatte, Poczty Polskiej w Gdańsku, Mokrej, Wizny, bitwy nad Bzurą). Zabraknie na lekcjach informacji o niemieckich zbrodniach wojennych (w Wieluniu, Bydgoszczy, Katowicach) oraz charakterystyki materialnych i demograficznych skutków działań wojennych. Zachowano pamięć o obozie w Auschwitzu, ale odrzucono wzmianki o innych obozach koncentracyjnych oraz miejscach zbrodni, takich jak Palmiry, Piaśnica, Ponary, niemiecki obóz dla polskich dzieci w Łodzi oraz ludobójstwo na Woli w trakcie powstania warszawskiego.

Po trzecie, odrzucono proces modernizacji Rosji w XVIII w. i narodziny idei imperialnej, jakże ważnej dla zrozumienia polityki naszego wschodniego sąsiada. Ideowo rozwija się to wskazanie wykreśleniem wiadomości na temat skali wewnętrznych represji w ZSRS w latach 30. XX w. (w tym tzw. „Operacji polskiej” NKWD z lat 1937–1938). Nie należy także omawiać współpracy hitlerowskich Niemiec i ZSRS w latach 1939–1941. Poza wspomnieniem o Katyniu odrzucono pamięć o Miednoje i Charkowie oraz roli Sowietów w zwalczaniu żołnierzy niezłomnych i postaw niepodległościowych po 1944 r., kiedy narzucano obce idee – polityczne, ekonomiczne i kulturowe (takie jak socrealizm).

Po czwarte, propozycja nowej podstawy programowej wyklucza z treści nauczania historii kwestię zagrożeń płynących z modelu monarchistycznej i absolutystycznej władzy w epoce nowożytnej, po współczesne wizje scentralizowania i skupienia uprawnień politycznych w rękach wąskiej grupy decydentów. Pomija się wydzwięki i znaczenie Wiosny Ludów w Europie i na ziemiach polskich dla przebudzenia świadomości narodowej oraz solidaryzmu idei wolności wszystkich ludów zamieszkujących nasz kontynent. Podobnie deprecjonuje się znaczenie i charakter „jesieni narodów” po 1989 r. w procesie odrodzenia niepodległych i suwerennych nacji w Europie Środkowo-Wschodniej, dotychczas kontrolowanych przez upadający już ZSRS.

Po piąte, pojawia się nieskrywany bynajmniej postulat – wysuwany z uwagi na chęć zwalczania rzekomej „megalomanii” – dotyczący odarcia polskich dokonań z dumy narodowej nie tylko w ujęciu kulturowym, ale także gospodarczym i technicznym, np. w okresie II RP. Mowa o takich kwestiach, jak udana reforma walutowa Władysława Grabskiego i unifikacja państwa po okresie zaborów, a także reformy Eugeniusza Kwiatkowskiego – budowa i rozwój portu w Gdyni oraz Centralnego Okregu Przemysłowego. Do tego wykreślono

z programu zagadnienia traktujące o atrakcyjności polskiej kultury dla narodów ościennych i cudzoziemców w różnych epokach. Tak skrojona „pedagogika wstydu” uderza w ducha narodu i dumę z własnych dokonań na różnych polach egzystencji w toku ojczystych dziejów.

Pragnę wspomnieć jeszcze o zawołanych istotnych aspektach niebezpiecznego pomijania treści historycznych z dotychczasowej podstawy programowej dla szkół średnich w zakresie podstawowym. Odwołując się do myśli niemieckiego filozofa Immanuela Kanta, przypomnę, że tworzony wokół nas świat wykreowanej iluzji ma przysłać faktyczne zagrożenia dla umysłu dorastającej młodzieży. Postępowi „demiurzy” programowych zmian wskazują, iż dla przykładu poza opisem instytucji życia politycznego w epoce demokracji szlacheckiej nie należy koncentrować się na wyjaśnieniu i ocenie funkcjonowania tego modelu w celu wyrobienia wśród uczniów różnych płaszczyzn istotnych dla samodzielnej oceny konkretnych modeli politycznych (także w czasach nam współczesnych). Nie będziemy zatem uczyć o znaczeniu takich aktywności społecznych, jak np. weto ludowe (dawny rokosz), konfederacja pozaparlamentarna, nie będziemy oceniać wyborów powszechnych lub idei referendum.

Podobnie uznano za niepotrzebne zestawienie najważniejszych wydarzeń z dziejów Rzeczypospolitej Obojga Narodów i Europy oraz świata w epoce nowożytnej, zaniedbując odbiór równoległych zjawisk historycznych (w tym o charakterze ustrojowym, społecznym i gospodarczym) i ich zestawienia w skali mikro i makro oraz ich oddziaływanie na kierunki rozwojowe w dziejach ludzkości. W innym miejscu w ramach wyjaśniania przyczyn i opisywania skutków rewolucji francuskiej pominięto program stworzenia „nowej Francji” i „nowych Francuzów” – obywateli epoki oświecenia i czytelnej po współczesne czasy inżynierii społecznej i światopoglądowej, jakże żywej w wielu współczesnych krajach europejskich. Przy omówieniu przyczyn wybuchu wielkiej wojny w 1914 r. postanowiono wskazać bloki polityczne i militarne, ale zarazem odrzucić dynamiczny proces powstawania dwóch przeciwstawnych systemów sojuszy. Wspomniany materiał jest tymczasem niezwykle plastycznym tworzywem pozwalającym młodym ludziom zrozumieć tajniki rywalizacji geopolitycznej i militarnej nie tylko w tej konkretnej epoce, ale w każdej innej, nie wyłączając współczesności.

Podobno autorom zmian w podstawie programowej przyświecała idea unowocześnienia treści przydatnych do lepszego zrozumienia przemian zachodzących w świecie teraźniejszym. Tymczasem będzie to skutkowało „hodowaniem” pokolenia widzącego faktografię i zarazem złożoność prawideł geopolitycznych, ale nierozumiejącego ich w ujęciu logicznym i skazanego na bezwiedną egzystencję. Uczeń po tak zreformowanej ścieżce wymagań z zakresu historii zostanie zarzucony wielością faktów i dat, ale nie będzie zdolny do opisanego związków przyczynowo-skutkowych i tym bardziej nie będzie rozumiał istoty dziejów w ujęciu nie tylko poznawczym, ale także edukacyjnym.

Odrzuconymi, by nie rzec „wyklętymi” bohaterami narodowymi stają się m.in. Romuald Traugutt, Roman Dmowski, Józef Piłsudski, Witold Pilecki, bł. ks. Jerzy Popiełuszko wraz z całym bagażem ich idei i przemyśleń, jakże ważnych dla zrozumienia dziejów naszego narodu. Także żołnierze wyklęci, ofiary stanu wojennego z KWK „Wujek”, działacze „Solidarności Walczącej” krytycznie nastawieni do rozmów przy Okrągłym Stołe

Co zatem możemy zrobić po wyprowadzonym przez władze MEN ciosie w polską edukację historyczną? Być może należy tworzyć lokalne społecznościowe ognia koordynujące pracę samokształceniową wśród młodzieży czy, jak to dawniej nazywano, „tajne nauczanie”, i to nie w ramach inscenizacji historycznych „grup rekonstrukcyjnych”, ale faktycznej walki o przetrwanie samoświadomości narodowej Polaków wobec piętrzących się wyzwań współczesności. Zmiany podstawy programowej, gdy wejdą w życie, obejmą co najmniej kilka roczników dojrzewających Polaków i nie będą tak łatwe do przeczyczenia w dłuższej perspektywie czasowej.

W nr. 62 „Wszystko co Najważniejsze” na ten temat pisali:

- Prof. Marek KORNAT – O kanonie zobowiązań państwa w edukacji historycznej
- Prof. Wojciech ROSZKOWSKI – Skąd tak wielki strach przed nauczaniem historii?
- Prof. Andrzej NOWAK – Lekcja polskiego
- Jan ŚLIWA – Atak na szkołę, atak na edukację

reklama

Najpewniej  
Najszybciej  
Najtaniej

M I E S I Ę C Z N I K  
Wszystko co  
Najważniejsze



w prenumeracie: [www.SklepIdei.pl](http://www.SklepIdei.pl)



Najchętniej czytane  
artykuły na portalu  
WszystkoCoNajważniejsze.pl

1. **Prof. Jacek HOŁÓWKA**  
Żenująca Polska. Co się dzieje z naszą polityką?
2. **Prof. Michał KLEIBER**  
Mężowie stanu pilnie poszukiwani
3. **Michał STRĄK**  
Cel główny – uniknięcie wojny domowej
4. **Prof. Chantal DELSOL**  
Jak inni mają kochać Zachód, skoro on sam siebie już nie kocha?
5. **Prof. Andrzej NOWAK**  
Niepodległość 2023
6. **Jan ROKITA**  
Rozmach ataku na praworządność jest niespotykany
7. **Eryk MISTEWICZ**  
Pudełko ptasiego mleczka
8. **Prof. Andrzej KISIELEWICZ**  
Ten, kto zakończy wojnę polsko-polską, zapisze się złotymi zgłoskami w historii Polski
9. **Emmanuel MACRON**  
Rok 2024 będzie wymagał od nas zdecydowanych wyborów
10. **Prof. Krzysztof PAWŁOWSKI**  
Musimy przygotować się na imperialny marsz Rosji na Polskę. Razem, WSPÓLNIE
11. **Jan ŚLIWA**  
Polska i historycy. Jeśli nie opowiemy swojej historii, inni zrobią to za nas
12. **Prof. Stéphane COURTOIS**  
Rosyjska twarz komunizmu. Przemoc, terror i niewola
13. **Prof. François KERSAUDY**  
Zła opinia o Polsce i Polakach na Zachodzie to następstwo oddziaływania komunizmu
14. **Prof. Marek A. CICHOCKI**  
Zakłęcia Brukseli już nie działają
15. **Jake SULLIVAN**  
Ameryka nie słabnie
16. **Prof. Marek KORNAT**  
Czas na raport o polskich stratach wojennych w wyniku działań Związku Sowieckiego
17. **Prof. Ryszard BUGAJ**  
Czekając na IV RP
18. **Frédéric PETIT**  
Polska nie jest zagrożona atakiem ze Wschodu, ona już została zaatakowana
19. **Władimir MIŁOW**  
Czy Rosja może się rozpaść?
20. **Nathaniel GARSTECKA**  
Zachodnie mity na temat Polski
21. **Małgorzata WANKE-JAKUBOWSKA**  
**Maria WANKE-JERIE**  
Nieobecni. Znani Polacy, którzy odeszli w ostatnim roku
22. **Prof. Konstantyn SIGOW**  
Dziesięć lekcji na przyszłość
23. **Abp Stanisław GĄDECKI**  
Polonia semper fidelis – szczególna misja wierności
24. **Jacques ATTALI**  
Problem z przyszłością
25. **Krzysztof ZANUSSI**  
Myśl o śmierci pozwala lepiej docenić życie

www.WszystkoCoNajważniejsze.pl

# Dwie partie i długo, długo nic

Współpraca PO i PiS-u od samego początku wydawała się czymś naturalnym, wręcz oczywistym – w końcu obie formacje odwoływały się do dziedzictwa walki z komunizmem przed 1989 r.



**Jerzy POLACZEK**

Jeden z negocjatorów PO-PiS-u ze strony PiS. Poseł tej partii. W latach 2005–2007 minister transportu

25 lat PO-PiS-u

**P**oczątki demokracji wyrosły na wierze, że jeśli ludzie w pewnym sensie są równi, to są równi we wszystkim – pisał Aristoteles w swojej ponadczasowej rozprawie *Polityka*. Z wiarą w przekonanie o równości wszystkich w demokracji Polacy zaczęli na nowo kształtować scenę polityczną po 1989 r. Dziś widać, jak bardzo tamten proces był wypaczony, gdyż obóz postkomunistyczny długo utrzymywał przewagę wyniesioną z lat PRL-u nad obozem solidarnościowym. Ale w XXI wieku doszło do przesilenia, które gruntownie przebudowało krajową politykę. Ten proces zaczął się w 2001 r., który okazał się rokiem politycznych startupów. To właśnie wtedy powstały dwie formacje, które w kolejnych latach zdominowały polską scenę polityczną: Prawo i Sprawiedliwość oraz Platforma Obywatelska.

**Jestem posłem od 1997 r. i od początku brałem udział w tym procesie.** Po raz pierwszy zostałem wybrany do Sejmu z list Akcji Wyborczej Solidarność (AWS), na które trafiłem – razem z Kazimierzem Ujazdowskim – z rekomendacji Koalicji Konserwatywnej. Wtedy na sali plenarnej moimi bezpośrednimi sąsiadami byli m.in. Jan Rokita, Zygmunt Berdychowski, Wiesław Walendziak, Krzysztof Tchórzewski czy Mariusz Kamiński. Ale w 2001 r. AWS znalazł się w stanie rozpadu. Rok wcześniej doszło do rozwiązania tej koalicji z Unią Wolności, poparcie sondażowe dla tej formacji spadło poniżej 10 proc. Dlatego podjęliśmy z grupą posłów decyzję, żeby stworzyć własny klub parlamentarny.

**5 lipca 2001 r. powstał pierwszy klub Prawa i Sprawiedliwości, liczący 18 posłów.** W większości wywodzili się oni z Przymierza Prawicy, partii działającej wcześniej w ramach AWS-u. Na czele klubu stanął dawny polityk ZChN Kazimierz Marcinkiewicz. Większość łączyło wspólne doświadczenie działalności w Solidarności jeszcze w czasach opozycji antykomunistycznej. W wyborach, które odbyły się we wrześniu 2001 r., wprowadziliśmy do Sejmu 44 posłów. Szefem naszego klubu został Ludwik Dorn, skupiliśmy się na merytorycznym punktowaniu rządu stworzonego przez SLD i PSL. I wtedy blisko współpracowaliśmy z posłami innego nowego klubu parlamentarnego – Platformy Obywatelskiej. Wspólnie na przykład protestowaliśmy przeciwko próbom wprowadzenia winiet, czyli opłat za poruszanie się po drogach, co ostatecznie stało się powodem rozpadu koalicji SLD-PSL.

**Współpraca PO i PiS-u od samego początku wydawała się czymś naturalnym, wręcz oczywistym** – w końcu obie formacje odwoływały się do dziedzictwa walki z komunizmem przed 1989 r. i były w kontrze do postkomunistycznej koalicji rządzącej wtedy Polska. Konsekwencją tego było wystawienie przez nie wspólnych list w wyborach do sejmików w 2002 r. Stworzono je według równego parytetu, obie partie zgłosiły na nich tytuł samo kandydatów – ale politycznego efektu ten sojusz nie przyniósł. Koalicja PO-PiS zdobyła 12 proc. głosów, zajmując dopiero czwarte miejsce w skali kraju.

Przed nią znalazła się choćby Liga Polskich Rodzin (LPR), która osiągnęła wynik o dwa punkty procentowe lepszy. I to był pierwszy i ostatni raz, gdy koalicja tych dwóch partii zaistniała. W 2005 r. PiS wygrał wybory parlamentarne, wyprzedzając PO o niemal trzy punkty procentowe. Na to jeszcze nałożyły się wybory prezydenckie odbywające się w tym samym roku, w których Donald Tusk przegrał z Lechem Kaczyńskim – choć lider Platformy był mruwanym, jak się zdawało, faworytem, gdyż zwyciężył w pierwszej turze. Wtedy ściśle kierownictwo Platformy Obywatelskiej podjęło decyzję, że na szczeblu rządowym koalicja PO-PiS nie powstanie – choć jeszcze w kampanii wyborczej, przed wyborami odbywającymi się w tamtym roku, traktowano ją jako pewnik. W 2005 r. Polacy tej koalicji oczekiwali, była ona przez wiele lat zapowiadana. Ale po raz kolejny potwierdziła się słuszność „słówek” Tadeusza Boja-Żeleńskiego, który pisał: „Z tym największy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz” – w sytuacji, gdy to PiS wygrał wybory – tej koalicji jednoznacznie nie chciała.

**Gdy stało się jasne, że koalicja z Platformą nie powstanie, PiS zaczął tworzyć rząd samodzielnie.** Udało mi się wtedy razem z Bolesławem Piechą namówić na wejście do gabinetu premiera Kazimierza Marcinkiewicza prof. Zbigniewa Religę. Decyzja o tym zapadła dosłownie na kilkadziesiąt godzin przed ogłoszeniem składu nowego rządu. Ale stało się to możliwe także dlatego, że wtedy nie było jeszcze tak silnego podziału politycznego między PO i PiS-em. Przepływy polityków między tymi dwoma partiami były w tamtym okresie dość powszechne. Wtedy jeszcze liczyło się coś, co można nazwać „zmysłem państwowym”. On miał pierwszeństwo przy decyzjach, w takich sytuacjach sztyld partyjny schodził na plan dalszy. To dlatego właśnie w pierwszym rządzie PiS-u znalazły się osoby, które wtedy raczej kojarzono z Platformą Obywatelską, jak Zyta Gilowska, Grażyna Gęsicka czy Paweł Wojciechowski. Z czasem jednak zaczęło się to zmieniać. Ostatecznie możliwością współpracy PO i PiS-u pogrzebała tragedia smoleńska. W jej wyniku między obiema formacjami pojawiła się przepaść.

**W tym okresie nastąpiły próby przełamania narastającego dualizmu między PO i PiS-em.** Jedną z nich była partia Polska XXI, której byłem – obok Rafała Dutkiewicza czy Michała Ujazdowskiego – jednym z założycieli. W 2008 r. wydawało się, że ta formacja okaże się odpowiedzią na nieudaną próbę stworzenia PO-PiS-u i pozyskania poparcia wyborców niezadowolonych z tego, że taka koalicja nigdy nie powstała. Projekt jednak nie przyniósł powodzenia. Wpływ na to też miała postawa lidera tego ugrupowania, ówczesnego prezydenta Wrocławia, Rafała Dutkiewicza, który nie zaangażował się w nie w pełni, uznając, że ma inne priorytety polityczne. Po katastrofie smoleńskiej stało się jasne, że dla formacji próbujących rozdzielić PO i PiS nie ma miejsca.

**Z czasem ujawniały się kolejne różnice między PO i PiS-em.** Przede wszystkim te dotyczące programów. Wiadomo, że istniejące długo ugrupowania dokonują zmian programowych. Ale czym innym jest ich ewolucja, a czym innym radykalna zmiana. PiS do dziś jest wierny swoim podstawowym założeniom programowym, natomiast Plat-

forma mocno od nich odeszła. Dziś ta partia jest na antypodach postulatów, które kiedyś głosiła. Dość przypomnieć jej hasła „3x15” (program zmian fiskalnych, zakładający ujednoczenie stawek podatkowych) czy postulat zapisane w programie „Polska 2030”. Dawniej liderzy Platformy byli postrzegani jako konserwatyści, z Maciejem Płażyńskim na czele. Tyle że on dość szybko stracił rolę przywódcy w PO, wybrał drogę indywidualnej kariery. Natomiast Platforma od tamtej pory konsekwentnie skręca w lewo.

**PO i PiS zdobyły zaufanie dużych grup wyborców, co pozwala im utrzymywać wysokie poparcie w kolejnych wyborach. I ten podział może się utrzymać także wtedy, gdy Jarosław Kaczyński oraz Donald Tusk przestaną stać na czele obu formacji. Podział między PO i PiS-em jest trwalszy niż ich przywództwo**

**Faktem jest, że od 2005 r. PO i PiS zdominowały polską politykę.** Na pewno tę supremację dwóch największych partii ułatwiła przyjęta w 2001 r. ustawa o finansowaniu partii politycznych, ponieważ umożliwiła stworzenie przewag instytucjonalnych obu ugrupowaniom – ale nie można ich przewagi nad konkurencją polityczną sprowadzać tylko do pieniędzy. Ważna jest też wiarygodność. PO i PiS zdobyły zaufanie dużych grup wyborców, co pozwala im utrzymywać wysokie poparcie w kolejnych wyborach. I ten podział może się utrzymać także wtedy, gdy Jarosław Kaczyński oraz Donald Tusk przestaną stać na czele obu formacji. Podział między PO i PiS-em jest trwalszy niż ich przywództwo.

Od 2005 r. w polskiej polityce pojawiło się wiele nowych formacji – na przykład Ruch Palikota, Nowoczesna, Kukiz'15 – jednak żadna z nich nie zaistniała na dłuższą, nie zdołano naruszyć pozycji dwóch głównych partii. To najlepszy dowód na to, jak silnie wpięły się one w polską politykę. Partie, które w 2001 r., były startupami, obecnie stanowią filary, na których opiera się polska scena polityczna.

**Różnice między PO i PiS-em widać w podstawach światopoglądowych, a także w języku, jakiego używają obie formacje.** W ten sposób budują one twarde jądro własnych elektoratów. Już od kilku lat zwolennicy Platformy coraz częściej sięgają po wulgarny język, który prowadzi do odhumanizowania ich przeciwników politycznych, z kolei PiS skupia się na realizowaniu własnych postulatów programowych, chcąc podtrzymać przekonanie wyborców o własnej wiarygodności – i w ten sposób pokazać, co odróżnia tę partię od innych obecnych na polskiej scenie politycznej. Natomiast obie partie łączy taka sama ocena sytuacji w bezpośrednim otoczeniu Polski. „Kto nie pamięta własnej historii, skazany jest na jej ponowne przeżycie” – pisał filozof George Santayana. Ta myśl cały czas łączy liderów najważniejszych polskich ugrupowań. Pod tym względem wyraźnie widać, że wyciągają oni te same wnioski z historii naszego kraju.

**Wcześniej na ten temat we „Wszystko co Najważniejsze” pisali:**

- Ludwik DORN – *Dwie dekady PO-PiS. Partia gniewu kontra partia blogostanu*
- Bogdan ZDROJEWSKI – *Dwie Polski. Pięć osi podziałów politycznych*
- Marek JUREK – *Dwie dekady PO-PiS. Dyskretna wspólnota*
- Prof. Paweł ŚPIEWAK – *Dwie dekady PO-PiS. Podział utrzyma się jeszcze długo*
- Jan ROKITA – *Dwie dekady PO-PiS. Gladiatorzy i reformatorzy*





**Rafał DUTKIEWICZ**

Prezydent Wrocławia w latach 2002–2018, prezes organizacji Pracodawcy RP

## 25 lat PO-PiS-u

W październiku 2002 r. przyleciał do Wrocławia Jan Nowak-Jeziorański, aby odwiedzić Ossolineum. Odebrałem go z lotniska i gdy szliśmy w stronę parkingu, zauważyliśmy siedzącego na murku samotnego kotka. Później okazało się, że miał zaledwie dwa tygodnie. Nowak-Jeziorański uparł się, żeby go ze sobą zabrać, adoptować. Pojechaliśmy do hotelu i po chwili ustaleń doszliśmy do wniosku, że zostaniemy jego wspólnymi właścicielami. Spisaliśmy na serwetce akt własności: 50 proc. dla Jana Nowaka-Jeziorańskiego, 50 proc. dla Rafała Dutkiewicza. Nazwaliśmy go Popis. To był pomysł Nowaka-Jeziorańskiego, który chciał w ten sposób upamiętnić powstającą w 2002 r. nową koalicję. Kot pozostał u mnie we Wrocławiu, a jego współwłaściciel miał z nim częsty kontakt. Popis wziął udział m.in. w obchodach 90. urodzin Nowaka-Jeziorańskiego. Jak na kota żył bardzo długo, odszedł dopiero w 2019 r. Ale choć przeżył aż 18 lat, to jednego nie doczekał: by koalicja PO i PiS-u stała się faktem.

Oddzielna sprawa, że w 2002 r. nikt by nie uwierzył w to, że te ugrupowania nigdy nie stworzą wspólnego rządu po wygranych wyborach. W odbywających się w tamtym roku wyborach samorządowych obie partie wystawiły wspólne listy. Wtedy po raz pierwszy wybierano prezydentów miast w wyborach bezpośrednich.

Kandydowałem na prezydenta Wrocławia – i poparcia udzieliły mi obie postsolidarnościowe formacje. Do dziś w moim biurze wisi zdjęcie, na którym obok mnie stoją Lech Kaczyński i Maciej Płażyński – obaj przyjechali do Wrocławia specjalnie po to, żeby mnie wesprzeć w kampanii. W tamtych wyborach moją główną rywalką była kandydatka SLD Lidia Joanna Geringer de Oedenberg, co w naturalny sposób ustawiło oś sporu, gdyż PO-PiS miał powstać w kontrze do (tak się wówczas mówiło) „postkomunistów”. Zresztą ta oś sporu świetnie trafiała w ówczesne nastroje społeczne. Sam byłem tego najlepszym potwierdzeniem, gdyż moja ówczesna rozpoznawalność – jako kandydata obozu postsolidarnościowego – błyskawicznie urosła z kilku do ponad 90 proc. Bez problemu zwyciężyłem w tych wyborach, uzyskując w drugiej turze 64 proc. głosów. A PO-PiS przetrwał we Wrocławiu całą kadencję samorządową do 2006 r. Jak dziś wiemy, był to ostatni przejaw tej koalicji, z którą przeciwieście jeszcze w 2005 r. wiązano ogromne nadzieje.

Gdy w 2003 r. rozlała się „afery Rywina”, wydawało się, że będzie inaczej. Tamten skandal oraz związana z nim komisja sejmowa doprowadziły do upadku rządzącej wtedy partii postkomunistycznej i otworzyła dwóm nowym postsolidarnościowym formacjom autostradę do władzy. Przed wyborami 2005 r. panowało przekonanie, że ich wspólny rząd po wyborach jest jedyną realną polityczną możliwością. Dlaczego więc PO-PiS nigdy nie powstał w skali ogólnopolskiej? Od początku obie formacje dzieliły różnice nie tylko personalne, ale też ideowe. W 2005 r. oba ugrupowania miały sznyt konserwatywny – ale jednocześnie już wtedy było widać, że to PiS jest bardziej prawicowy. Było to dostrzegalne w takich

# Dwóch liderów, dwie narracje, jeden kraj

Długo wydawało mi się, że koalicja PO-PiS jednak powstanie. Obie partie wyrastały z tego samego korzenia ideowego, miały w wielu miejscach zbieżne poglądy, politycy obu formacji często mówili jednym językiem

kwestiach, jak stosunek do demokracji, trójpodziału władzy, praw mniejszości. Platforma od początku opowiadała się za demokracją liberalną, PiS wolał ustrój demokratyczny bez żadnych przymiotników. Ta różnica tkwiła w DNA obu formacji. Inną różnicą była gotowość do zmian. Od 2005 r. obie partie zmieniły się bardzo mocno – jednak w Platformie ta zmiana była dużo głębsza. Przez niemal dwie dekady przeszła ona z pozycji ugrupowania wyraźnie liberalnego na pozycje centrowe, momentami lekko populistyczne.

PiS najbardziej zmienił się pod wpływem partii albo ze względu na partię, z którymi związał się po wyborach 2005 r. Gdy nie udało się stworzyć rządu z Platformą, jako koalicjantów wziął Ligę Polskich Rodzin i Samoobronę – i doprowadził do ich marginalizacji, przejmując ich elektoraty. Przy okazji zmienił swój profil, stając się z prawicowej partii miejskiej ugrupowaniem populistycznym, mającym swoją wyborczą bazę przede wszystkim w mniejszych ośrodkach i na wsi. Koalicja PiS-u z LPR-em i Samoobroną okazała się na tyle egzotyczna, że nie udało jej się utrzymać przez całą kadencję. W 2007 r. doszło do przedterminowych wyborów, które PiS przegrał – w dużej mierze przez harce ówczesnego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry, który przekraczał granice politycznej, a może i zwykłej przyzwoitości. Nie sposób też zapomnieć „debiutów” Mariusza Kamińskiego – afera gruntuwa, rozgrywka z Lepperem. W tamtym okresie zaczynają się też pojawiać pomiędzy głównymi partiami różnice w stosunku do UE. Platforma zawsze była silnie proeuropejska, PiS miał inny stosunek do Unii, może nie antyeuropejski, ale zbudowany z wielu wątpliwości i zastrzeżeń. W kolejnych latach te różnice będą się zresztą pogłębiać, stając się jedną z głównych osi podziału między niedoszłymi koalicjantami.

**Do dziś pamiętam, jak Donald Tusk mówił do mnie w 2014 r.: „Wiesz, Rafał, że bym ja sobie z Jarosławem rękę podał, to chyba Ruscy musieliby stać na granicy”. Pod tym względem polska polityka w ciągu ostatnich dwóch dekad jest niezmienna**

Mimo tych różnic długo wydawało mi się, że koalicja PO-PiS jednak powstanie. Obie partie wyrastały z tego samego korzenia ideowego, miały w wielu miejscach zbieżne poglądy, politycy obu formacji często mówili jednym językiem. Do dziś pamiętam anegdotę o tym, jak Beata Kempa wchodziła do polityki centralnej. Kandydowała na burmistrza Sycowa (miasta leżącego 60 km od Wrocławia) i chciała się zapisać do jednej z partii. Umówiła się na spotkanie z szefami PO i PiS-u we Wrocławiu. Tak się złożyło, że Bogdan Zdrojewski, który kierował wtedy Platformą w naszym mieście, spóźnił się, natomiast spotkał się z nią reprezentujący PiS Kazimierz Ujazdowski. W ten sposób Kempa znalazła się w tej partii – ale w tamtym okresie równie dobrze mogła trafić do PO. To najlepiej pokazuje, jak blisko siebie sytuowały się oba ugrupowania na początku swojej drogi.

Dlatego szokiem była dla mnie informacja, że po wyborach 2005 r. jednak nie stworzyły one wspólnej koalicji. Ale też coraz bardziej widać było, że PO-PiS-u nigdy nie będzie. Jako prezydent miasta współpracowałem z kolejnymi

rządami, najpierw tymi tworzonymi przez PiS, później przez Platformę – i choćby przez ten pryzmat łatwo było dostrzec narastające między tymi partiami różnice. Nie było między nimi klimatu do tworzenia wspólnej koalicji; popsuł się on na długo przed katastrofą smoleńską. Natomiast tragedia z 10 kwietnia 2010 r. ten podział jeszcze umocniła. Do dziś pamiętam, jak Donald Tusk mówił do mnie w 2014 r.: „Wiesz, Rafał, że bym ja sobie z Jarosławem rękę podał, to chyba Ruscy musieliby stać na granicy”. Pod tym względem polska polityka w ciągu ostatnich dwóch dekad jest niezmienna.

Fundament tego podziału zbudowały wybory prezydenckie w 2005 r. W pierwszej turze wygrał w nich Donald Tusk, ale już zwycięzcą drugiej, dwa tygodnie później, został Lech Kaczyński. Akurat spotkałem się z Tuskiem między tymi dwoma turami, gdyż przyjechał do Wrocławia. Uderzyło mnie wtedy, że nie składał propozycji pozwalających mu poszerzyć grupę swoich wyborców. To stało się jedną z przyczyn jego porażki z kandydatem PiS-u. Ale tamte wybory ukształtowały go jako pełnokrwistego polityka. Pod tym względem ówczesna porażka bardzo mu się przydała, pomogła mu stwardnieć. W 2005 r. Kaczyński wygrał, bo była w nim większa wola walki, większa determinacja, by zwyciężyć. Później Tusk już nie pozwalał na to, by ktoś go pod tym względem wyprzedzał.

Zmiana profilu politycznego Tuska zbiegła się ze zmianą całej sceny politycznej. Dominacja PO i PiS-u na niej stawała się coraz większa, a jednocześnie oba ugrupowania stawały się coraz bardziej partiami wodzowskimi, skupionymi przede wszystkim wokół własnych liderów. Mechanizmy partyjne stawały się coraz mniej istotne, stopniowo wzrastała rola przywódców. Konsekwencje takiej ewolucji PO i PiS-u najlepiej było widać, gdy Donald Tusk przeniósł się w 2014 r. do Brukseli. Gdy zabrakło go na czele Platformy, formacja ta błyskawicznie wpadła w ciężki kryzys egzystencjalny. PiS tego uniknął tylko dlatego, że Jarosław Kaczyński nigdy nie zrezygnował z kierowania tą formacją – choć w przypadku tego ugrupowania brak lidera skutkowałby pewnie analogicznym kryzysem.

Przez te dwie dekady obserwowaliśmy, jak obaj przywódcy dojrzewali. Nie mam wątpliwości, że w tym okresie Donald Tusk osiągnął ogromną przewagę nad Jarosławem Kaczyńskim. Przede wszystkim trzeba docenić jego odwagę związaną z przeprowadzką do Brukseli, gdzie przez dwie kadencje był przewodniczącym Rady Europejskiej. Pomimo różnych problemów i naprawdę gigantycznych wyzwań zdecydował się na ten krok. Praca tam otworzyła przed nim, tak sędzę i bardzo to doceniam, nowe horyzonty, pozwoliła mu lepiej zrozumieć, jak funkcjonuje współczesny, usieciowiony świat. Jarosław Kaczyński patrzy na politykę w ten sam sposób, jak patrzył na nią Józef Piłsudski – jak na partię szachów, rozgrywkę toczoną bilateralnie. Tymczasem w XXI wieku gra toczy się w zupełnie innych realiach, trzeba się odnajdywać na wielu polach równocześnie, co wymaga umiejętności poruszania się w sieci często sprzecznych relacji. Tusk właśnie tego się nauczył w Brukseli. Na marginesie, część takich zjawisk pięknie opisał kiedyś Sławomir Mrożek, pisząc o grze w szachy, w której figury też samodzielnie grają – przesuwasz gońca na B2, a on nagle znajduje się gdzieś indziej. W 2021 r. Tusk zdobył się na drugi gest wielkiej odwagi, decydując się na powrót do krajowej polityki – odniósł w niej sukces i wygrał wybory 15 października 2023 r.

Zanim jednak Tusk odniósł ten sukces, Platforma poniosła klęskę. W 2015 r. okazało się, że jej strategia dbania o „ciepłą wodę w kranie”

nie wystarcza, a ambicje Polaków sięgają dalej. PO opracowała w 2009 r. modernizacyjny program „Polska 2030”, ale nigdy nie wcieliła go w życie. Za te zaniedbania zapłaciła podwójną porażką wyborczą w 2015 r. – reelekcji prezydenckiej nie uzyskał Bronisław Komorowski, a Platforma w wyborach parlamentarnych znalazła się za PiS-em. To najlepiej pokazało, jak silne były wtedy oczekiwania Polaków dotyczących zmiany politycznej.

**Dziś najbardziej widoczny jest podział na Polskę metropolitalną i prowincjonalną. Jarosław Kaczyński i Donald Tusk dostosowują się narracjami politycznymi swoich partii do tego podziału. To jeden z głównych powodów konserwujących polityczną dominację PO i PiS-u w ostatnich dwóch dekadach**

Kolejna zmiana u steru władzy między PO i PiS-em zdarzyła się w 2023 r. – partia Kaczyńskiego utraciła władzę między innymi po raz kolejny przez zbyt daleko idące działania Zbigniewa Ziobry. Ta zmiana pokazała również, jak silnie jest wrośnięty w polski krajobraz polityczny podział na te dwa ugrupowania. Różnice między nimi wyraźnie wychodzą poza różnice polityczne. Żeby je precyzyjnie opisać, trzeba sięgać po definicje pięknie kulturowych, cywilizacyjnych. Dziś najbardziej widoczny jest podział na Polskę metropolitalną i prowincjonalną (sam jestem z tzw. prowincji, więc nie używam tego słowa jako oceniającego), który w coraz większym stopniu pokrywa się z elektoratami dwóch głównych partii. Pokrywa się to z zamożnością Polaków – mieszkańcy wielkich miast w ostatnich latach bogacieli się dużo szybciej niż ci, którzy żyją w mniejszych ośrodkach. Jarosław Kaczyński i Donald Tusk dostosowują się narracjami politycznymi swoich partii do tych właśnie podziałów. To jeden z głównych powodów konserwujących polityczną dominację PO i PiS-u w ostatnich dwóch dekadach.

Od 1989 r. Polska przechodzi podwójną modernizację. Jej pierwszy wymiar dotyczy kultury, drugi cywilizacji (instytucji i infrastruktury). Oba te procesy przyspieszyło nasze wejście do Unii Europejskiej. O ile w wymiarze kulturowym tej modernizacji widać szybki postęp, o tyle w wymiarze, który nazywam cywilizacyjnym, ciągle ta modernizacja nie przybrała takiego kształtu, jak można by tego oczekiwać. To słabość Polski jako kraju. Zawsze opowiadałem się za tym, by u nas szybciej następowała modernizacja cywilizacyjna niż kulturowa. Niestety, częstokroć działo się na odwrót. Jednakowoż w Polsce najważniejsze sprawy zawsze dzieją się nie z woli przywódców, tylko z woli społecznej, czego najlepszym przejawem był ruch Solidarności, który doprowadził do upadku komunizmu. Innym przykładem jest – tak sędzę – społeczny werdykt w wyborach w 2023 r. Zatem doczekamy się momentu, gdy Polacy wymuszą na rządzących gruntowną modernizację kraju również pod względem cywilizacyjnym, także instytucjonalnym oraz związanym z budowaniem kapitału społecznego. Dokona się to niezależnie od tego, kto wówczas będzie rządził Polską. 📌

reklama

Teraz jesteśmy dla Państwa dostępni również w wersji **ebook**

Jesteśmy na **Legimi.pl**





# Unia Europejska to świetny projekt, ale wymaga prawdziwych reform

Reforma traktatu jest potrzebna. Warto jednak zastanowić się, w jakim kierunku ma ona iść. Takiej refleksji dotychczas brakuje, bo brakuje diagnozy, jakie są słabe strony działania Unii



Jan PARYS

Polityk, socjolog i publicysta, minister obrony narodowej w latach 1991–1992

## Jaka Europa?

Wiele lat temu Premier Jan Olszewski, pragnąc podkreślić znaczenie decyzji Sejmu, zadał słynne już pytanie: „Czyja będzie Polska?”. Dziś Unia Europejska, do której należymy na mocy referendum z czerwca 2003 roku, stoi przed ważnymi decyzjami. Jest przygotowywana nowelizacja Traktatu o Unii Europejskiej, który określa jej cele i sposób funkcjonowania. Rada Europejska, a potem parlamenty poszczególnych państw będą wkrótce decydowały o kierunku zmian w funkcjonowaniu Unii. Może warto dziś postawić pytanie: „Czyja ma być Unia Europejska?”.

Odpowiedź dla każdego demokraci wydaje się prosta. Unia jest dla obywateli i dla przedsiębiorców, którzy pragną wolności, oraz dla państw, które pragną suwerenności.

Reforma Unii Europejskiej została uruchomiona jesienią 2022 roku. Najpierw mówił o tym 29 sierpnia 2022 roku w Pradze kanclerz Niemiec Olaf Scholz, a potem, 1 września tego samego roku, w przemówieniu do korpusu dyplomatycznego w Paryżu, prezydent Francji Emmanuel Macron. Wtedy z ust obu tych polityków padły podobne postulaty. Na przykład by rozszerzyć Unię Europejską. Jednak jako warunek rozszerzenia podano reformę traktatu w kierunku zmiany systemu podejmowania unijnych decyzji. Nie może być bowiem takiej sytuacji, by np. kraje Europy Środkowej same podejmowały decyzje geopolityczne, zrywały kontakty z Rosją, eskalowały konflikt lub samodzielnie podejmowały inicjatywy współpracy z USA. Aby ograniczyć swobodę państw europejskich uważanych za podlegaczy wojennych, zapowiedziano zwiększenie kompetencji Komisji Europejskiej kosztem państw członkowskich. Ma być także wprowadzony większościowy system podejmowania decyzji przez Komisję, zwłaszcza w dziedzinie polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Będzie zlikwidowane prawo weta, które dotychczas zmuszało do uwzględniania interesów każdego kraju i poszukiwania konsensusu. Państwa utracą istotne dla swej suwerenności uprawnienia. Unia ma się stać potęgą geopolityczną kosztem suwerenności państw członkowskich. Temu właśnie służy także koncepcja autonomii strategicznej, która oznacza niezależność Unii od USA. Suwerenność Unii Europejskiej będzie budowana między innymi dzięki minimalizowaniu wpływów Stanów Zjednoczonych w Europie.

Kilka tygodni po wystąpieniach polityków z Niemiec i z Francji Komisja Konstytucyjna Parlamentu Europejskiego stworzyła sześcioposobowy zespół, który miał przygotować reformę Traktatu o Unii Europejskiej, czyli reformę Unii. Zespół reprezentował różne frakcje polityczne, lecz pięciu jego członków należało

do tzw. grupy Spinello, czyli zwolenników przekształcenia Unii w europejskie superpaństwo. Zespół nie działał w sposób koncyliacyjny. Zamiast szukać rozwiązań kompromisowych, które w tak ważnych kwestiach sensu stricto konstytucyjnych powinny odpowiadać wszystkim ugrupowaniom politycznym, zastosowano metodę przegłosowywania rozwiązań. Oznacza to, że nowelizacja traktatu odpowiada tylko ugrupowaniom politycznym zainteresowanym centralizacją Unii Europejskiej. Nie trzeba chyba tłumaczyć, że w Unii, tak jak w każdej organizacji, im większa centralizacja władzy, tym mniej demokracji. Zatem przyjęty do procedowania projekt nowelizacji traktatu jest wyraźnie politycznie jednostronny. Stąd należy się dziwić, że krytycy proponowanej nowelizacji podnoszą kwestie demokracji i suwerenności państw członkowskich jako wartości zagrożonych przez procedowany projekt. W odpowiedzi można usłyszeć, że ten, kto nie wspiera centralizacji, nie rozumie współczesnego świata, który ma charakter globalny. Tymczasem Unia Europejska, jeżeli chce odgrywać znaczącą rolę w świecie, musi mieć scentralizowane i sprawne kierownictwo. Krytyków centralizacji nazywa się pogardliwie „suwerenistami”, bo mają przedkładać interesy poszczególnych państw nad dobro całej Unii. Zarysowany spór dotyczy więc tego, który model kierowania Unią jest bardziej skuteczny, oraz tego, który jest bardziej demokratyczny; co jest ważniejsze: interesy pojedynczych państw członkowskich czy interes Unii jako całości.

**Dystans gospodarczy i technologiczny między Europą a USA i resztą świata rośnie. Widzimy marginalizację gospodarki UE na tle USA i reszty świata. Obserwujemy spadek poziomu życia w Europie na tle USA. Sztuczna inteligencja powstała w USA, ale pierwsze prawo, które ogranicza jej zastosowania, wytworzono w Unii Europejskiej. Czy to jest powód do dumy?**

Proponuję, by na proces nowelizacji traktatu i zmian w Unii spojrzeć z innej strony. Nie ma co ukrywać, że poparcie dla koncepcji centralizacji władzy w Unii Europejskiej oznacza osłabienie pozycji każdego małego i średniego kraju w Unii. Zatem wprowadzenie tej koncepcji w życie pogłębi zjawisko, którego właściwie nikt nie kwestionuje, tj. pogłębi już istniejący tzw. deficyt demokracji w Unii Europejskiej. Wiem, że dla wielu zwolenników centralizacji władzy w Unii nie są to kwestie istotne, bo interes Unii jako całości uważają za nadrzędny wobec innych problemów. Jest jednak poza tym inny problem rzadko dotychczas podnoszony, który powinien być rozwiązany, kiedy mówimy o zmianach traktatu i o reformie Unii. W pełni zgadzam się, że reforma traktatu jest potrzebna. Warto jednak zastanowić się, w jakim kierunku ma ona iść, co jest najpilniejsze do zmiany w funkcjonowaniu Unii. Wydaje się, że takiej refleksji dotychczas brakuje, bo brakuje diagnozy, jakie są słabe strony działania Unii.

Należy pamiętać, że Unia ma swą konkretną genezę. Po zakończeniu II wojny światowej politycy martwili się o jedno – co zrobić, by nie doszło do nowej wojny między państwami

europejskimi. Wtedy uznano, że najlepszym sposobem na zahamowanie polityki imperialnej jest umocnienie kooperacji gospodarczej w Europie. Przyjęto, że poprzez ekonomizację polityki zapewnimy Europie trwały pokój. Jak wiemy, to się udało. Dziś Unia próbuje wyraźnie odejść od tego fundamentu, jakim jest ekonomizacja polityki. Coraz częściej kwestie polityczne i ideologiczne stają się nadrzędne wobec kwestii gospodarczych. Poza tym stawia się przed Unią nowe zadanie, tj. prowadzenie politycznej gry w wielobiegunowym świecie. Może warto się zastanowić, czy to słuszny kierunek ewolucji projektu jednoczenia Europy.

Spójrzmy także na Unię Europejską od strony gospodarczej. Nie ma co ukrywać, że w ciągu ostatnich kilkunastu lat wprowadziła ona szczególnie typ kapitalizmu, który coraz mniej przypomina wolny rynek. Dziś mamy w Unii kapitalizm nadmiernych regulacji, który niszczy konkurencyjność gospodarki europejskiej. Jeżeli dojdzie do dalszej centralizacji władzy w Unii, to biurokracja i ideologia zniszczą jeszcze bardziej zdolności rozwojowe europejskiej gospodarki, w tym także polskiej. Tymczasem w Azji i w USA mamy kapitalizm bardziej wolnorynkowy, który zapewnia przedsiębiorstwom więcej wolności i czyni je bardziej konkurencyjnymi.

Gdy porówna się osiągnięcia gospodarcze Unii Europejskiej i USA z ostatnich 20 lat, to widać, że pozycja naszego kontynentu na tle Stanów Zjednoczonych jest coraz słabsza. W 2008 roku gospodarka europejska była większa od amerykańskiej (16,3 biliona dolarów do 14,8 biliona dolarów). W 2022 roku Unia wytworzyła PKB o wartości 16,6 biliona dolarów, a PKB USA wyniosło 25,5 biliona. Dziś PKB USA jest większe od PKB Unii, i to wyraźnie większe! O europejskim potencjale przemysłowym najlepiej świadczy to, że dziś 2/3 unijnego PKB to usługi. Z tych tendencji gospodarczych trzeba wyciągnąć wnioski dla dalszego funkcjonowania Unii, czyli dla kierunku reformy traktatu. Niestety, autorzy dotychczasowego projektu nowelizacji traktatu nie brali wspomnianych czynników pod uwagę.

W ostatnich 20 latach również udział Unii Europejskiej w światowym PKB spadł dramatycznie, zwłaszcza w dziedzinie przemysłu. Przemysł uciekł z Europy do Azji ze względu na nadmiar unijnych regulacji, a zwłaszcza ze względu na wysokie ceny energii elektrycznej. A zasada jest taka, że jak nie ma przemysłu, to i nie ma innowacji, które są źródłem największych zysków i rozwoju. Najlepsze uczelnie są dziś poza Unią, najważniejsze koncerny przemysłowe są poza Europą. Dystans gospodarczy i technologiczny między Europą a USA i resztą świata rośnie. Podkreślam: rośnie! Widzimy marginalizację gospodarki UE na tle USA i reszty świata. Obserwujemy spadek poziomu życia w Europie na tle USA. Sztuczna inteligencja powstała w USA, ale pierwsze prawo, które ogranicza jej zastosowania, wytworzono w Unii Europejskiej. Nie wiem, czy to jest powód do dumy. Ten przykład najlepiej pokazuje, do czego jest zdolna Unia Europejska i jak funkcjonuje jej mechanizm gospodarczy. W Brukseli mamy do czynienia z brakiem pragmatycznego myślenia o gospodarce. W działaniach Unii dominuje podejście biurokratyczne i ideologiczne. Patrząc na wyniki gospodarki UE i USA w ostatnim dwudziestoleciu, można powiedzieć, że w Brukseli nikt nie rozumie, czym jest prowadzenie biznesu. Najkrócej mówiąc, firmy potrzebują więcej wolności, a mniej regulacji.

Potrzebujemy Europy, która zapewni korzyści wszystkim państwom i przedsiębiorstwom, a nie tylko najsilniejszym graczom, którzy wykorzystują swą dominującą pozycję. W rezultacie centralizacji, która ma być wprowadzona na podstawie proponowanej nowelizacji trak-

tatu, w Europie nastąpi osłabienie wolnego rynku, firmy będą miały mniej wolności gospodarowania, a to zagraża dotychczasowemu poziomowi życia obywateli w Europie. Zamiast wspierać budowę wspólnych interesów gospodarczych państw członkowskich, obserwujemy dążenie do przekształcenia Unii w superpaństwo, które za pomocą władzy politycznej ma dyrygować zarówno obywatelami, jak i życiem gospodarczym. Wiemy, jak takie centralne kierowanie gospodarką kiedyś się skończyło w bloku państw socjalistycznych.

**Zamiast wspierać budowę wspólnych interesów gospodarczych państw członkowskich, obserwujemy dążenie do przekształcenia Unii w superpaństwo, które za pomocą władzy politycznej ma dyrygować zarówno obywatelami, jak i życiem gospodarczym. Wiemy, jak takie centralne kierowanie gospodarką kiedyś się skończyło w bloku państw socjalistycznych**

Analiza danych z ostatnich lat pokazuje wyraźnie, że brukselskie superpaństwo jest drogą do osłabienia gospodarki i podważenia dotychczasowego poziomu życia obywateli w Europie. Nie ma co ukrywać, że tzw. strategia lizbońska, która miała zapewnić Europie pozycję gospodarczego lidera na świecie, zakończyła się fiaskiem. Dziś nadmiar regulacji ogranicza europejską gospodarkę. Tysiące nowych szczegółowych norm paraliżuje działalność przedsiębiorstw. Każda nowa regulacja ogranicza rozwój w kolejnym sektorze gospodarki. Dążenie do unifikacji i regulacji wszystkiego nie tylko niszczy konkurencyjność. Jest de facto formą protekcjonizmu, który ma chronić unijny rynek przed towarami i usługami z innych, bardziej rozwiniętych regionów świata. A im słabsza konkurencyjność europejskiego przemysłu, tym silniejsze dążenie do protekcjonizmu. Superpaństwo mogłoby istnieć, gdyby reszta świata funkcjonowała podobnie, tj. z podobną biurokracją. Jednak świat idzie inną drogą, drogą gospodarczej wolności. Unia nie da rady się od tego bardziej wolnego gospodarco świata izolować. Musiałaby bowiem funkcjonować jako gospodarka zamknięta, podobnie jak gospodarki państw socjalistycznych. One trwały, dopóki izolowały się od wolnego rynku na świecie. Zatem dziś Unia z własnej woli przegrywa wyścig o pozycję na świecie ze względu na przyjęty model kapitalizmu, tj. gospodarki nadmiernych regulacji.

Zatem trzeba tłumaczyć obywatelom, że Unia Europejska to świetny projekt, ale dziś jest to instytucja chora. Dlatego wymaga prawdziwych reform, które zwiększą wolność gospodarowania i zwiększą wolność obywateli. Tego euroentuzjaści nie rozumieją. Zatem oni o konieczną naprawę Unii walczyć nie będą. Tylko nowy, bardziej wolnościowy model kierowania zapewni uratowanie i rozwój Unii Europejskiej. Proponowana dotychczas nowelizacja unijnych traktatów jest rozwiązaniem błędnym. Nie tylko odbiera narodom suwerenność. Prowadzi przede wszystkim do osłabienia gospodarczego Europy i tym samym do politycznej marginalizacji naszego kontynentu na świecie. Prawdziwa reforma Unii to zadanie, które jeszcze jest przed nami.

reklama

25 lat Nauczyciele, uczniowie, rodzice  
wspólnych podróży dla polskiej edukacji

OPERON  
Edukacja jest podróżą

www.operon.pl



# Każdy inaczej definiuje suwerenność

Agresja Rosji na Ukrainę zakończyła okres braku działania Unii Europejskiej w zakresie rozszerzenia



**Andrzej GRZYB**

Wiceprezes PSL. Poseł na Sejm RP, przewodniczący Komisji Obrony Narodowej. B. deputowany do Parlamentu Europejskiego

## Jaka Europa?

W historii integracji europejskiej odnotowujemy okresy intensywnych zmian instytucjonalnych, rozszerzenia kompetencji wspólnot, a następnie UE, również w odpowiedzi na zmiany w Europie. Wygrana Solidarności w Polsce, zmiany demokratyczne w Europie Środkowo-Wschodniej oraz rozpad Związku Radzieckiego otworzyły ku temu odpowiednią perspektywę. Premier Tadeusz Mazowiecki, pierwszy niekomunistyczny premier RP, wyraził polskie oczekiwania lapidarnym stwierdzeniem, że Polska chce być członkiem Wspólnot Europejskich. Układ o stowarzyszeniu i strefie wolnego handlu zawarty ze Wspólnotami Europejskimi i ich państwami członkowskimi w 1991 roku przez rząd premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego nie zawierał jednak klauzuli o stowarzyszeniu w celu członkostwa. Część handlowa układu o stowarzyszeniu weszła w życie w 1992 r., a 8 kwietnia 1994 premier Waldemar Pawlak złożył wniosek o członkostwo Polski w Unii Europejskiej. Otwarcie negocjacji warunków członkostwa Polski w UE nastąpiło po przyjęciu traktatu amsterdamskiego w 1997 roku i doprowadziło do nowego rozszerzenia UE 1 maja 2004 r.

Później nastąpiły kolejne fale rozszerzenia. Sytuację zmieniło opuszczenie UE przez Wielką Brytanię, będącą drugą gospodarką UE z 66 mln ludności, które formalnie nastąpiło 31 stycznia 2020 roku. Brexit zainspirował prezydenta Francji Emmanuela Macrona do zainicjowania procesów federalizujących UE. Prezydent Francji w swoich propozycjach wskazywał na konieczność instytucjonalnego wydzielenia strefy euro, a pierwszym krokiem miało być utworzenie odrębnego budżetu strefy euro. Pomysł był krytycznie przyjęty nie tylko w Polsce, dla której oznaczał zły scenariusz zarówno pod względem politycznym, jak i ekonomicznym. Inicjatywa ta się nie rozwinęła, ponieważ ktoś musiałby za wprowadzenie takich zmian zapłacić, tzn. Niemcy, które w tym czasie musiały sobie poradzić ze skutkami otwarcia granic dla imigrantów.

Konferencja o przyszłości UE zainicjowana w kwietniu 2021 roku już na początku napotkała trudności w uzgodnieniu wizji i celu konferencji oraz kto powinien być prowadzącym debatę. Początkowo miała to być wybitna osobowość, a w końcu wyznaczono triumwirat przedstawicieli instytucji europejskich. Jej prace zainspirowały w dużej mierze Komisję Konstytucyjną PE, która przygotowała projekt sprawozdania apelującego o zmianę traktatów UE. Konferencja nie miała mandatu na doprowadzenie do zmian traktatowych, ale w jej wyniku przyjęto rekomendacje dla instytucji europejskich. Wspólny mianownik oczekiwań to zwiększenie kompetencji na poziomie wspólnotowym z jednoczesnym ograniczeniem kompetencji państw członkowskich. Przewodnicząca

Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen opowiedziała się nie tylko za zmianą traktatów, ale również za rezygnacją z zasady jednomyślności w Radzie UE w sprawach kluczowych. Emmanuel Macron wyraził gotowość nie tylko do zmian traktatowych, ale również apelował o stworzenie nowego typu „politycznej wspólnoty europejskiej”, która pozwoliłaby krajom spoza Unii, jak Ukraina, na przystosowanie się do „podstawowych wartości europejskich” i zbudowanie swojego parasola dla krajów, które obecnie są poza Unią.

W tle debaty nad zmianami traktatów jest ambitny harmonogram poszerzenia UE. Wojna Rosji przeciw Ukrainie sprawiła, że Rada Europejska przyznała jednomyślnie status kraju kandydującego Ukrainie, Mołdawii oraz Bośni i Hercegowinie. Również wobec Gruzji zapadła podobna deklaracja, pod warunkiem powrotu Gruzji do reform zbliżających ją do statusu kraju kandydującego.

W opiniach dotyczących Wieloletnich Ram Finansowych po 2027 roku postuluje się już uwzględnianie celów związanych z rozszerzeniem UE. Po rozszerzeniu UE niektóre państwa członkowskie będące beneficjentami netto stałyby się płatnikami netto do budżetu UE. W tym kontekście zniesienie „zasady jednomyślności” nabiera zupełnie innego wymiaru, a przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michel stwierdził, że „jedność jest podstawą siły UE” i że całkowite zniesienie tej zasady mogłoby doprowadzić do „wylania dziecka z kąpielą”. Zatem redukcja zasady jednomyślności wyrażona w przyjętym sprawozdaniu PE nie znajduje entuzjazmu w pozostałych instytucjach UE oraz w państwach członkowskich.

„Chcemy wzmocnienia Unii w kształcie, w jakim jest dziś. Rewolucje ustrojowe nie są nam potrzebne, niezależnie od stanowiska Francji i Niemiec” – stwierdził w grudniu 2023 roku, tuż przed objęciem stanowiska premiera, Donald Tusk. Podobne zdanie wyrażali ambasadorowie m.in. Polski, Francji i Włoch, akredytowani przy UE, przestrzegając, aby reformy instytucjonalne UE (zmiany traktatów) nie były warunkiem wstępnym rozszerzenia UE. Wyciszenia wskazują, że przyjęcie Ukrainy będzie wymagało podwyższenia budżetu na lata 2028–2034 o 186 mld euro, a przyjęcie wszystkich kandydujących państw podniosłoby wpłaty do budżetu z 1,1 proc. do 1,4 proc. dochodu narodowego brutto. Wymagałoby to również zwiększenia funduszu spójności i wydatków na politykę rolną. Alternatywą jest gruntowna reforma zasad wypłaty dopłat bezpośrednich w rolnictwie. Tylko Ukraina dysponuje 43,5 mln ha gruntów rolnych, trzykrotnie więcej niż posiada Polska (14,5 mln ha). Rolnictwo Ukrainy nie przystaje do wyobrażeń rolnictwa europejskiego, bo ponad 30 proc. ziemi rolnej Ukrainy jest w dyspozycji 93 agroholdingów, i ma ogromny potencjał produkcyjny.

Decyzja UE o rozpoczęciu negocjacji z Ukrainą i Mołdawią oraz wcześniej podjęte decyzje dotyczące krajów Bałkanów Zachodnich stawiają ważne pytania o kierunek zmian w UE i obejmuje to nie tylko zasadę jednomyślności, ale również zmiany instytucjonalne związane z funkcjonowaniem Komisji Europejskiej i jej składu liczebnego oraz innych instytucji europejskich po rozszerzeniu. Zauważalna jest również głęboka różnica w tym, jak definiujemy suwerenność, która inaczej jest definiowana w krajach Europy Środkowej, a inaczej w Europie Zachodniej czy Południowej. Przykładem jest ocena zagrożeń ze strony Rosji. Jednocześnie agresja Rosji na Ukrainę zakończyła okres braku działania UE w zakresie rozszerzenia. Jednak wszystkie decyzje muszą znaleźć zrozumienie i akceptację państw członkowskich, ponieważ wymagają większego wysiłku finansowego, a także kompromisu co do zakresu zmian instytucjonalnych.

Pełna wersja tekstu: [www.WszystkoCoNajwazniejsze.pl](http://www.WszystkoCoNajwazniejsze.pl)

# Solidarność 27 krajów wciąż możliwa

Zasadnicza rekonstrukcja Unii Europejskiej jest dziś niezbędna



**Prof. Michał KLEIBER**

Redaktor naczelny „Wszystko co Najważniejsze”. Profesor zwyczajny w Polskiej Akademii Nauk. Prezes PAN (2007–2015), minister nauki i informatyzacji (2001–2005), w latach 2006–2010 doradca społeczny prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Przewodniczący Polskiego Komitetu ds. UNESCO. Kawaler Orderu Orła Białego

## Jaka Europa?

Świat, w którym się znaleźliśmy, to z jednej strony niezwykle skomplikowana sytuacja międzynarodowa nierokująca w przewidywalnej przyszłości nadziei na pozytywną zmianę, z budzący olbrzymie globalne obawy wojnami w Ukrainie i strefie Gazy, stale powtarzanymi pogroźkami Rosji wobec swoich licznych sąsiadów, Chin wobec Tajwanu, Korei Północnej wobec Korei Południowej czy daleka od pokojowej stabilizacji sytuacja w wielu państwach arabskich; z drugiej strony to trwające w całej Unii gwałtowne debaty o jej przyszłości, w tym spory o przyszły system podejmowania unijnych decyzji i realizację nowych, często bardzo kontrowersyjnych regulacji. Do tego kanonu wejść powinien dziś „kryzys integracji”. W krajach członkowskich UE zaczyna dominować przekonanie o potrzebie daleko idących zmian czy wręcz unijnego renesansu. Naturalne jest pytanie, czy powinniśmy sobie pozwolić na spokojne obserwowanie wydarzeń i bez niecierpliwości czekać na lepsze, bardziej proeuropejskie czasy, czy może, przeciwnie, powinniśmy w ogóle zapomnieć o idei ścisłej europejskiej wspólnoty, traktując ją jako wymysł w ogóle niemożliwy do zrealizowania. Stawka jest olbrzymia – czekają nas albo konsekwentne przełamywanie niemości w strategicznym myśleniu o przyszłości Unii, albo piętrzące się kłopoty prowadzące do marginalizacji państw Europy w świecie.

Sposób funkcjonowania Unii budzi dodatkowe emocje ze względu na zbliżające się wybory do Parlamentu Europejskiego i towarzyszące im ustalenia dotyczące nowego składu Komisji Europejskiej i funkcjonowania pozostałych unijnych organów, w tym sposób wybierania przewodniczącego KE i zasiadających w niej komisarzy, przyszłej roli Parlamentu Europejskiego jako obecnie jedynego demokratycznie wybieranego unijnego organu, sposobu podejmowania unijnych decyzji szczególnie w kontekście zasad przyjmowania nowych członków, stosowania prawa weta i poszerzenia strefy euro, zakresu wspólnej polityki obronnej, gospodarczej i zdrowotnej, kontynuacji szeroko krytykowanej propozycji dotyczących polityki klimatycznej czy zasadności istnienia drugiej kosztownej siedziby Parlamentu w Strasburgu. Niestety, te przykłady to bynajmniej nie wszystkie z wielu wyzwań czekających te, kluczowe dla przyszłości Europy, ponadpaństwową organizację.

Podstawowy dokument regulujący funkcjonowanie Unii, czyli traktat lizboński, podpisano w roku 2007 na bazie przyjętego trzy lata wcześniej traktatu konstytucyjnego. Oznacza to, że mimo szalonych zmian zachodzących na świecie obowiązujący dzisiaj sposób funkcjonowania Wspólnoty zaprojektowano już dwie dekady temu. Potrzeba reformy UE nie powinna więc budzić

najmniejszych wątpliwości, pytaniem pozostaje natomiast jej zakres i sposób wprowadzenia w życie.

Propozycji zmian, w szczególności traktatowych, padło już wiele, jednak gwałtowne dyskusje wokół nich uniemożliwiają dzisiaj przewidzenie, które z nich mają szansę na ostateczne przyjęcie. Wiele z problemów może też zostać rozwiązanych za pomocą właściwej interpretacji *acquis communautaire* (całością dorobku prawnego UE), reorientacji polityki czy po prostu zmian procedur i realizowanych programów. Nawet to nie będzie jednak łatwe w obliczu stanowisk polityków i ekspertów w wielu krajach próbujących pogodzić interesy swych państw z myśleniem o przyszłości Unii. W szczególności wiele z planowanych zmian niejako automatycznie narusza dotychczasowe relacje krajowych i unijnych decyzyjnych kompetencji. Dodatkowym kłopotem jest to, że wiele z propozycji jest wynikiem inicjatyw unijnych organów zainteresowanych głównie wzmocnieniem swych własnych decyzyjnych kompetencji, a nie głęboko rozumianym interesem obywateli państw członkowskich.

Pewien znaczący zakres reform w funkcjonowaniu UE jest jednak niezbędny. Głównie z uwagi na sytuację geopolityczną oraz potrzebę udoskonalenia zasad działania Wspólnoty, w szczególności w kontekście planów przyjmowania nowych członków. W zakresie bezpieczeństwa problemem jest uwspólnianie unijnej polityki produkcji i zakupów broni oraz akceptacja prowadzenia działań w pełnej lojalności wobec NATO, mimo że niektóre państwa członkowskie, krytyczne wobec Stanów Zjednoczonych, widziałyby tu pewną unijną niezależność. Główne kontrowersje w sprawie poszerzenia Unii o nowych członków budzi dylemat z jednej strony pożądaną jednomyślności w podejmowaniu decyzji, a z drugiej osłabiającą wizerunek Unii możliwość blokowania ważnych rozstrzygnięć przez choćby jedno, nawet najmniejsze państwo członkowskie. Do argumentacji na rzecz zniesienia prawa weta i wprowadzenia niektórych innych reform wykorzystywana jest w szczególności sprawa kooptacji do Unii nowych wschodnioeuropejskich członków, co nie tylko z polskiej perspektywy wydaje się być niezwykle istotne. Nie mniej kontrowersyjny jest traktatowy wymóg praworządności, tworzący najróżniejsze możliwości interpretacyjne i otwierający drogę do sporu na temat zakresu wpływu Unii na stanowienie i funkcjonowanie systemów prawa w poszczególnych państwach członkowskich.

Kontrowersje wokół zakresu dyskusowanych zmian są tak poważne, że ich akceptacja wymagająca porozumienia wszystkich 27 państw członkowskich jawi się jako mało realna w ciągu paru najbliższych lat. Trudno uwierzyć w możliwość ratyfikowania tak fundamentalnych zmian przez wszystkie narodowe parlamenty, w niektórych państwach wymagającego w dodatku powszechnych referendów.

Warunkiem sukcesu w obecnych i przyszłych negocjacjach dotyczących reform wydają się konsekwentne działania na rzecz demokratyzacji unijnych organów i wzmocnienia poczucia o pełnym ich zaangażowaniu w misję zaspakajania realnych potrzeb wszystkich krajów członkowskich oraz dbałości o dobrostan ich obywateli. Na podstawie dotychczasowych doświadczeń, absolutnie nie kwestionując konieczności wprowadzania różnorodnych udoskonalień w funkcjonowaniu Unii, postulat powyższy oznacza akceptację znaczącej autonomii decyzyjnej państw członkowskich, a w sprawach szczegółowych m.in. takie działania, jak istotne zmiany w polityce klimatycznej, akceptacja dotychczasowych zasad stosowania prawa weta czy odłożenie w czasie wymogu przyjmowania wspólnej waluty.

Konkluzją może być tytuł mojego artykułu sprzed paru już lat: *Unia – absolutnie tak. Jej zasadnicza rekonstrukcja – koniecznie!*



## Antropologia przyszłości

Odkrycia i badania technologiczne oraz farmaceutyczne dają impuls do tworzenia nowych scenariuszy, nieustannie pobudzając wyobraźnię i refleksję filozoficzną. Jednym z efektów tego zjawiska jest powstanie ruchów transhumanizmu i posthumanizmu.

Ruch transhumanistyczny wyrósł na gruncie odkryć i zastosowań w dziedzinie cyfrowej i biotechnologicznej, a w szczególności dzięki połączeniu czterech kierunków badań: nanotechnologii, biotechnologii, technologii informacyjnej i nauk kognitywnych, określanych zbiorczo NBIC. Ruch koncentruje się na potencjalnych korzyściach, jakie te dziedziny mogą przynieść ludzkości – w medycynie (pomagając kształtować coraz bardziej wydajne ciało, wolne od chorób, starzenia się i śmierci), w naukach kognitywnych i komputerowych (zwiększając pamięć i inteligencję poprzez zastosowanie specjalnych mikroczipów lub przenoszenie ich z nośnika biologicznego na niebiologiczny) oraz w robotyce. Filozof Feridoun M. Esfandiary, jeden z teoretyków ruchu, tak wyjaśnił swoją decyzję o zmianie nazwiska na FM-2030: „2030 odzwierciedla moje przekonanie, że okres około 2030 roku będzie magicznym czasem. W 2030 roku nie będziemy się starzeć, a każdy człowiek będzie miał szansę żyć wiecznie”.

Z kolei termin „posthumanizm” nawiązuje do słów krytyka literackiego Ihaba Hassana, który w eseju *Prometheus as Performer: Toward a Posthumanist Culture?* z 1977 roku mówi o inicjatywie pragnącej wymazać ludzką naturę i 500 lat humanizmu. Ruch postludzki chciałby zatem czegoś więcej niż medyczne i intelektualne usprawnienie człowieka – jego wymarzoną celem jest całkowite zniesienie wymiaru biologicznego, roli choroby i śmierci oraz samej idei ludzkiej natury, co pozwoli osiągnąć „ultraludzką kondycję, a zatem porzucić kruchość obecnej kondycji, by otworzyć się na przyszłość, w której nowy człowiek („poza-człowiek”) będzie w stanie radykalnie przeprogramować jaźń”, nawet na poziomie mózgu. Z antropologicznego punktu widzenia jest to być może najbardziej prowokujący i stymulujący nurt, swego rodzaju zapowiedź nowej ery, która radykalnie przedefiniuje status człowieka i ostatecznie uwolni go od ograniczeń natury.

Jednym z najbardziej znanych interpretatorów tego ruchu jest Max More (pseudonim Maxa O'Connora), filozof i ekonomista, który określa się mianem futurysty. W *Liście*

## Postczłowiek i transczłowiek

Człowiek staje się obiektem dla technologii, która przekształca go tak radykalnie, jak nigdy dotąd

do *Matki Natury* nazywa siebie spadkobiercą oświecenia, odrzuca wszelkie ograniczenia moralne i religijne oraz teoretyzuje na temat ekstropii, czyli tendencji do przeciwdziałania entropii, zasadzie nieporządku w systemie fizycznym. Dzięki naturze za wszystko, co zrobiła, jednocześnie zarzucając jej niedoskonałość – to ją obarcza odpowiedzialnością za wady i cierpienie, które wreszcie można naprawić i wyeliminować dzięki technologii i medycynie.

Nowe odkrycia technologiczne umożliwiają modyfikowanie człowieka za pomocą wszczepianych akcesoriów zwiększających wydajność czy też dzięki sztucznej inteligencji o potencjalnie nieograniczonych możliwościach. Człowiek staje się obiektem dla technologii, która przekształca go tak radykalnie, jak nigdy dotąd. Nie jest to precyzyjna wizja, lecz raczej zbiór wariacji na temat aspektu technologicznego. Można ją rozumieć jako koncepcję, w której to maszyna, nie człowiek, staje się kryterium odniesienia, odwracając relację oceny.

Termin *cyborg* (skrót od ang. *cybernetic organism, cybernetyczny organizm*) narodził się z idei rozbudzonych przez wczesne przedsięwzięcia kosmiczne i powiązane z nimi modyfikacje ludzkiego organizmu. Pojęcie to pojawiło się po raz pierwszy we wrześniowym numerze czasopisma „*Astronautics*” z 1960 roku, w artykule *Cyborgs and Space* autorstwa Manfreda Clynesa i Nathana Kline'a, dwóch badaczy z Rockland State University. Twierdzili oni, że aby skutecznie radzić sobie ze wzajemnym oddziaływaniem ludzi i nowych światów, nie należy ingerować w środowisko zewnętrzne, ale zmodyfikować istoty ludzkie poprzez wprowadzenie do ich ciał specjalnych urządzeń.

Idea całkowitego ukształtowania ego jest również podstawą wielu przedstawień scenograficznych, takich jak słynna wystawa „*Posthuman*” zorganizowana w Lozannie w 1992 roku, a później w Rivoli. Zaprezentowano na niej prace 36 artystów, których łączyły dwie istotne cechy: obsesja na punkcie ciała (przedstawionego w sfragmentaryzowanej lub zdeseksualizowanej formie) oraz brak skłonności do szufladkowania. Kurator Jeffrey Deitch dostrzegł w tych pracach zapowiedź nowej definicji ludzkiego życia, które stanie się możliwe dzięki biotechnologii i rzeczywistości cyfrowej. „Już nasze pokolenie” – oświadczył w wywiadzie – „będzie w stanie korzystać z nowych osiągnięć inżynierii genetycznej, które pozwolą nam na nowo komponować naszą strukturę genetyczną lub decydować, jakie będą nasze dzieci. Mówimy o końcu naturalnej ewolucji i początku ewolucji sztucznej”.

W 1995 roku angielski filozof David Pearce założył stowarzyszenie non profit BLTC Research (*Better Living Through Chemistry*), którego manifest określa cele ugrupowania w następujący sposób: „promowanie rajskiej inżynierii” i „zniesienie biologicznych substratów cierpienia, nie tylko u ludzi, ale u wszystkich czujących organizmów. Obecnie życie na Ziemi jest kontrolowane przez samoreplikujące się DNA. To właśnie samolubne geny sprawiają, że ból i złe samopoczucie są

endemiczne dla świata żywego. Bionauka trzeciego tysiąclecia pozwoli nam zmienić genom kregowców, przeprojektować globalny ekosystem i zapewnić genetycznie zaprogramowany dobrobyt”. Największymi przeszkodami na drodze do realizacji tych założeń są religie i partie polityczne, które sprzeciwiają się anulowaniu biochemicznego wymiaru zła w organizmach żywych.

Transhumanizm i posthumanizm odwołują się do podstawowych aspektów ludzkiego życia. Walka z chorobami i poprawa zdrowia to rdzeń medycyny i technologii. Wartością dodaną tego projektu – czyniącą go zresztą niezwykle atrakcyjnym – jest próba zaprogramowania istoty ludzkiej tak, aby była doskonale wydajna i zdolna do wykładniczej poprawy, czemu towarzyszy obietnica szczęścia zapewnianego przez technologię. Posthumaniści uważają, że aby to wszystko osiągnąć, należy uznać życie fizyczne, tożsamość i ograniczenia za zło i zwalczać je, ponieważ są przyczyną chorób lub niepełnosprawności.

**„Okres około 2030 roku będzie magicznym czasem. W 2030 roku nie będziemy się starzeć, a każdy człowiek będzie miał szansę żyć wiecznie”**

Choć projekt ten wzbudza lekkomyślny entuzjazm, jest raczej trudny do zrealizowania. Radykalne przeprogramowanie istoty ludzkiej staje bowiem w obliczu trudności strukturalnych, wynikających nie tylko z technologii, która nie jest jeszcze doskonała (czy kiedykolwiek będzie?), ale również ze specyficznych cech człowieka, zwłaszcza w zakresie złożoności genomu i ogromnej liczby połączeń mózgowych, które liczą około  $10^{15}$  synaps, tj. 1 i 15 zer, czyli biliard (1000 bilionów). Jednak praktyczna nieosiągalność wspomnianego celu nie wyklucza jego stale rosnącej popularności i nacisku na podjęcie kroków w kierunku jego realizacji. To zaś rodzi kilka pytań natury bardziej ogólnej.

Sądzi się, że rozpowszechnianie posthumanizmu i transhumanizmu – podobnie jak w przypadku teoretyków „rozszerzonego umysłu” (Prensky) – stanowi przede wszystkim duże przedsięwzięcie gospodarcze. Za taką operacją stoją, jak zawsze, interesy finansowe, o czym świadczą silne naciski na nagłaśnianie i sponsorowanie tej ideologii, na przykład przez branżę technologiczną i farmaceutyczną. Pozostaje również pytanie, kogo będzie stać na drogie protezy robotyczne lub selektywne i długotrwałe terapie lekowe. Nierówności pod tym względem doprowadzą do powstania nowych hierarchii społecznych.

W tym miejscu chciałbym przeanalizować niektóre aspekty posthumanizmu z antropologicznego punktu widzenia. Otóż uderzającą jest skrajna niejasność celu tej propozycji, gdy odchodzi od możliwości walki z chorobami i poprawy jakości diagnostyki i terapii (co jest całkowicie uzasadnione, ale co nie wymaga trzymania się obecnego toku myślenia) i zaczyna obiecywać szczęście na ziemi. Na przykład John Harris pisze: „Potrafimy lub będziemy potrafili tworzyć nowe »transgeniczne« istoty o niespotykanych dotąd naturze i cechach. Po raz pierwszy możemy zacząć doświadczać kształtowania naszego własnego przeznaczenia, nie tylko pod względem tego, jaki świat chcemy stworzyć i zamieszkiwać, ale także w zakresie tego, jakimi sami pragniemy być”. Nick Bostrom w artykule *Why I Want to Be a Posthuman When I Grow Up* przedstawia typowy dzień w nowym świecie: „Właśnie skończyłeś 170 lat, lecz czujesz się silniejszy niż kiedykolwiek. Każdy dzień jest radością. Wymyśliłeś zupełnie nowe formy sztuki, wykorzystujące nowe rodzaje zdolności poznawczych i wrażliwości, które udało ci się rozwinąć. Komunikujesz się z rówieśnikami za pomocą języka umożliwiającego dzielenie się myślami i uczuciami, o których nieulepszeni ludzie nie mogliby nawet pomyśleć, a co dopiero ich doświadczyć. Kiedy bawisz się z przyjaciółmi, czujesz, jak każde włókno twojego ciała i umysłu rozciąga się do granic możliwości w najbardziej kreatywny i pomysłowy sposób, a ty tworzysz nowe królestwa abstrakcyjnego i konkretnego piękna, o których ludzie nigdy nie mogliby marzyć. Zawsze jesteś gotów współczuć tym,

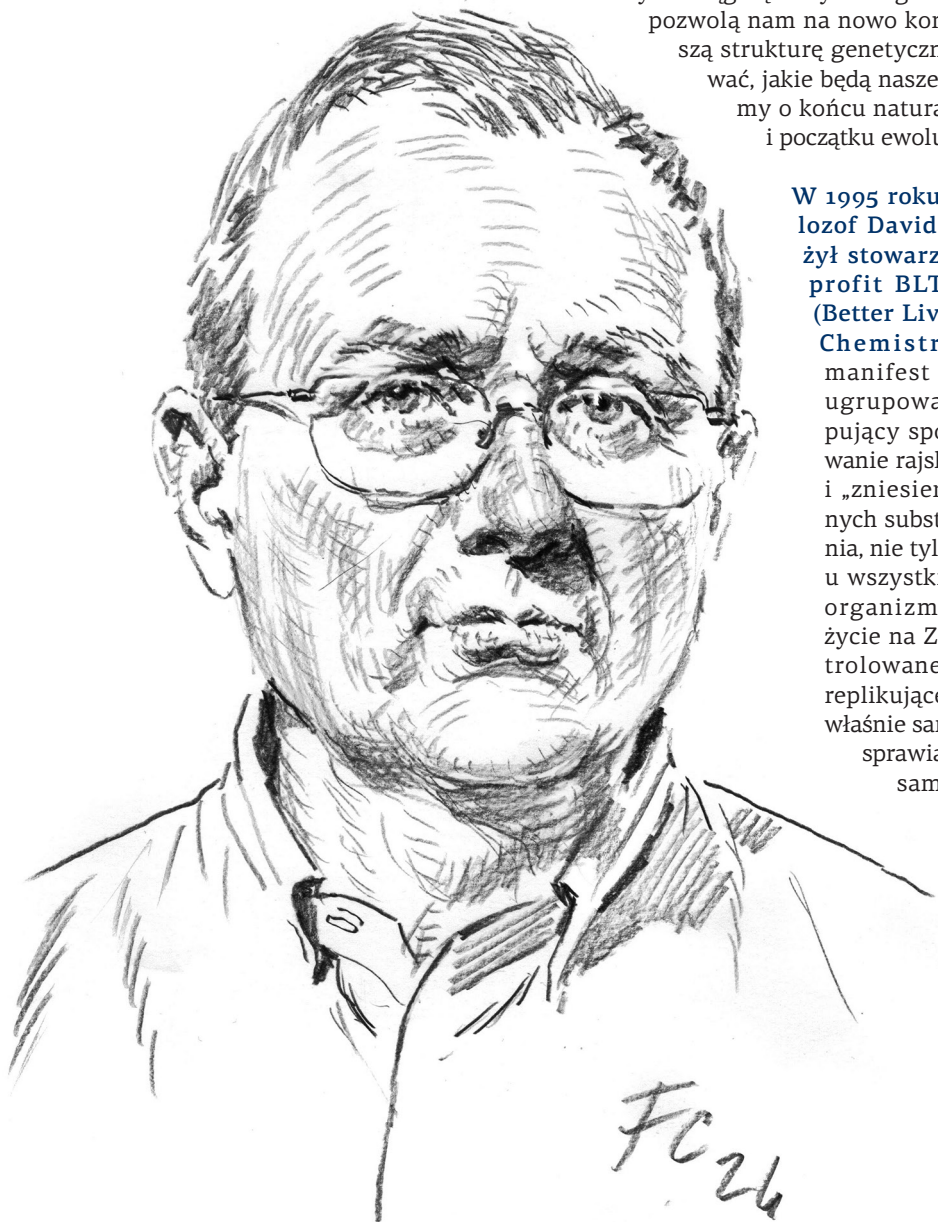
którzy cierpią z powodu nieszczęścia, a także ciężko pracować, by pomóc im stanąć na nogi. Działasz też w dużej organizacji wolontariackiej pragnącej zmniejszyć cierpienia zwierząt. Sprawy mają się coraz lepiej, ale już teraz każdy dzień jest fantastyczny!”.

Opisy te – zwłaszcza ostatni – są pełne żywych kolorów i wykrzykników, a wszystko jest przedstawione jako najlepsze, co można sobie wyobrazić. Jednak ta rzeczywistość nie wydaje się „fantastyczna”. Brzmi fałszywie. Spomiędzy wzmianek o licznych relacjach i działaniach wyizolowana samotność, zrodzona z braku biologicznych, cielesnych, „kruchych” aspektów, które charakteryzują zwyczajne życie. W tej wizji wszystko jest najlepsze: największa moc, najwspanialszy cud, najwyższe zdolności. Nie ma wzmianki o bólu i cierpieniu ani o losie tych, którzy zostali zepchnięci na niższe szczeble drabiny społecznej.

U podstaw opisywanego marzenia leży fundamentalne pytanie filozoficzne: czym jest pełnia życia? Podobne pytania Sokrates zadawał swoim współczesnym – czym jest cnota? Co czyni życie szczęśliwym i wartym przeżycia? Kwestie te są dziwnie pomijane przez transhumanistów i posthumanistów, którzy wiążą swoje ideały z nieokreślonym wzrostem ilościowym. Kant, który długo zastanawiał się nad problemem szczęścia, zauważa, że właśnie takie powiązanie czyni szczęście strukturalnie niemożliwym do osiągnięcia w tym życiu. „Przyczyną tego jest” – pisze – „że wszystkie pierwiastki, należące do pojęcia szczęśliwości, są społecne empiryczne, tj. muszą zostać wydobyte z doświadczenia, podczas gdy idea szczęśliwości wymaga absolutnej całości, najwyższego stopnia pomyślności, w moim obecnym i każdym przyszłym stanie. Jeżeli [człowiek] chce bogactwa, ileż kłopotu, zazdrości i podstępów mógłby przez to na siebie ściągnąć! Jeżeli chce wiele poznania i zrozumienia rzeczy, może stałoby się to tylko bystrzejsem jeszcze okiem, żeby przedstawić mu zła, które przed nim teraz jeszcze się ukrywają, a jednak uniknąć się nie dadzą, w okropniejszym jeszcze świetle, lub obarczyć żądze jego, które mu już dosyć robią kłopot, jeszcze większymi potrzebami. Jeżeli chce długiego życia, kto ręczy mu za to, czy nie będzie ono długą nędzą? Jeżeli chce przynajmniej zdrowia, jak często już słaba konstytucja ciała odwoła od rozpusty, w którą byłoby dało popaść nieograniczone zdrowie itd. Krótko mówiąc, nie jest on w możności określić według jakiej bądź zasady z zupełną pewnością, co go naprawdę uszczęśliwi, ponieważ do tego byłoby potrzebna wszechwiedza” (I. Kant, *Uzasadnienie metafizyki moralności*, tłum. M. Wartenberg, Lwów 1906).

Fragment ten zdaje się napisany specjalnie dla projektu posthumanistycznego! To dlatego w *Krytyce praktycznego rozumu* Kant przedstawia istnienie Boga (pełnego i absolutnego Dobra, do którego dąży szczęście) oraz wolność i nieśmiertelność duszy jako niezbędne postulaty szczęśliwego życia. Co więcej, nie jest pewne, czy moc programowania życia, raz oddana całkowicie w ludzkie ręce, zostanie wykorzystana dla dobra innych. Przypadek dwóch głuchoniemych kobiet, które zdecydowały się na poczęcie głuchoniemego dziecka, aby dzielić z nim tę ważną cechę osobowości, wywołał w Stanach Zjednoczonych spore oburzenie. Kobiety były tym zdumione: „Bycie głuchym” – powiedziała jedna z nich – „to sposób życia. Czujemy się tak samo kompletne jak osoby słyszące i chcemy dzielić się pięknymi aspektami niesłyszącej społeczności z naszymi dziećmi”.

Jest to typowy przykład dominacji uczuć nad rzeczywistością – taka postawa z pewnością pomogła obu kobietom doświadczać losu, którego nie wybrały. Ale być może ich syn nie podziela tego myślenia, zwłaszcza jeśli kojarzy swoją głuchotę ze świadomym wyborem, a nie przypadkowością loterii genetycznej. Ryzyko kształtowania świata na własny obraz i podobieństwo oraz czynienia drugiego człowieka swoim lustrzanym odbiciem tworzy nowe formy nierówności między tymi, którzy mają moc programowania, i tymi, którzy ponoszą tego konsekwencje. „Pod koniec swojego życia Thomas Jefferson napisał: »Rozpowszechnienie się światła nauki objawiło już wszystkim ten namacalny fakt, że ludzkość w swej większości nie narodziła się z siodłem na grzbiecie ani też uprzywilejowana mniejszość nie przyszła na świat w butach jeździeckich z ostrogami, gotowa korzystać z danego przez Boga prawa





do ujeżdżania reszty». Najważniejsze pytanie w związku z rozwojem biotechnologii brzmi: co stanie się z prawami politycznymi, gdy będziemy w stanie wyhodować część ludzi z siodłami na grzbietach, inni zaś otrzymają w momencie narodzin buty i ostrogi” (F. Fukuyama, *Koniec człowieka. Konsekwencje rewolucji biotechnologicznej*, tłum. B. Pietrzyk, Kraków 2004).

## Kogo będzie stać na drogie protezy robotyczne lub selektywne i długotrwałe terapie lekowe? Nierówności pod tym względem doprowadzą do powstania nowych hierarchii społecznych

Ruch transhumanistyczny dąży do całkowitego wyzwolenia osoby ludzkiej, lecz może łatwo przybrać oblicze nowego kolonializmu. Kto będzie decydował o wszystkich wyobrażanych sobie dzisiaj procesach? Kto może dokładnie przewidzieć ich konsekwencje? Jak możemy ochronić się przed dyktaturą technologiczną, dyktaturą elity, która będzie mogła pozwolić sobie na wszystko, pogłębiając przepaść między bardziej i mniej zamożnymi? Starożytne i nowsze społeczeństwa były i są podzielone na klasy według kryterium ekonomicznego, społecznego lub religijnego. Takie podziały można zlikwidować, o ile się tego pragnie. Jeśli jednak różnice będą miały charakter genetyczny, przepaść między „człowiekiem 2.0” a „zwykłym człowiekiem” będzie nie do pokonania.

Centralną kwestią, przynajmniej z antropologicznego punktu widzenia, jest jednak to, czy pełnia życia, której chcielibyśmy zaznać w wyniku postępu technologicznego, nie kryje się jednak gdzie indziej – w konstytucyjnej zależności i niewystarczalności, która otwiera nas na tajemnicę, na transcendencję, na spotkanie z drugim człowiekiem.

Ograniczenie nie zawsze jest złem, z którym należy walczyć. W wielu przypadkach jest wyznacznikiem wzbogacającej drogi, zwłaszcza gdy staje się świadomym wyborem, właściwym mądrej osobie. Jest to wspomniana w innym miejscu dialektyka między pragnieniem a ograniczeniem: pragnienie może być określone i spełnione tylko dzięki ograniczeniu.

Jak zauważył Goethe, to właśnie umiejętność stawiania sobie granic czyni człowieka wybitnym. Nawet terapeutę wiedzą, jak stymulująca dla klienta jest wiedza, że proces dobiega końca. Nierzadko to właśnie świadomość ograniczonego czasu pozwala człowiekowi wyrazić to, czego nigdy wcześniej nie miał odwagi lub możliwości powiedzieć. Jakość życia nie może być utożsamiana z ilością lub mocą.

Jest to pierwotny dylemat zaprezentowany w książce rodzaju (Rdz 2,3): uznanie ograniczeń stworzenia jest jedyną możliwością pełnego życia. Próba usunięcia ich za wszelką cenę, ponieważ w naszym mniemaniu stanowią przeszkodę dla samorealizacji, grozi skarlłowaceniem aspektów, których ludzkie życie tak bardzo potrzebuje. Znamienne jest, że w wykładzie wygłoszonym w Collège de France na temat relacji między zbawieniem a doskonałością Michel Foucault, teoretyk biopolityki i samorealizacji, często wspomniany przez omawiane nurty, zauważył, że chrześcijaństwo różni się w tej kwestii od wszystkich religii starożytności: „Myślę, że wielkim dziełem chrześcijaństwa i historycznym ewenementem – wyjaśniającym zresztą wiele cech rozwoju tej religii i fakt, że przetrwała do dnia dzisiejszego – jest oddzielenie zbawienia od doskonałości”.

Foucault określa chrześcijaństwo „religią niedoskonałych”. Brak koincydencji między

doskonałością a zbawieniem jest dla niego podstawą dwóch pozornie przeciwstawnych, ale w rzeczywistości bardzo bliskich sobie praktyk: pokuty i monastycyzmu. Pokuta oferuje możliwość zbawienia tym, którzy upadają; monastycyzm jest ścieżką doskonałości opartą nie na własnych zdolnościach, ale na sposobie życia możliwym dzięki ofierze Chrystusa. Innymi słowy, pełnia nie da się osiągnąć przez absolutną dominację – pełnia życia może być jedynie darem, który człowiek decyduje się przyjąć.

Omawiane koncepcje mają tę zaletę, że skłaniają do ponownej refleksji nad możliwym związkiem między promocją osoby, cielesnością, ograniczeniami i, bardziej ogólnie, metafizycznym znaczeniem istoty ludzkiej. Jak zauważa Jonas, jest to dylemat, „z którym etyka nigdy wcześniej nie była konfrontowana. Pytanie, czy i dlaczego ludzkość powinna istnieć, dlaczego należy szanować jej tożsamość genetyczną i dlaczego w ogóle życie powinno istnieć”.

Ponadto idea postczłowieka wymusza refleksję na temat szczęścia i sposobów na osiągnięcie pełni życia. Jeśli teraźniejszość nie ma już dla nas sensu, to rozwój będzie raczej próbą ucieczki do czasu i miejsca, które na zawsze pozostaną poza naszym zasięgiem. Zauważono, że u podstaw projektów trans- i posthumanistycznych leży powszechne poczucie niepokoju związane z teraźniejszością, z kruchością istnienia, a w praktyce z kondycją ludzką jako taką – zwolennicy tych ruchów starają się zastąpić ją wykładniczym rozwojem technologicznych wszczerpów.

Poza tym w ideach tych zawarta jest potrzeba istnienia siły rządzącej zdolnej do uchwalenia zasad, które regulowałyby nowe rozwiązania technologiczne i chroniłyby ludzkość przed dryfem w kierunku genetycznego Dzikiego Zachodu lub cyfrowej anarchii. Jest to najsłabsze ogniwo tych ruchów i nie bez powodu budzi obawy o przyszłość – nie ma bowiem odpowiednich instytucji politycznych, które miałyby zarządzać tymi wszystkimi zmianami.

Przepaść między szybkością, z jaką wdrażamy nowe wynalazki, a brakiem przemyślanej debaty etycznej i instytucjonalnej na temat ich możliwego wpływu jest ogromna i stale rośnie. Kto na przykład byłby odpowiedzialny w razie nagłego anulowania świadectw zdrowotnych dla milionów chorych ludzi? Taka sytuacja miała miejsce w USA dziesięć lat temu, a konsekwencje dla zdrowia wielu osób były katastrofalne. Przyczyna tego zdarzenia była dwojaka: po pierwsze, zawiniły błędne obliczenia oprogramowania szacującego budżet, po drugie – i najważniejsze – całkowicie zaufano maszynie, rezygnując ze sprawowania nad nią jakiegokolwiek kontroli. Po czterech latach batalii sądowych, po 4000 skarg i pozowie zbiorowym okazało się, że użyty program był bardzo niskiej jakości i pełen tak wielu niedokładności, że został oficjalnie uznany za nielegalny.

Im większa moc operacyjna nowych technologii, tym większa przepaść między ich zastosowaniem a trudnością przewidzenia ich konsekwencji. A w niektórych przypadkach mogą być one nieodwracalne. Nie chodzi tu o to, czy technologię należy zaakceptować, czy odrzucić – jest ona częścią naszego świata i naszej natury. Należy ją jednak uważnie monitorować, aby móc krytycznie ocenić zakres innowacji i przeciwstawić się rosnącemu rozdźwiękowi między nauką rozumianą jako modalność sznawca, a technologią rozumianą jako zwykła implementacja.

Jeśli nie zmienimy kierunku, obawy Jeffersona mogą stać się rzeczywistością sprzyjającą nowym i potężniejszym oligarchiom, które z pewnością nie będą działać na rzecz wspólnego dobra, co widać już dziś w działaniach obecnych gigantów IT.

# Walka z klimatem kradnie fundusze na rzecz rozwoju

Wyprowadzanie pieniędzy z funduszy na rzecz rozwoju i przekazywanie ich na wydatki klimatyczne to fatalna decyzja. Wydatki na główne cele rozwojowe przynoszą znacznie większe i szybsze korzyści w przeliczeniu na wydanego dolara niż finansowanie działań na rzecz klimatu

**Bjorn LOMBORG**

Prezes Konsensusu Kopenhaskiego, pracownik naukowy Instytutu Hoovera na Uniwersytecie Stanforda. Jego najnowsza książka „Best Things First” została uznana przez „The Economist” za jedną z najlepszych książek 2023 roku

## Wspólny Świat

Zbyt wielu polityków z bogatych regionów i działaczy na rzecz klimatu zapomina, że znaczna część świata wciąż boryka się z ubóstwem i głodem. Bogate kraje coraz częściej środki dawniej przeznaczane na wspieranie rozwoju przynoszą na inwestycje na rzecz klimatu. Bank Światowy, którego głównym celem jest pomaganie ludziom w wychodzeniu z ubóstwa, ogłosił, że przeniesie co najmniej 45 proc. swoich funduszy na walkę ze zmianami klimatycznymi – oznacza to, że przesunie do tego obszaru około 40 miliardów dolarów rocznie z puli przeznaczonej na zwalczanie ubóstwa i głodu.

Łatwo jest traktować klimat jako priorytet ludzkości, gdy żyje się wygodnie. W bogatych państwach mieszka 16 proc. światowej populacji – ci ludzie zazwyczaj nie głodują, a ich bliscy nie umierają z powodu łatwo uleczalnych chorób, takich jak malaria czy gruźlica. Większość z nich jest dobrze wykształcona, a ich średnie dochody są porównywalne z dochodami dawnych rodzin królewskich.

Jednak w większości świata nie jest tak kolorowo. W biedniejszych krajach każdego roku umiera pięć milionów dzieci poniżej piątego roku życia, a prawie miliard ludzi nie ma wystarczającej ilości pożywienia. Ponad dwa miliardy osób musi do gotowania i ogrzewania używać szkodliwych paliw, takich jak łajno i drewno, co skraca długość ich życia. Chociaż większość małych dzieci uczęszcza obecnie do szkoły, niska jakość edukacji oznacza, że przeważająca część dzieci w krajach o niskim i średnim dochodzie nie będzie w stanie sprawnie funkcjonować w nowoczesnym społeczeństwie z powodu analfabetyzmu funkcjonalnego.

Ubogie kraje desperacko potrzebują szerszego dostępu do dużej ilości taniej energii, co wcześniej umożliwiło rozwój krajom bogatym. Brak dostępu do energii hamuje industrializację i rozwój, a także ogranicza możliwości. W Afryce całkowita ilość energii elektrycznej dostępnej na osobę jest znacznie mniejsza niż średnie zużycie prądu jednej lodówki w bogatym świecie.

Wyprowadzanie pieniędzy z funduszy na rzecz rozwoju i przekazywanie ich na wydatki klimatyczne to fatalna decyzja. Zmiany klimatu są realne, ale dostępne dane nie dają podstaw ku temu, by przeciwdziałać tym zmianom kosztem walki z chorobami związanymi z ubóstwem.

Aktywiści klimatyczni twierdzą, że ubóstwo i zmiany klimatu są ze sobą nierozdzielnie związane, dlatego należy przeciwdziałać obu tym zjawiskom. Niestety, nie robimy tego. Tymczasem liczne badania pokazują, że wydatki na główne cele rozwojowe przynoszą znacznie większe i szybsze korzyści w przeliczeniu na wydanego dolara niż finansowanie działań na rzecz klimatu. Dzieje się tak dlatego, że rzeczywiste inwestycje w rozwój – czy to w walkę z malarią, poprawę zdrowia kobiet i dziewcząt, promowanie nauczania z wykorzystaniem sieci komputerowych i internetu, czy zwiększenie wydajności rolnictwa – mogą radykalnie zmienić życie na lepsze już teraz i poprawić sytuację biedniejszych krajów w różnych obszarach, w tym również odporności na klęski żywiołowe i wszelkie inne katastrofy związane z klimatem. Z drugiej strony nawet drastyczne redukcje emisji dwutlenku węgla nie przyniosłyby zauważalnych efektów w perspektywie jednego lub więcej pokoleń. Wydatki na adaptacje zwiększające odporność klimatyczną w krajach ubogich są nieco efektywniejsze niż redukcja emisji, jednak obie strategie są

znacznie mniej korzystne niż inwestowanie w skuteczne rozwiązania polityczne na rzecz rozwoju.

Zmiany klimatu to nie koniec świata. Co więcej, według prognoz panelu klimatycznego ONZ w ciągu najbliższego stulecia kondycja świata ulegnie znacznej poprawie, a zmiany klimatyczne – wbrew panicznemu kampaniom – tylko nieznacznie spowolnią ten postęp. W ubiegłym roku świat odnotował największą w historii produkcję zbóż. Wraz z rosnącymi dochodami i planami w nadchodzących dziesięcioleciach problem głodu drastycznie się zmniejszy. Przewiduje się, że zmiany klimatu spowolnią ten proces w niewielkim stopniu. Panel ONZ spodziewa się też, że do 2100 r. średni globalny dochód wzrośnie 3,5-krotnie, bez względu na zmiany klimatyczne. Jednak brak rozległych działań przeciwko tym zmianom nie wpłynęłoby istotnie na ten postęp – profesor William Nordhaus, jedyny ekonomista klimatyczny, który otrzymał Nagrodę Nobla, wskazuje, że bez takich działań dochody i tak wzrosłyby 3,34 razy do 2100 r.

Łatwo jest traktować klimat jako priorytet ludzkości, gdy żyje się wygodnie. W bogatych państwach mieszka 16 proc. światowej populacji – ci ludzie zazwyczaj nie głodują, a ich bliscy nie umierają z powodu łatwo uleczalnych chorób. Większość z nich jest dobrze wykształcona, a ich średnie dochody są porównywalne z dochodami dawnych rodzin królewskich

Powinniśmy mądrze podejść do kwestii zmian klimatycznych, co oznacza, że rządy bogatych krajów powinny podejmować jakże potrzebne, długoterminowe inwestycje w badania i rozwój w zakresie zielonej energii, które pozwolą opracować innowacyjne, tanie rozwiązania zapewniające niezawodną energię w przystępnej dla wszystkich cenie. Znaczna część biedniejszego świata chce przede wszystkim wyciągnąć ludzi z ubóstwa i poprawić jakość ich życia dzięki taniej i niezawodnej energii. Jednak obecnie bogate kraje odmawiają finansowania czegokolwiek związanego z paliwami kopalnymi. Trąci to hipokryzją, ponieważ same pozyskują prawie cztery piąte swojej energii z paliw kopalnych, głównie z powodu zawodności energii słonecznej i wiatrowej i problemów z jej magazynowaniem. Jednocześnie arogancko krytykują biedne kraje za dążenie do zwiększenia dostępu do energii i sugerują, że powinny one w jakiś sposób „przeskoczyć” do etapu nieciągłej energii słonecznej i wiatrowej. Powinny też zaakceptować zawodność tej technologii, czego bogate państwa nie chcą zrobić, ponieważ technologia ta nie spełnia ich własnych potrzeb.

Dla większości ludzi żyjących w biedniejszych krajach zmiany klimatyczne znajdują się na końcu listy priorytetów. Duży sondaż przeprowadzony w państwach o niskim i średnim dochodzie pokazuje, że edukacja, zatrudnienie, pokój i zdrowie znajdują się na szczycie ich celów rozwojowych, a klimat zajmuje 12. miejsce wśród wszystkich 16 kwestii objętych ankietą.

Biedniejsza część świata z pewnością zasługuje na szansę poprawy jakości życia. Dlatego gdy politycy proszą o więcej pieniędzy rzekomo na pomoc najbiedniejszym mieszkańcom globu, powinniśmy domagać się, aby zostały one wydane na efektywne projekty na rzecz rozwoju – a zatem działania, które faktycznie ratują i zmieniają życie – a nie na programy klimatyczne, które pozwalają rządzącym klepać się po ramieniu, ale poza tym nie przynoszą większych korzyści.

### Wcześniej na ten temat we „Wszystko co Najważniejsze” pisali:

- Prof. Rémi BRAGUE – *Czy trzeba bronić człowieka przeciw temu, co zagraża mu ze strony projektu nowoczesnego*
- Eryk MISTEWICZ – *Człowiek, człowiek plus i sztuczna inteligencja*
- Prof. Jacek KORONACKI – *Średniowiecze, Kartezjusz i sztuczna inteligencja*
- Prof. Luc FERRY – *Rewolucja transhumanistyczna*
- Prof. Łukasz TURSKI – *Spadanie w przepaść*
- Maciej ZIĘBA OP – *Czy zagraża nam sztuczna inteligencja?*



# Nasz chrześcijański naród

Od dziesięcioleci eksperci z zapalem przekonują, że jesteśmy krajem świeckim. Ale to nigdy nie była prawda. To Biblia była głównym źródłem naszych narodowych ideałów

Christopher Dawson był angielskim historykiem, który żył i wspaniał się w połowie ubiegłego wieku – T.S. Eliot nazwał go „najpotężniejszym wpływowym intelektualistą Anglii”. Dziś jest jednak często pomijany. Potomni zwykle odrzucają w niebyt ongiś cenionych intelektualistów i zazwyczaj wychodzi im to na dobre. Jednak w przypadku Dawsona wiąże się to z wielką stratą. Dlatego w tym trudnym momencie amerykańskiej historii warto o nim przypomnieć. Przez całe życie zajmował się badaniem religii i kultury, a jego życiowa teza brzmiała następująco: każda wielka kultura w historii ludzkości zależała od „wspólnego porządku moralnego i wspólnego ideału religijnego”.

Ideałem Ameryki od zawsze były religie oparte na Biblii, zwłaszcza chrześcijaństwo. Teraz to się oczywiście zmienia i wcale nie na lepsze. Lewica dąży do narzucenia społeczeństwu jałowego sekularyzmu, wskutek czego amerykańska kultura coraz częściej zapomina o tradycji religijnej, która ją stworzyła. A bez tej tradycji nie ma porządku moralnego, który mógłby nas połączyć.

Jakie są tego konsekwencje? Wystarczy rozejrzeć się dookoła. Polityka jest zgorzkniała, a wojny kulturowe zdają się nie mieć rozwiązania. Nie możemy się już zgodzić nawet co do definicji mężczyzny i kobiety. Coraz mniej Amerykanów decyduje się na małżeństwo lub wychowywanie dzieci i coraz mniej osób uważa to za warte ich cennego czasu. Ci zaś, którzy wchodzą w związki małżeńskie i zakładają rodziny, muszą się borykać z gospodarką, która delikatnie mówiąc, nie jest zbyt przyjazna dla ogniska domowego.

Istnieją jeszcze mroczniejsze trendy. Amerykańscy studenci, nieświadomi moralnych i duchowych podstaw swojego społeczeństwa, rozpowszechniają w mediach i na kampusach brutalną retorykę terrorystów. Papugują Osamę bin Ladena i Hamas, których zjadliwe diatriby mają co najmniej jedną wspólną cechę: gorącą nienawiść do Żydów i chrześcijan oraz ich wspólnego fundamentu biblijnego. Ponadto zatruwający odsetek amerykańskiej młodzieży leczy się z powodu zaburzeń psychicznych. Młodzi ludzie zmagają się z ciężarem nadużywania narkotyków i alkoholu; przedawkowanie narkotyków stanowi obecnie przyczynę ponad 100 000 zgonów w całym kraju każdego roku. Młodzi niebawem często popełniają też samobójstwa.

Komentatorzy, jeśli już dostrzegają problem – a wielu tego nie robi – obwiniają różne czynniki, od globalizacji po media społecznościowe. I choć z pewnością jest w tym sporo prawdy, to

czy nasza trudna sytuacja nie wynika jednak z czegoś bardziej fundamentalnego? Czy rzeczywistym winowajcą nie jest utrata „wspólnego ideału religijnego”, upadek chrześcijaństwa jako kulturowej i moralnej kotwicy Ameryki?

„Ameryka jako naród chrześcijański” to hasło uznawane dziś za heretyckie. Od dziesięcioleci eksperci z zapalem przekonują, że jesteśmy krajem świeckim. Ale to nigdy nie była prawda. Owszem, ojcowie założyciele czytali rzymskich historyków, a niektórzy inspirowali się filozofią oświecenia. Ale to Biblia była głównym źródłem naszych narodowych ideałów. Od czasów purytanów z Nowej Anglii po Wielkie Przebudzenie, które przygotowało grunt pod rewolucję, Pismo Święte kształtowało nasze wspólne życie. Amerykański ideał jednostki ma chrześcijańskie korzenie. Tak samo jak nasz konstytucjonalizm. Żarliwy duch chrześcijański umacniał wielkie tradycje naszych postępowych reform – ale również konserwatywny opór wobec ich ekscesów. Kultura chrześcijańska była wspólną płaszczyzną dla całej Ameryki nawet w czasach najbardziej zaciętych konfliktów.

Dziś musimy ją odzyskać. Dlaczego? Ponieważ Ameryka, jaką znamy, nie przetrwa bez biblijnego chrześcijaństwa. Prawa, które cenimy, wolności, którymi się cieszymy, oraz ideały, które wszyscy kochamy, są zakorzenione w tradycji biblijnej i przez nią podtrzymywane. Chrześcijaństwo jest energią, która zasila nasze narodowe życie. Jeśli zależy nam na przyszłości naszego kraju, musimy odnowić wpływ wiary biblijnej w Ameryce.

Nie trzeba być wierzącym, by dostrzec znaczenie chrześcijaństwa dla przyszłości Ameryki. W czasach globalnego kryzysu Franklin Roosevelt podkreślał biblijne dziedzictwo Ameryki. Po zniszczeniach II wojny światowej europejscy przywódcy przyjęli chrześcijańską demokrację, aby odbudować swoje kraje. Ale ożywienie chrześcijańskich wpływów w Ameryce nie będzie możliwe bez wiary chrześcijan gotowych wnieść Ewangelię do każdego obszaru naszej kultury i polityki. Nasze podejście do gospodarki, biznesu, pracy, życia rodzinnego i edukacji potrzebuje świeżego chrześcijańskiego spojrzenia i działania.

Niestety, dzisiejsi chrześcijanie wyszli z wprawy w przedstawianiu prawdziwie chrześcijańskiej polityki. Konserwatywny „fuzjonizm” z przeszłości – połączenie antykomunizmu, wolnorynkowej ekonomii i konserwatywnego społeczeństwa – nauczył zbyt wielu chrześcijan, że ich wiara odnosi się tylko do „kwestii kulturowych”, cokolwiek to znaczy. Tymczasem wszechobecna społeczna gangrena pokazuje, że norm społecznych i polityki gospodarczej nie da się łatwo oddzielić. Ewangelia dotyczy całego społeczeństwa i wszystkich aspektów życia.

Ostatnio niektórzy prawnicy zaczęli prezentować bardziej holistyczne chrześcijańskie podejście do obecnych wyzwań. Część z nich określa siebie „chrześcijańskimi nacjonalistami”, co zwykle jest atakowane przez lewicę. Debata ugrzęzła jednak w fałszywych początkach i złych pomysłach. Niektórzy chcą wpisać skład apostołski do konstytucji (jeden z takich złych pomysłów). Inni marzą o „protestanckim Franco” (kompletna katastrofa). Jeszcze inni sugerują separatyzm etniczno-rasowy (absolutnie nie). Obawiam się, że wśród tego zamieszania stracimy z oczu główne spostrzeżenia Dawsona: że każdy naród zależy od wspólnego porządku moralnego, że nasz jest chrześcijański i że chcąc przywrócić wynikający z tego porządek, musimy dążyć do tego, by dzisiejsze społeczeństwo zaczęło na nowo odzwierciedlać zasady Ewangelii.

W tym zadaniu nie ma nic „sekularskiego”. Żaden naród nie jest bowiem prawdziwie świecki. Twierdzenie, że może takim być, stanowiło ostoję liberalnej inteligencji przez prawie sto lat. Obecnie powtarzają je nawet niektórzy konserwatyści. Sekularyści utrzymują, że rząd musi być neutralny wobec konkurujących ze sobą koncepcji szczęśliwego życia. Jesteśmy wciąż przekonani, że ta neutralność jest jedynym sposobem na utrzymanie pluralistycznego narodu i poszanowanie osobistych wyborów obywateli. Zgodnie

z tą ideą prawo jednostki do wyboru własnych celów moralnych musi mieć pierwszeństwo przed koncepcją tego, które cele są dobre i prawdziwe. Isaiah Berlin alarmował wręcz, że społeczeństwo zorganizowane wokół wspólnego ideału moralnego jest zasadniczo autorytarne.

W rzeczywistości wszystkie społeczeństwa są zorganizowane wokół wizji moralnej. To właśnie czyni je społeczeństwami. Arystoteles pojął to już dwa i pół tysiąca lat temu. „Celem państwa” – powiedział – „jest zatem szczęśliwe życie, a reszta to środki do tego celu wiodące”. Oraz: „Widoczne więc z tego, że państwo, które naprawdę zasługuje na tę nazwę, a nie jest nim tylko z imienia, musi się troszczyć o cnotę” (Arystoteles, *Polityka*, tłum. L. Piotrowicz). Wbrew pozorom nie jest to wcale skomplikowane. Społeczeństwo jest tworzone przez więzi lojalności, przywiązania i miłości, karmione wspólną ideą tego, co dobre, tj. wizją moralną. Innymi słowy, społeczeństwo jest projektem wspólnego znaczenia.

Dla odmiany obecna teoria liberalna inwestuje w społeczeństwo z sercem i urokiem międzynarodowej korporacji biznesowej. Nie ma w niej miejsca na uczucia, nie mówiąc już o celach moralnych. Przedstawia naród jako sojusz odizolowanych jednostek dążących do finansowych zysków. Ale to nie jest społeczeństwo, lecz korporacyjny konglomerat. Znów przytoczę Arystotelesa: „Ułatwienie wymiany towarów” jest celem „sojuszu”, a nie państwa. Edmund Burke zauważył to samo wieki później: „Państwo nie wolno uważać za nieróżniące się niczym od spółki do handlu pieprzem i kawą, perkalem lub tytoniem czy innym mało znaczącym towarem (...). To współdziałanie we wszelkiej nauce, we wszelkiej sztuce, w każdej cnotie i wszelkiej doskonałości” (E. Burke, *Rozważania o rewolucji we Francji*, tłum. Dorota Lachowska). Krótko mówiąc, życie narodu jest przedsięwzięciem moralnym.

Nie chodzi mi o to, że społeczeństwo lub naród powinny być tak ukonstytuowane. Chodzi mi o to, że tak jest. Zawsze. Przez dziesięciolecia liberałowie ignorowali tę rzeczywistość, żyjąc z odziedziczonej kultury chrześcijańskiej i jednocześnie nią gardząc. Jednak idea „republiki proceduralnej”, która zapewnia jednostkom prawo robienia tego, co chcą, bez odniesienia do jakiegokolwiek wspólnego celu lub znaczenia, jest mirażem. Posiadane przez nas prawa i ich znaczenie są w nieunikniony sposób związane z osadami moralnymi.

Konserwatyści mają swoją własną wersję świeckiego mitu, która zwykle wiąże się z odwołaniami do rynku lub Jamesa Madisona albo obu naraz. Niektórzy konserwatyści – a konkretnie neoliberalowie – twierdzą, że wolnorynkowa wymiana dostarcza wszystkich wspólnych znaczeń, których nam potrzeba. Przekonują, że możemy zjednoczyć się w sprawie zarabiania pieniędzy. Ale do tego nie potrzeba społeczeństwa. Wystarczy korporacje i strefy handlowe. Inni konserwatyści szukają ratunku w konstytucji, tak jakby dokument ten był *perpetuum mobile*, które może działać samodzielnie, niwelując potrzebę wspólnych uczuć czy moralnego celu. Nastaw frakcje przeciwko frakcjom, a republika będzie trwać wiecznie! Madison nigdy jednak czegoś takiego nie powiedział. Zakładał, że istnieją wspólna kultura, język i poglądy moralne – co, jeśli spojrzeć na współczesne standardy, było zaiste solidnym fundamentem. Prawda jest taka, że żadna konstytucja, nawet świetnie opracowana, nie może zjednoczyć ludzi, którzy nie mają wspólnej koncepcji dobra. Żaden system kontroli i równowagi nie zastąpi wspólnej wizji moralnej.

A jednak to być może chrześcijanie najbardziej potrzebują przypomnienia o duchowych fundamentach społeczeństwa. Przez długi czas dzieliliśmy świat na „święty” i „świecki”, Miasto Boga i Miasto Człowieka, w którym społeczeństwo i rządy uznawane są za zło konieczne. Ta mentalność daje chrześcijanom wymówkę, by nic nie robić. Tymczasem naszym obowiązkiem wobec bliźnich i Boga jest pracować na rzecz sprawiedliwego społeczeństwa przesiąkniętego Ewangelią. Ten obowiązek nigdy nie był bardziej nagły.

Posunę się jeszcze dalej. Nie tylko narody w ogóle zależą od wspólnego porządku moralnego, ale porządek moralny naszego narodu był wyraźnie biblijny i chrześcijański. Słowa Christophera Dawsona o Europie, który stwierdził, że w jej przeszłości „nie ma niczego, co

nie byłoby ukształtowane lub uwarunkowane przez wpływy chrześcijańskie”, można z równą mocą odnieść do Stanów Zjednoczonych. Przesłanie to powinno zostać usłyszane zarówno przez lewicę, jak i prawicę. Przez (ateistyczną) lewicę z oczywistych powodów: odrzuca ona wpływy chrześcijańskie jako opresyjne i usuwa je z naszej historii, gdzie to tylko możliwe. Ale również przez prawicę: czytając opinie tych, którzy nazywają siebie chrześcijańskimi nacjonalistami, można czasem odnieść wrażenie, że uważają amerykański projekt konstytucyjny i nasze wieloletnie przywiązanie do wolności osobistej za niewłaściwe. Ich zdaniem te zjawiska są obcym chrześcijaństwu wytworem oświeceniowego liberalizmu. Pogląd ten jest jednak z gruntu błędny. Idee jednostki, wolności osobistej i rządu konstytucyjnego nie są odstępstwem od kultury chrześcijańskiej, ale jej konsekwencją. Dlatego chrześcijanie powinni bronić tych filarów amerykańskiego eksperymentu, coraz częściej atakowanych przez lewicę.

**Lewica dąży do narzucenia społeczeństwu jałowego sekularyzmu, wskutek czego amerykańska kultura coraz częściej zapomina o tradycji religijnej, która ją stworzyła. A bez tej tradycji nie ma porządku moralnego, który mógłby nas połączyć**

Obserwatorzy co najmniej od czasów Tocqueville'a uznawali indywidualizm za kwintesencję Ameryki. Świat starożytny nie znał czegoś podobnego. Jak szczegółowo wyjaśnił francuski historyk Fustel de Coulanges, starożytni priorytetowo traktowali porządek i stagnację. Każde miasto zbudowane było wokół określonych warstw społecznych, które podlegały ścisłej hierarchii. Niektórzy ludzie urodzili się po to, by rządzić, inni po to, by być rządzonymi. Ówczesni wierzyli, że jest to wieczny i niezmienny porządek natury. Pozycja jednostki była nieznacząca. Los, rozum, natura, czy jakkolwiek byśmy nazwali, kształtowały, jak rzekł Seneka, „największe i najmniejsze wydarzenia” i kierowały „losami narodów”.

Chrześcijaństwo wprowadziło nową i przełomową doktrynę: Bóg wezwania skierowane do jednostki. Chrześcijaństwo nauczało, że Bóg w osobie Jezusa Chrystusa umarł za każdego grzesznika z osobna. Bóg wzywa każdego z nas indywidualnie, a ci, którzy wierzą i pokutują, zyskują zdolność do osiągnięcia Jego celów w doczesnym świecie (i w wieczności). Krótko mówiąc, poprzez wiarę w Chrystusa jednostki stają się sprawcami historii. Nie możemy lekceważyć znaczenia tej zmiany. Klasa, plemię, a nawet naród straciły na znaczeniu w porównaniu z Bożym wezwaniem. Narodziła się idea jednostki. Zachód spędził stulecia na opracowywaniu implikacji tego faktu, a Amerykanie z czasem zbudowali wokół niego cały porządek społeczny.

Równie droga jest Amerykanom wolność osobista, koncepcja z ideą jednostki blisko spokrewniona. Ona również ma niezaprzeczalnie chrześcijański wydźwięk. Tak jak nieznana była starożytnym koncepcja jednostki, tak nie istniało pojęcie wolności osobistej, przynajmniej w rozpoznawalnej dzisiaj formie. Rzymianie cenili prawa własności niektórych osób; cenili też, podobnie jak Grecy, przywilej udziału obywateli w rządzeniu miastem. Ale *wolność jednostki*, której towarzyszą prawa osobiste, nadeszła dopiero wraz z ogłoszeniem przez Nowy Testament wolności w Chrystusie. „Ku wolności wyswobodził nas Chrystus” – ogłosił apostoł Paweł (Ga 5,1). To głęboko osobista wolność całkowicie nowego rodzaju.

Wolność, którą Chrystus kupił nam przez swą ofiarę, jest prawdziwie wewnętrzna, przenika do głębi istoty jednostki. Wyzwolenie dokonane przez Chrystusa odzwierciedla samo „ja” jednostki – „Jeżeli więc ktoś pozostaje w Chrystusie, jest nowym stworzeniem” (2 Kor 5,17). Ta wolność jest jednocześnie *osobista* – należy bezpośrednio i wyjątkowo do jednostki – oraz *niezbywalna*. Żaden pan, żaden sędzia ani żaden rząd nie może jej nam odebrać. Piotr i jego towarzysze sprzeciwili się władzom Jerozolimy, które chciały powstrzymać ich od głoszenia





słowa Bożego, mówiąc: „Trzeba bardziej słuchać Boga niż ludzi” (Dz 5,29). Świat nigdy wcześniej nie słyszał o takiej wolności.

**Ta osobista, indywidualna wolność pociągana za sobą pojęcie praw osobistych.** Chrześcijańska wolność nie jest jedynie wolnością od grzechu, moralnego upadku i śmierci. Jest to wolność pozytywna, z której korzystamy, służąc Bogu i odpowiadając na Jego wezwania. Żaden rząd nie może zaprzeczyć temu, co nakazał Bóg. Na przykład Dziesięć Przykazań nie tylko definiuje obowiązki moralne, ale również wskazuje na prawa jednostki. Przykazania określają *zobowiązania* jednostek, te zaś pociągają za sobą *swobody* polityczne, którymi jednostki muszą być obdarzone, aby móc te zobowiązania wypełniać. Z czasem chrześcijańscy teoretycy zaczęli dostrzegać, że Boże nakazy wymagają prawa do oddawania czci Bogu, zawierania małżeństw, wykonywania uczciwego zawodu i życia w sposób ogólnie miły Panu.

Co więcej, chrześcijaństwo nauczało, że prawa te należą się nawet zwykłym ludziom. Grecy wychwalali wolność, ale tylko dla „roztropnych”; Rzymianie wychwalali samostanowienie, ale tylko dla nielicznych. Chrystus natomiast umarł za wszystkich. W Nim „nie ma już Żyda ani poganina, nie ma już niewolnika ani człowieka wolnego, nie ma już mężczyzny ani kobiety” (Ga 3,28). Wszyscy są powołani przez Boga, niezależnie od statusu. Skoro tak jest, to dlaczego praca zwykłego robotnika miałaby być pogardzana? Dlaczego sfera domowa miałaby być traktowana z lekceważeniem? Charles Taylor mówił o „afirmacji zwykłego życia” przez chrześcijaństwo, lecz wyrażenie to bagatelizuje wybuchowe implikacje Bożego wezwania powołania jednostki. Siedemnastowieczni purytańscy radykałowie doskonale rozumieli tego konsekwencje. „Najbiedniejszy człowiek w Anglii winien wieść takie samo życie jak najbogatszy” – powiedział jeden z nich podczas słynnej debaty w Putney w 1647 roku. Prawo zwykłego człowieka do przyzwoitego wynagrodzenia, pracy w uczciwych warunkach, poprawy pozycji swojej i swojej rodziny, wpływu na własny rząd – te ideały, tak istotne dla amerykańskiego stylu życia, mają swoje źródło w Ewangeliach.

**Kolejnym chrześcijańskim wkładem w tożsamość naszego narodu jest konstytucjonalizm.** John Winthrop powiedział kolonistom płynącym wraz z nim do Nowego Świata na pokładzie Arabelli, że zawierają przymierze z Bogiem i będą „miastem na wzgórze”, światłem dla całego świata, społecznością oddaną Bożemu prawu. Idea przymierza była dla Winthropa zupełnie naturalna. Chrześcijaństwo od wieków czytało o nim w Piśmie Świętym. Bóg zawarł przymierze z Noem, potem z Abrahamem, a następnie z Mojżeszem i Dawidem. Bóg Biblii był Bogiem zawierającym przymierza. Od XVI wieku chrześcijańscy teoretycy starali się wyjaśnić Boże zamysły wobec rządów w kategoriach przymierza.

Bóg dał władcom mandat na wydawanie rozkazów i stosowanie przymusu, ale tylko o tyle, o ile służy do ochrony wolności ludu. Poinstruował też lud, by był posłuszny „władzom sprawującym rządy” (Rz 13,1), ale tylko w takim zakresie, w jakim władcy szanują prawa ludu. Winthrop wierzył w przymierze zawarte z Bogiem – tylko pobożny naród mógł zyskać Bożą przychylność i prosperować pod Jego kierownictwem. Co istotne, przymierze polityczne było również porozumieniem między rządzącymi a rządzonymi. Gdyby władze złamały warunki powierzenia im władzy przez Boga i wystąpiły przeciw prawom ludzi, wówczas ludzie mieliby prawo się bronić, a nawet zbuntować.

Przymierze od konstytucji dzieli niewielki krok. Ta powtórka z ewolucji wczesnonowoczesnej myśli politycznej może przywołać do myśli Johna Locke’a – i słusznie. Locke nauczył się teorii przymierza od francuskich kalwinistów i przekształcił ją (w niektórych aspektach dyskusyjnie) na własny użytek. Tak więc, czy to za sprawą purytańskich osadników, czy kalwińskiego Locke’a, przymierze od dawna znajduje się w amerykańskim krwiobiegu. Amerykańscy reformatorzy, począwszy od Abrahama

Lincolna, a na Martinie Lutherze Kingu Jr. skończywszy, odwoływali się do tej tradycji, argumentując, że ludzkie konstytucje i prawa są uzasadnione tylko wtedy, gdy są zgodne z prawem boskim, a zatem tylko wtedy, gdy są sprawiedliwe. Ten wysoki standard jest dziedzictwem chrześcijaństwa.

**Podjąłem tu zaledwie próbę nakreślenia wpływu Biblii na najtrwalsze ideały Ameryki.** Inni prześlędzili go znacznie bardziej szczegółowo. Książka Larry’ego Siedentopa *Inventing the Individual: The Origins of Western Liberalism* prezentuje chrześcijańskie korzenie zachodnich praw. W *The Hebrew Republic: Jewish Sources and the Transformation of European Political Thought* Eric Nelson wskazuje na biblijne podłoże naszych instytucji politycznych. Odkrywanie tej historii ma ogromną wartość, ponieważ pokazuje ona, jakim społeczeństwem naprawdę była Ameryka. Nigdy nie mieliśmy narodowego establishmentu. Wyznania chrześcijańskie nigdy nie zostały zapisane w naszym prawie. Ale ideały narodu, instytucje społeczne i zwyczaje zostały ukształtowane przez chrześcijaństwo. Jest to dobra wiadomość, być może zwłaszcza dla Amerykanów, którzy nie są chrześcijanami. To właśnie ze względu na wpływ chrześcijańskie społeczeństwo amerykańskie chroniło prawo *każdego* człowieka do wolnej wypowiedzi, oddawania czci, gromadzenia się, składania petycji i udziału w samostanowieniu.

**Ale dziś wszystko to się zmienia.** Ateistyczna lewica rozpoczęła program transformacji społecznej, starając się zastąpić nasze biblijne dziedzictwo religią sekularyzmu i państwa doprawioną więcej niż odrobiną społecznego marksizmu. Jej projekt jest jeszcze daleki od ukończenia, ale jego katastrofalne konsekwencje są widoczne już dziś.

Indywidualizm stał się w rękach lewicy „osobistą autonomią”, prawem do robienia tego, co się komu podoba, nadawania własnego znaczenia i definiowania własnych zaimków – oczywiście pod warunkiem, że wiernie przestrzega się nowych i obowiązkowych nakazów moralnych przez ten nurt narzucających. Każdy przyzwoity człowiek powinien być protrans i proaborcyjny, sprzeciwiać się rzekomo opresyjnej rodzinie nuklearnej i wyrzekać się zła zorganizowanej religii, zwłaszcza pochodzącej z Biblii. Jednak w „autonomii” według definicji lewicy chodzi nie tyle o wolność, ile o folgowanie własnym zachciankom. To nie przypadek. W miarę jak stajemy się coraz bardziej rozproszeni i skupieni na sobie, liberalna klasa rządząca przejmując coraz większą kontrolę nad naszym krajem.

Dzisiejsza lewica kwestionuje również ustrój konstytucyjny. Lewicowcy popierają cenzurę, pouczając, że nie ma pierwszej poprawki do prawa do „dezinformacji”. Odrzucają wolność religijną, która ich zdaniem jest wyłącznie tarczą dla dyskryminacji. Wykorzystują władzę państwa przeciwko tym, którzy rzucają im wyzwanie – wystarczy spojrzeć na rodziców uznanych za „terrorystów” z powodu wyrażenia swego zdania na posiedzeniu rady szkoły. Celebrują też skoncentrowaną władzę, czy to w rękach biurokratów, takich jak dr Fauci, czy megakorporacji, które wykonują ich polecenia.

**Lewica szuka zbawienia w aktywizmie politycznym.** Żąda pokuty za „opresyjną” tradycję, nie za osobiste grzechy. Głosi ewangelię interseksjonalności, wiktyimizacji jako środka do władzy. Wszystko to jest bezsensowne i stanowi kiepską imitację religii biblijnej. Co jednak nie czyni tego zjawiska nieszkodliwym. Wystarczy spojrzeć na wyszkolonych w tej filozofii studentów, którzy w ostatnich miesiącach wyzywali Żydów i Izraelczyków od kolonizatorów i ciemiężców, jednocześnie powtarzając diatribę Osamy bin Ladena przeciwko Ameryce, Wielkiemu Szatanowi. Postępowy sekularyzm lewicy jest religią moralnej zgnilizny.

Co więc powinniśmy zrobić? Na pewno nie należy wprowadzać religijnego establishmentu. Ci chrześcijanie, którzy twierdzą, że Ameryka potrzebuje Franco lub, z innej strony, że Credo powinno zostać wpisane do Konstytucji, nie tylko źle zrozumieli naszą historię, ale

i stwarzają zagrożenie. Chrześcijańska kultura Ameryki nigdy nie zależała od silnych mężów, ustanowionych Kościołów czy prawnie określonych deklaracji wiary. Nie zależała też od homogeniczności rasowej, za którą zdają się opowiadać niektórzy nazywający siebie chrześcijańskimi nacjonalistami. Nie! Ewangelia Jezusa Chrystusa niszczy każdą formę rasizmu. Kościół Chrystusa nigdy nie opierał się na rasie, podobnie jak Ameryka.

Co zatem? Musimy ponownie schryścianizować najważniejsze instytucje naszego społeczeństwa poprzez podkreślenie znaczenia Ewangelii dla każdego aspektu życia. Pod koniec XIX wieku ówczesne pokolenie chrześcijan, katolików i protestantów próbowało tego dokonać. Niektórzy nazwali ten projekt „chrześcijańską demokracją”. W skrócie – uznawał on marksizm za przekleństwo i zakładał bezwzględne odrzucenie socjalizmu. Jednak konsumpcyjny leseferyzm nie był właściwą alternatywą. Musimy w końcu przyznać, że naród jest tym, czym zawsze był: moralnym partnerstwem. Aby przetrwać, chrześcijanie muszą kształtować współczesną rzeczywistość zgodnie z Ewangelią. To właściwa droga.

**Musimy przeanalizować całą strukturę naszego niszczonego porządku społecznego z perspektywy Ewangelii i określić, co należy zmienić, aby ten porządek uzdrowić. Kiedy to zrobimy, okaże się, że nie można rozdzielić kwestii społecznych i ekonomicznych. Chrześcijańskie społeczeństwo wymaga chrześcijańskiej ekonomii**

**Pierwszym krokiem na tej drodze powinno być zdemontowanie prawnego reżimu sekularyzmu, który lewica próbuje narzucić od dziesięcioleci.** Uczniowie powinni mieć możliwość modlenia się w szkołach publicznych. Ludzie wierzący powinni mieć swobodę modlitwy, dawania świadectwa i noszenia symboli swojego religijnego oddania w miejscu pracy. Chrześcijańscy biznesmeni powinni mieć prawo włączania swojej wiary do własnych przedsięwzięć, w tym poprzez odmowę finansowania leków abortyjnych lub uczestniczenia w planowaniu i celebrowaniu ceremonii, które naruszają ich przekonania, takich jak śluby osób tej samej płci. W szerszym ujęciu chrześcijanie muszą wytrwale bronić zasadniczej roli chrześcijaństwa w naszych dziejach. Musimy o tym mówić, pokazywać to i tego nauczać – musimy walczyć o uhonorowanie chrześcijańskiego dziedzictwa w miejscach publicznych. Prawa i symbole publiczne są edukatorami, bez względu na to, czy są za takie uznawane, czy nie. Z tego powodu należy umieszczać Dziesięć Przykazań w salach sądowych, sądach i ratuszach, tak jak umieszczono wizerunek Mojżesza trzymającego Dekalog w marmurze Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych.

**Jednak nie wystarczy tylko sprzeciwiać się prawnemu sekularyzmowi.** Potrzebujemy chrześcijańskiej polityki, która zajmie się naszymi najpilniejszymi problemami społecznymi w sposób jednoznacznie chrześcijański. I nie mam tu na myśli wyświechtanych przemów o „wartościach rodzinnych”, które politycy, najczęściej republikanie, uroczą serwują nam co dwa lub cztery lata. Nie, prawdziwie chrześcijańska polityka musi myśleć architektonicznie. Musimy przeanalizować całą strukturę naszego niszczonego porządku społecznego z perspektywy Ewangelii i określić, co należy zmienić, aby ten porządek uzdrowić. Kiedy to zrobimy, okaże się, że nie można rozdzielić kwestii społecznych i ekonomicznych. Chrześcijańskie społeczeństwo wymaga chrześcijańskiej ekonomii.

Weźmy na przykład rodzinę. Dom z dwojgiem rodziców jest fundamentem każdego dobrze prosperującego społeczeństwa. Bliski upadek tego modelu w Ameryce jest naszą narodową katastrofą. W tym kraju więcej dzieci dorasta z jednym rodzicem niż gdziekolwiek indziej na świecie. Dlaczego? Po pierwsze, amerykańscy mężczyźni rzadziej się żenią, a jeśli już, to później. Głównie dlatego, że wielu z nich nie może znaleźć przyzwoitej, stabilnej i dobrze płatnej pracy, a mężczyzna bez odpowiedniej pracy nie jest „dobrym kandydatem na męża”, jak mawiają socjologowie. Po drugie, pary, które się pobierają, mają mniej dzieci, ponieważ wiele z nich uważa, że nie stać ich na większe rodziny. Ponadto oboje rodzice muszą pracować w pełnym wymiarze godzin, aby zapewnić swojej rodzinie życie na poziomie klasy średniej.

Niektórzy twierdzą, że istnieje mnóstwo miejsc pracy oferujących świetne zarobki. Być może, ale odnosi się to przede wszystkim do absolwentów prestiżowych uniwersytetów. Chciałbym przypomnieć tym osobom, że dwie trzecie amerykańskich mężczyzn nie ukończyło nawet czteroletniego college’u. A w ciągu ostatniego półwiecza realne wynagrodzenie pracowników fizycznych w ogóle nie wzrosło. Jeśli chcemy ratować instytucje małżeństwa i rodziny, stagnacja płac klasy robotniczej musi się zakończyć.

Powtórzę: chrześcijańskie społeczeństwo wymaga chrześcijańskiej gospodarki. Dlaczego mielibyśmy wzbraniać się przed podkreśleniem tej oczywistej prawdy? I dlaczego mielibyśmy unikać twierdzenia, że chrześcijańska ekonomia to taka, która pozwala mężczyźnie utrzymać siebie, żonę i dzieci dzięki pracy własnych rąk, niezależnie od rządu czy organizacji charytatywnych? Chrześcijańska gospodarka umożliwia rodzicom – wszystkim, nie tylko tym najbardziej utalentowanym i dobrze usytuowanym – posiadanie i wychowywanie dzieci bez potrzeby korzystania z państwowych systemów opieki dziennej zaprojektowanych w celu wprzęgnięcia obojga rodziców w służbę globalnym korporacjom, które domagają się każdej sekundy ich energii, często w zamian za marne wynagrodzenie.

**Dzisiejszy system jest całkowitym przeciwieństwem chrześcijańskiej gospodarki.** W systemie tym fundusze hedgingowe i globalny kapitał liczą się bardziej od pracowników; bezdzietny bankier z Manhattanu liczy się bardziej od spawacza i jego rodziny z Missourii. Smutna prawda jest niestety taka, że od dziesięcioleci obie amerykańskie partie mają w dużej mierze ten sam program: swobodny przepływ globalnego kapitału, nieograniczony import tanich zagranicznych towarów, ulgi podatkowe dla korporacji odbierających Amerykanom miejsca pracy poprzez lokowanie produkcji poza krajem oraz swobodny dostęp do taniej siły roboczej. Polityka ta tworzy ogromny system preferencji dla niewielkiej grupy branż – głównie Wall Street, Hollywood i Doliny Krzemowej – oraz jednej, najwyższej klasy społecznej. To nie jest w porządku. To nie jest *sprawiedliwe*. A chrześcijanie, którzy cenią małżeństwo, rodzinę i pracę, nie powinni się na to godzić.

**To właśnie mam na myśli, mówiąc o myśleniu architektonicznym.** A to dopiero początek, ledwie mały kroczek na drodze ku lepszemu. Musimy bowiem zrobić znacznie więcej – odbudować amerykański przemysł, który zapewni dobre pensje, opracować politykę podatkową promującą małżeństwo i wychowywanie dzieci, powstrzymać proceder okradania amerykańskich rodzin przez przemysł farmaceutyczny i odebrać wielkim firmom technologicznym kontrolę nad dyskursem publicznym. Mógłbym wymieniać dalej, zamiast tego jednak po raz ostatni przedstawie swój punkt widzenia. Ameryka była narodem chrześcijańskim. Możemy się nim stać ponownie, jeśli chrześcijanie na nowo uświadomią sobie, że Ewangelia Jezusa Chrystusa odnosi się do każdego aspektu naszego wspólnego życia. Musimy to zrobić dla dobra przyszłości naszego narodu i honoru Ewangelii.

reklama



**INFORMACJE  
ZAMIENIAMY  
W WIEDZĘ**

raz w tygodniu,  
w sobotni poranek,  
wybór najlepszych tekstów  
publikowanych w tygodniu

ZAPISY: [WWW.WSZYSTKOCONAJWAZNIEJSZE.PL/NEWSLETTER](http://WWW.WSZYSTKOCONAJWAZNIEJSZE.PL/NEWSLETTER)





Prof. Jerzy MIZIOŁEK

Historyk sztuki, wybitny znawca włoskiego renesansu. Były dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie. Opublikował ostatnio książkę z tekstami prof. Karoliny Lanckorońskiej pt. „Freski Sykstyńskie i inne arcydzieła Michała Anioła”

### Piękno Sztuki

Utworzony w 1991 r. na Uniwersytecie Warszawskim Ośrodek Badań nad Tradycją Antyczną (OBTA) już rok później zorganizował pamiętną konferencję naukową pt. *Tradycje antyczne w kulturze europejskiej. Perspektywa polska*. Wśród jej głównych mówców, obok Jerzego Axera, twórcy OBTA, znaleźli się Jerzy Łanowski, wybitny filolog klasyczny, i Lech Kalinowski, wybitny historyk sztuki. W 1995 r. ukazała się publikacja pod tym samym co konferencja tytułem; zawiera niezwykle cenne idee i pomysły, w większości do dziś nie wykorzystane, zwłaszcza w odniesieniu do sztuk plastycznych i architektury.

W swoim *Wprowadzeniu* prof. Łanowski pisze o stosunkowo niewielkiej liczbie nazwisk Polaków w słynnej syntezie pióra Gilberta Higheta *The Classical Tradition. Greek and Roman Influences on Western Literature* (1949). Znaleźli się wśród nich Mikołaj Kopernik, Jan Kochanowski, Stanisław Warszawicki, Zygmunt Krasiński, Henryk Sienkiewicz, Tadeusz Zieliński i kilku jeszcze pisarzy i autorów przekładów z języków klasycznych. W dwóch passusach tekstu Łanowskiego czytamy: „Tyle z Higheta, dla nas to na pewno za mało, zwłaszcza gdy pomyślimy o światowych odbiorcach tej wielkiej książki, która przecież dla np. anglojęzycznego czytelnika może być jedyne dostępne – co ważne – pociągającą syntezą spadku antycznej tradycji literackiej. My na użytek wewnętrzny, a chyba i na zewnątrz moglibyśmy do każdego niemal rozdziału dodać aneks, żeby tak rzec, filologiczno-polonistyczny, bodaj na początek bibliograficzny, przypomnieć wielkie polskie nazwiska, od humanistów, poprzez romantyków, do imion naszego czasu i ostatniego naszego poety noblisty [Czesława Miłosa], moglibyśmy też upomnieć się o osiągnięcia, których nie można określić tylko jako zjawisk ze skraju głównego nurtu tradycji. Ale przede wszystkim winniśmy sobie i światu właśnie syntezę z „perspektywy polskiej” – dzieje tradycji klasycznej u nas, szeroko i głęboko już przebadanej, dalej pilnie tropionej i odnotowywanej. Syntezy »milenialnej« jednak dotąd nie mamy”. Takiego syntetycznego opracowania, pomimo że w 2022 roku minęło 30 lat od konferencji zorganizowanej przez OBTA (ośrodek już nieistniejący), nie posiadamy do dziś.

### Ścieżki recepcji antyku w Polsce

A jaki był w połowie lat 90. ubiegłego wieku obraz badań nad recepcją antyku w sztuce polskiej? Odpowiedź na to pytanie zawarta została w referacie *Antyk w dziejach sztuki polskiej*, będącym pierwszym syntetycznym opracowaniem tego arcyważnego tematu. Omówiona została siła oddziaływania antyku, najpierw

reklama

**Sprawdź nowy tygodnik opinii**

**GNN** gazeta na niedziele

BEZPŁATNA SUBSKRYPCJA  
[www.GazetaNaNiedziele.pl](http://www.GazetaNaNiedziele.pl)

Każdej niedzieli w Państwa domach!

# Oblicza tradycji antyku w sztuce polskiej

Dziedzictwo kultury grecko-rzymskiej stanowi o sile i unikatowości Europy; jego oddziaływanie dostrzegamy również w Polsce od zarania istnienia państwa; jest istotnym elementem jego tożsamości

„zapożyczanego” w epokach średniowiecza, renesansu i baroku, a następnie narodziny rodzimej tradycji klasycznej w dobie oświecenia; tradycji budowanej konsekwentnie na materialnym dziedzictwie antyku, m.in. na podstawie odlewów gipsowych rzeźb antycznych i importach z obszarów śródziemnomorskich. By syntezie nadać znamiona kompletności, przywołane zostały nazwiska dwóch wielkich twórców dzieł *all'antica* z drugiej połowy XIX w. – Henryka Siemiradzkiego i Stanisława Wyspiańskiego. Zawarte zostało odniesienie do motywów antycznych w kaplicy Zygmunta w przemyślany sposób cytowana jest syntetyczna, encyklopedyczna w charakterze wypowiedź Jana Białostockiego o dziedzictwie antyku w sztuce polskiej drugiej połowy XVIII w. Dzięki temu obok dokonań króla Stanisława Augusta, jako mecenas sztuki i promotora stylu *all'antica*, przywołana została rola w rozprzestrzenieniu tego stylu Stanisława Kostki Potockiego i Augusta F. Moszyńskiego oraz Franciszka Smuglewicza, dokumentalisty malowideł etruskich w Tarquinii (Corneto) i dekoracji malarskiej Domus Aurea w Rzymie.

Tak oto dokonana została klarowna, szeroko zakrojona prezentacja śródziemnomorskich źródeł rodzimej kultury artystycznej, a ponadto wobec niedostatków w stanie badań oraz ze względu na słabą znajomość recepcji antyku w szerszym odbiorze społecznym zaproponowane zostało podjęcie konkretnych działań badawczych i edytorskich. Został sformułowany postulat opracowania „atlasu” antyku w dziejach sztuki polskiej, podobnego do *Mnemosyne* Aby’ego Warburga i katalogu wystawy zorganizowanej przez Fritza Saxla i Rudolfa Wittkowera *British Art and the Mediterranean* (1948 i 1969), ukazującej związki łączące sztukę brytyjską z antykami.

Jednym z najważniejszych aspektów studium *Antyk w dziejach sztuki polskiej* jest dobrze przemyślana terminologia, pozwalająca klarownie porządkować obraz recepcji antyku w naszym kraju, którego terytorium nigdy nie znalazło się niestety w granicach *limes Romanus*. „Brak materialnych pozostałości antyku – pisze Kalinowski – sprawiła, że własna tradycja antyku aż do schyłku XVIII w. nie istniała”. Możemy zatem w kontekście sztuki polskiej przed tym czasem mówić o „tematycznej interpretacji układów formalnych” (np. na Drzwiach Gnieźnieńskich), o „scenach apokryficzno-tematycznych” (*Filiis na Arystotelesie, Sąd Parysa jako wizja senna*), o „przerzutach artystycznych” (m.in. wykonana przez włoskich artystów dekoracja kaplicy Zygmunta w Rzymie) i wreszcie w XVII w. o „tradycji wymyślonej” (sarmatyzm). Wprowadzony podział na tradycję obiektywną i subiektywną tak jest definiowany: „Obiektywna tradycja sztuki, *sensu stricto* artystyczna, zakłada materialne istnienie dzieła sztuki jako przedmiotu przekazu. Natomiast tradycja artystyczna subiektywna polega jedynie na przekazywaniu formalnej (stylowej), tematycznej (ikonograficznej) i treściowej (ikonologicznej) warstwy dzieła sztuki, niezależnie od jego materialnego życia”.

W tym miejscu warto przytoczyć kolejne – tym razem już z konkluzji – fragmenty wypowiedzi prof. Kalinowskiego: „Wreszcie czasy Stanisława Augusta stworzyły podstawę do ukształtowania się rodzimej tradycji antyku. Nastąpiło podporządkowanie artystycznej twórczości normom opartym na bezpośrednim zetknięciu się z zachowanymi na ziemi Italii i przenoszonymi do Polski dziełami antycznymi. Jak swego czasu w renesansie zachodnioeuropejskim, tradycja ideowa antyku (temat i treść) połączyła się z tradycją materialną (motyw i forma). Dopiero teraz naśladowanie antyku doprowadziło do jego asymilacji [...]. Kontakt z materialną tradycją antyku dawał impuls sztuce opartej na wzorach antycznych, wpływając decydująco na sztukę polską w cechach uchodzących za rodzime. W taki sposób obiektywnie przyswojone dziedzictwo stało się przedmiotem subiektywnej tradycji”.

### Tworzenie rodzimej tradycji antyku

Już na długo przed elekcją w 1764 r. świetnie znający idee oświecenia przyszły król kolekcjonował dzieła sztuki i zdobywał cenne książki i ry-

ciny, których zgromadził bez mała 80 tysięcy. M.in. w 1762 r. otrzymał pierwsze tomy słynnej publikacji *Le antichità di Ercolano esposte*, zawierającej ogromny korpus rycin ukazujących malowidła odkryte w Pompejach, Herkulanum i Stabiach. Sprawa kolejnych tomów wspomnianego dzieła musiała pozostawać aktualna w następnych dekadach. Z Neapolu, w dniu 3 stycznia 1786 r., Moszyński tak pisał do króla: „Nie mam odpowiedzi WKM w sprawie zbiorów rycin z Herkulanum. Wiem z pewnością, że ostatnie są niedostępne, ponieważ obłożono je zakazem sprzedaży aż do sporządzenia objaśnień, z którymi – jak się przypuszcza – nikt tu sobie nie poradzi: z dziełem więc nic się nie dzieje i nie ukaże się przez 10 lat, ale przy pewnych staraniach, mimo wszelkich przeszkód, można pozyskać luźne plansze. Niewielka to sprawa, jeśli więc przed wyjazdem nie otrzymam odpowiedzi WKM, kupię je na swój rachunek”. Tak doszło do zakupu przeszło 40 kolorowych plansz ukazujących wybitne arcydzieła malarsstwa pompejańskiego, które po dotarciu do Warszawy zostały oprawione i opatrzone tytułem *Dessains enluminés des peintures trouvées à Herculanum*. Ten wielkiego formatu album, do niedawna zupełnie zapomniany, przetrwał do dziś w Gabinetie Rycin BUW, odegrał znaczną rolę w dyfuzji motywów antycznych w Warszawie; dostrzec je można m.in. w dekoracji przychółka pałacu Kazimierzowskiego (Apollo i muzy) i fasady Teatru Wielkiego (tancerki).

Moszyński posłany przez króla do Italii w 1785 r., by stworzyć wizję szkoły sztuk pięknych w Warszawie, kupował przede wszystkim ryciny, znacznie mniej kosztowne niż kolorowe plansze. O niezwyklej stosunku monarchy do gromadzonego pieczołowicie zbioru rycin pisze Julian Ursyn Niemcewicz. Odnotował on, że często, nawet gdy późno „powracał król do Zamku, rozebrałszy się, kazał sobie podawać tom jakiego kopersztychów, przeglądał je, aż go na koniec znajdowano z opartą na nich głową śpiącego”. W *Myślach względem założenia Muzeum Polonikum* Michała Jerzego Wandalina Mnieszka, napisanych na prośbę króla w 1775 r., mowa jest o „gromadzeniu opisów sławniejszych gabinetów, kopersztychów ich wyrażających zbiory, znaczących statuy wyobrażeń [które], choć gipsowe, za wizerunek równie służyć mogą, zachęca równie i wydoskonala sztuk wyzwolonych poznanie”.

W liście Raimonda Cocchiego do wielkiego księcia Toskanii Piotra Leopolda I czytamy, iż Stanisław August zwraca się z prośbą o wykonanie gipsowych kopii rzeźb antycznych, m.in. tzw. *Wenus Medycejskiej*, znajdujących się w słynnej Trybunie, czyli ośmiokątnej sali w Galerii Uffizi we Florencji. W sierpniu 1768 r. zapłacono za dostarczenie jedenastu gotowych odlewów do Warszawy. Istnieje przesłanka, że niemal w tym samym czasie odlewy gipsowe ofiarował Stanisławowi Augustowi również papież Klemens XIV.

Tak więc, idąc za wzorem innych monarchów europejskich, Stanisław August zgromadził własną kolekcję gipsów, należąca pod koniec jego panowania do najbardziej wartościowych w Europie. Pomagali mu w tym nie tylko Moszyński i Bacciarelli, ale również pracujący dla niego artyści, m.in. Jan Chrystian Kamsetzer. Podczas podróży rzymskiej w 1781 roku zajmował się on własnoręcznie wykonywaniem gipsowych odlewów zabytków antycznych – „z myślą, że będą mogły służyć za model rzeźmieśnikom, którzy nigdy nie widzieli niczego w dobrym guście, a również z zamiarem dania tym w kraju podstap przyszłym adeptom sztuki, królewskim wychowańcom, zanim ruszą w świat”.

Warto w tym miejscu przywołać list Augusta Fryderyka Moszyńskiego wysłany do króla z Rzymu w 1785 r.; pozwala on zrozumieć, jak ogromną wagę przywiązywano w kregu Stanisława Augusta do zbioru odlewów antycznych dzieł sztuki: „Chodziłoby jeszcze, Panie – pisze Moszyński – o dwa sprawunki. Papież zezwolił na kopiowanie figur i koni z Monte Cavallo. Byłyby zbyt dużą przesyłką, ale należałoby sprowadzić gipsy głów Kastora i Polluksa, z których jedna jest świetniejsza od drugiej. W życiu nie widziałem głów piękniejszych i lepiej modelowanych: obie stawiam na równi z głową Apollona [Belwederskiego]. Wasza Królewska Mość będzie zdumiona nie tylko ich pięknem, lecz również ich wielkością”.

### Moc i piękno antycznego wzoru

Ważniejsze spojrzenie na obrazy m.in. Marcella Bacciarellego, Franciszka Smuglewicza i Antoniego Brodowskiego nie pozostawiają wątpliwości co do wpływu rysunków *all'antica* i odlewów gipsowych na ich twórczość. W czasach, gdy królewskie odlewy gipsowe w latach 1809–1817 trafiły na Uniwersytet, w którego murach dbano o systematyczne powiększanie zbioru, takie inspirowanie się niedoścignionymi wzorami było na porządku dziennym. Zbiór ten, znakomicie ukazany na rycinie z epoki, umieszczono w pięknej i przestronnej Sali Kolumnowej, która jest jednocześnie sercem i symbolem antykizowania kultury polskiej. Wystarczy rzut oka na znany obraz Antoniego Brodowskiego *Gniew Saula na Dawida*, obecnie w Muzeum Narodowym w Warszawie, by dostrzec, że postać Dawida jest w oczywisty sposób wzorowana na słynnym *Apollu Belwederskim*, którego kopię nasz malarz studiował w Warszawie przed wyjazdem na studia do Paryża. Solidnej budowy sylwetka Dawida, uniesiona ręka (jednak w odbiciu lustrzanym – nie lewa, lecz prawa), ciężar ciała oparty na wysuniętej do przodu nodze, draperia płaszcza, a nawet loki stanowią wyraźne elementy wspólne obu dzieł.

Na antycznym wzorze oparta jest też poza Saula; tym razem wzoru dostarczył tzw. *Tors belwederski*, ukochane antyczne dzieło sztuki Michała Anioła. Nie było to jedyne twórcze nawiązanie do *Torso* w sztuce polskiej, jego kształty są czytelne również w obrazie Henryka Rodakowskiego – w jego prawdziwym arcydziele, jakim jest Portret Henryka Dembińskiego z 1852 r. O tym, że w Warszawie malowanie w oparciu o antyczne wzory stało się powszechne, świadczy płótno Henryka Pilotatiego *Rozejście się narodów*. Obraz ten, pełen cytatów ze sztuki antyku i renesansu, ukazuje m.in. postać wyraźnie przypominającą pozę słynnego *Umierającego Gala*; jedna z kopii do dziś zdobi Teatr na Wodzie w Łazienkach. Wszyscy studenci warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych znali odlewy gipsowe, studiowali je i podziwiali, co znakomicie uświadomiła przypadek Wojciecha Gersona, który świętując pięćdziesięciolecie swoich studiów w 1897 r., w pierwszej kolejności wspomina odlewy gipsowe, a dopiero później uroczyście obiad i zwiedzanie pracowni. Przykładów oddziaływania antycznych wzorów w polskiej kulturze artystycznej jest bardzo wiele; czekają na usystematyzowanie i gruntowne opracowanie.

### Mnemosyne, czyli potrzeba opracowania atlasu tradycji antyku w Polsce

Czy jest rzeczywiście możliwe opracowanie postulowanego przez Lecha Kalinowskiego „atlasu” recepcji antyku w dziejach sztuki polskiej, podobnego do *Mnemosyne* Aby’ego Warburga lub publikacji Fritza Saxla i Rudolfa Wittkowera *British Art and the Mediterranean*? Nie jest to sprawa prosta, skoro nie powstał do tej pory, mimo że pomysł został rzucony 30 lat temu. A przecież – gdyby został wydany także w wersji angielskiej – mógłby wprowadzić wiele naszych rodzimych zabytków do obiegu międzynarodowego. Zachęca do tego dzieło Czesława Miłosa – *The History of Polish Literature*, wydawane kilkakrotnie w USA i Wielkiej Brytanii od 1969 r. (od 1983 r. dostępne także po polsku) – które odegrało ogromną rolę w upowszechnieniu na całym świecie wiedzy o recepcji antyku w literaturze polskiej, mimo że ten wątek jest jednym z wielu podjętych przez naszego noblistę. Wystarczy pobeżna lektura monumentalnego, dwutomowego słownika-encyklopedii Jane Davidson Reid – *The Oxford Guide to Classical Mythology in the Arts, 1300–1990s* (1993), by przekonać się, jak wielu polskich pisarzy, poetów i dramaturgów, a wśród nich m.in. Kazimierz Brandys, Zbigniew Herbert, Jan Jurkowski, Stanisław Przybyszewski, Juliusz Słowacki, Samuel Twardowski, Kazimierz Wierzyński, Stanisław Wyspiański, Emil Zegadłowicz, związanych zostało na stałe z recepcją antyku w kontekście kultury ogólnoswiatowej. Z tych choćby powodów atlas tradycji antyku w sztuce polskiej powinien jak najszybciej powstać.

Autor jest uczniem prof. Lecha Kalinowskiego, twórcą wielu publikacji o recepcji antyku w sztuce włoskiej i polskiej, m.in. książek „Inspiracje śródziemnomorskie” (2001) i „Renaissance Weddings and the Antique” (2018).



# Konkurs Chopinowski ma prawie sto lat

Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina to jedna z najstarszych i najważniejszych imprez tego rodzaju na świecie. Konkurs wyjątkowy, poświęcony w całości twórczości jednego artysty – największego polskiego kompozytora, Fryderyka Chopina



**Aleksander LASKOWSKI**

Muzykolog i dziennikarz muzyczny. Rzecznik prasowy Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina

## Piękno Muzyki

Co pięć lat pianiści z całego świata przybywają do Warszawy, by walczyć o tytuł najlepszego chopinisty swojego pokolenia. Oczywiście udział w konkursie to nie-samowita próba nerwów, co jednak znacznie ważniejsze – to możliwość zaprezentowania swojego talentu milionom widzów z całego świata, wreszcie – wspaniała okazja, by rozpocząć oszałamiającą karierę o globalnym rozmachu.

Konkurs Chopinowski powołał do życia Jerzy Żurawlew, polski pianista urodzony w 1887 roku w Rostowie nad Donem. Do poświęcenia się zawodowo pianistyce miały go przekonać trzy zdarzenia – zauroczenie grą Ignacego Jana Paderewskiego, którego usłyszał w ósmym roku życia, fascynacja *Polonezem A-dur* Fryderyka Chopina oraz opinia Józefa Hoffmana, że posiada wybitny talent muzyczny. W 1907 roku Żurawlew przyjechał do Warszawy, gdzie podjął studia w Instytucie Muzycznym u Aleksandra Michałowskiego.

W 1922 roku, już po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, Żurawlew założył szkołę muzyczną w Białymstoku. Jak przyznawał, to właśnie wtedy zaczął myśleć o zorganizowaniu konkursu w całości poświęconego muzyce Chopina. „Wracałem z Białegostoku pociągiem. Pełno było młodzieży. Usłyszałem rozmowy: »Chopin to jest zło«, »roztkliwia duszę ludzką«, »to jest sentymentalizm, którego nie da się pogodzić z dzisiejszym światem«, »trzeba go wycofać z programu konserwatorium«. »No ładne rzeczy. Jak temu zapobiec?« – zastanawiałem się. Pomyślałem, że skoro szaloną popularnością cieszą się wszelkiego rodzaju zawody sportowe, to może właściwą formą będzie konkurs» – opowiadał po latach. Wkrótce potem – w roku 1925 – z jego inicjatywy rozpoczęły się starania o zorganizowanie międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego. Pierwsza edycja konkursu odbyła się w 1927 roku w pięknym gmachu Filharmonii Warszawskiej.

Do udziału w konkursowych szrankach stanęło 26 pianistów z ośmiu krajów. Wśród nich był reprezentujący Związek Radziecki dwudziestolatek Dymitr Szostakowicz, który zresztą żadnej nagrody nie zdobył. Zwyciężył inny pianista radziecki, Lew Oborin, a miejsca drugie i trzecie przypadły reprezentantom Polski – Stanisławowi Szpinalskiemu i Róży Etkin-Moszkowskiej. Uczestnicy konkursu ćwiczyli w prywatnych domach zamożnych warszawiaków, jako że organizatorzy pierwszej edycji nie pomyśleli o tym, by zapewnić odpowiednią liczbę sal do ćwiczeń. To niedopatrzenie nigdy się już nie powtórzyło.

Druga edycja konkursu odbyła się w 1932 roku. Jednym z jurorów był wielki polski kompozytor Karol Szymanowski, a honorowym gościem jury był specjalnie na tę okazję przybyły z Francji Maurice Ravel. W drugim konkursie zwyciężył 21-jednolatek emigrant rosyjski z Paryża, Aleksander Uniński.

Ostatnia przedwojenna edycja Konkursu Chopinowskiego odbyła się w 1937 roku. Wówczas po raz pierwszy wśród uczestników pojawili się Japończycy – dziś tak dobrze znani ze swej miłości do Fryderyka Chopina – i wzbudziła sensację. Pierwszą nagrodę otrzymał Jakow Zak ze Związku Radzieckiego. Polski pianista Witold Małcużyński zajął trzecie miejsce. Dla niego szczęśliwe – konkurs okazał się bowiem początkiem jego wspaniałej kariery.

II wojna światowa spowodowała długą, dwunastoletnią przerwę pomiędzy konkursami. Wskutek działań wojennych Warszawa została niemal całkowicie zniszczona przez Niemców. Zniszczony został budynek Warszawskiej Filharmonii. Zginęło bądź wyemigrowało wielu polskich pianistów i pedagogów.

Pierwszy powojenny konkurs odbył się w roku 1949, kiedy cały świat obchodził stulecie śmierci Fryderyka Chopina. Przesłuchania czwartego konkursu odbywały się w popularnym teatrze Roma, który ocalał z wojennej pożogi. Pierwszą nagrodę ex aequo otrzymały Halina Czerny-Stefańska z Polski i Bella Dawidowicz z ZSRR.

W roku 1955 zainaugurowana została nowa siedziba Filharmonii Narodowej, którą zbudowano w miejsce tej częściowo zburzonej podczas wojny. Piąta edycja konkursu – podobnie jak wszystkie kolejne – odbyła się właśnie tam. Zwyciężył polski pianista Adam Harasiewicz. Drugie miejsce zajął Władimir Askenazy z ZSRR, trzecie Chińczyk Fou Ts'ong. Konkurs w 1955 roku był nie tylko wielkim wydarzeniem artystycznym, ale i towarzyskim – w trakcie przesłuchań obecna była m.in. kochająca muzykę królowa Belgii Elżbieta.

Szosta edycja konkursu odbyła się w roku 1960, w Roku Chopina, zorganizowanym pod patronatem UNESCO z okazji 150. rocznicy urodzin kompozytora. Tego roku jury było najliczniejsze w historii; w jego skład weszło aż 36 osób, w tym Nadia Boulanger i Witold Małcużyński, a także Artur Rubinstejn jako członek honorowy. Szósty konkurs okazał się szczęśliwy dla Włoch – zwyciężył bardzo młody, zaledwie osiemnastoletni Maurizio Pollini.

Kolejna, siódma edycja konkursu w 1965 roku miała nietypowy początek, ponieważ na inaugurację wykonane zostały dzieła polskich kompozytorów współczesnych – Kazimierza Serockiego, Witolda Szalanka, Tadeusza Bairda, a także Karola Szymanowskiego. Po raz trzeci w historii konkursu zatriumfowała kobieta – pochodząca z Argentyny Martha Argerich, która o mały włos nie wypadła z konkursu, gdyż próbowała uciec z filharmonii tuż przed swoim pierwszym występem.

W ósmej edycji konkursu w roku 1970 zwyciężył Garrick Ohlsson z USA, drugą nagrodę otrzymała Mitsuko Uchida z Japonii, trzecią otrzymał Polak Piotr Paleczny.

W 1975 roku polska publiczność tłumnie przychodziła kibicować reprezentantowi Polski, którym był Krystian Zimerman. Publiczność się nie zawiodła – Zimerman w dziewiątym konkursie zdobył pierwsze miejsce i niemal wszystkie nagrody dodatkowe.

Kolejny konkurs odbywał się w 1980 roku, w atmosferze wzmożonego napięcia politycznego. W Polsce był to czas Solidarności i wiel-

kich nadziei na upadek komunizmu. W zmaganiach konkursowych ostatecznie zwyciężył Dang Thai Son z Wietnamu, który podczas finału po raz pierwszy w życiu wystąpił z orkiestrą symfoniczną. Dang Thai Son otrzymał też – ex aequo z Ewą Pobłocką – nagrodę za najlepsze wykonanie mazurków oraz, ex aequo z Tatianą Szabanową, nagrody za najlepsze wykonanie poloneza oraz koncertu. Wielki skandal wywołał fakt, że do finału konkursu nie został dopuszczony Ivo Pogorelić. Na znak protestu Martha Argerich opuściła jury.

W roku 1985 w jedenastym konkursie zwyciężył Stanisław Bunin z ZSRR. W 1990 roku, w dwunastym konkursie, nie przyznano pierwszej nagrody. Drugą otrzymał Kevin Kenner z USA. Konkurs odwiedziły aż dwie koronowane głowy – królowa hiszpańska Sofia i Fabiola, królowa Belgii.

W roku 1995 ponownie – ku wielkiemu rozczarowaniu publiczności i uczestników konkursu – nie przyznano pierwszej nagrody. Drugą nagrodę ex aequo otrzymali Philippe Giusiano z Francji i Aleksiej Sułtanow z Rosji.

W XIV edycji konkursu w roku 2000 zwyciężył Chińczyk Li Yundi, który z dnia na dzień stał się bohaterem narodowym w swojej ojczyźnie.

Pięć lat później bohaterem w swojej ojczyźnie został polski pianista Rafał Blechacz. On też – podobnie jak niegdyś Krystian Zimerman – otrzymał niemal wszystkie nagrody specjalne.

Szesnasta edycja konkursu odbywała się w roku 2010, kiedy cały świat świętował dwusetną rocznicę urodzin Fryderyka Chopina. Była to pierwsza edycja konkursu organizowana przez Narodowy Instytut Fryderyka Chopina. Młodzi pianiści szukali natchnienia m.in. w nowo otwartym Muzeum Fryderyka Chopina i pięknym parku otaczającym Dom Urodzenia Fryderyka Chopina w Żelazowej Woli. Laureaci rocznicowego konkursu to: Danił Trifonow, Ingolf Wunder, Lukas Geniušas i zdobywczyni złotego medalu Julianna Awdijewa.

Siedemnasta edycja konkursu w roku 2015 była pilnie obserwowana przez media z całego świata. Rekordowa liczba widzów śledziła zmagania konkursowe w telewizji, radiu i – przede wszystkim – w internecie; w sumie ponad 31 000 000 odbiorców. Zwyciężył Koreańczyk Cho Seong-jin.

Medialne rekordy z 2015 roku zostały pobite 6 lat później, podczas osiemnastego Konkursu Chopinowskiego. Miał on szczególny charakter, gdyż ze względu na pandemię koronawirusa został przełożony o rok. Niemal do ostatniej chwili nie było wiadomo, czy stałe zmieniające się restrykcje sanitarne pozwolą na przyjazd uczestników z zagranicy. Niewiadomą pozostawała także kwestia obecności publiczności podczas przesłuchań. Słuchacze czekali w napięciu, wierząc, że będą mogli skorzystać z trudem zdobytych biletów – wszystkie miejsca na konkurs wyprzedali się w zaledwie kilkanaście minut! Osiemnasty Konkurs Chopinowski zapamiętamy jednak nie ze względu na pandemię, lecz wspaniałą atmosferę i wysoki poziom artystyczny. Z tego powodu do każdego etapu jury dopuszczano większą liczbę pianistów, niż pierwotnie zakładano. Ostatecznie na podium stanęli: Martin García García – trzecie miejsce; Kyohei Sorita i Alexander Gadjev – drugie miejsce ex aequo; Bruce Liu, który zdobył pierwszą nagrodę, złoty medal i miliony wielbicieli na całym świecie.

Dziewiętnasta edycja odbędzie się w październiku 2025 roku i zbiegnie się z inauguracją obchodów stulecia konkursu.

## Piękno Muzyki – 25 najchętniej czytanych tekstów

1. **Koji SHIMODA**  
Japońska miłość do Chopina
2. **Jed DISTLER**  
Polski geniusz
3. **Yves HENRY**  
Chopin w Nohant
4. **Stuart ISACOFF**  
Konkurs stwarzający Artystę
5. **Artur SZKLENER**  
Fryderyk Chopin – poeta polskiej wolności
6. **Haruka KOSAKA**  
Japonia w Chopinie zakochana
7. **Bernard PIVOT**  
Fryderyk Chopin i literatura
8. **Jan ROKITA**  
My – muzyczni melancholicy
9. **Viola D'AMBROSIO**  
Fryderyk Chopin i Rzym
10. **Stanisław LESZCZYŃSKI**  
Czy grać na fortepianie Chopina?
11. **Patrick JOVELL**  
Szwedzki taniec ludowy, Chopin i królewski smak
12. **John ALLISON**  
Mój Moniuszko
13. **Prof. Grzegorz MICHALSKI**  
Przed nami stulecie Konkursu Chopinowskiego
14. **Rachel Naomi KUDO**  
Fryderyk Chopin – poeta nieśmiertelny
15. **Prof. Benjamin VOGEL**  
Na jakich fortepianach grał Fryderyk Chopin?
16. **Alessandro TOMMASI**  
Historia nieodwzajemnionej miłości
17. **Christoph WELLNER**  
Chopin w Wiedniu
18. **Prof. Lisa McCORMICK**  
Igrzyska Chopinowskie
19. **Andrzej USTINOV**  
Polska dusza w Rosji
20. **Prof. Zofia CHECHLIŃSKA**  
Z czego grać Chopina?
21. **Dita HRADECKÁ**  
Chopin w Czechach. Jest tak trochę również nasz
22. **Shirley APTHORP**  
Konkurs twórczego napięcia
23. **Roberto PROSEDA**  
Włoskie „przywłaszczania” Chopina
24. **Prof. Mieczysław TOMASZEWSKI**  
Próba zdekodowania muzyki Fryderyka Chopina
25. **Gavin DIXON**  
Chopin na Wyspach

[www.PieknoMuzyki.pl](http://www.PieknoMuzyki.pl)

reklama



NARODOWY  
INSTYTUT  
FRYDERYKA  
CHOPINA

Dofinansowano ze środków  
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego



Dziedzictwo  
Muzyki Polskiej



## Polityka jest kobietą

Polityka opiera się na założeniu wielości ludzkiej i by mogła stać się szlachetną i wiarygodną, powinna bazować na ludziach, a nie na teorii człowieka. Polityka, która uwzględnia perspektywę kobiecą, nie może przyjąć innego założenia. Jesteśmy różne. Nie ma „Polki jednego wzoru”, dlatego dyskurs o kobietach w przestrzeni publicznej musi uwzględniać wielość perspektyw. U progu drugiego ćwierćwiecza XXI wieku kobiety przesądzą o wynikach wyborów w Polsce, a nasz gwałtowny awans edukacyjny jest przyczynkiem do wielu sukcesów, ale i rozdarcia społecznego. Dziś kobiety i mężczyźni niebezpiecznie oddalają się od siebie. Czas zatem na politykę uwzględniającą dwie półkule. W przeciwnym razie pęknięcie wspólnoty może być na długo nieodwracalne.

O wyniku niedawnych wyborów parlamentarnych przesądziły kobiety. Więcej kobiet niż mężczyzn głosowało, więcej też wybrało przedstawicieli z rządzącej dziś koalicji. Jesienią 2023 r. także udział kobiet na listach wyborczych do Sejmu był najwyższy w historii. Kobiety stanowiły 43,8 proc. wśród kandydujących. Przed nami cykl wyborczy – od wyborów samorządowych, poprzez europejskie, po prezydenckie – gdzie zapewne zarówno agenda kobieca, jak i czynny udział kobiet będą miały ogromne znaczenie w ostatecznym kształcie polityki publicznych.

Jednocześnie żyjemy w czasie niepokoju. Tuż za granicami trwa wojna, a rozwiązywanie problemów na drodze otwartego konfliktu zbrojnego stało się znowu sposobem ustalania porządku międzynarodowego. Można by powiedzieć – wiek męski nadchodzi ponownie, bo wojna nie kojarzy się z kobietą.

Tymczasem przez ostatnie trzy dekady krzyżaliśmy się „geopolitycznej drzemki” w naszej części świata. Przyniosły nam pokój i dynamiczny rozwój ekonomiczny. W tym czasie zaszło w Polsce wiele zmian, które znacząco wpłynęły na różnice w przebiegu życia kobiet i mężczyzn, a w konsekwencji na indywidualne i polityczne relacje między płciami. Niewątpliwie najważniejszą z nich jest awans edukacyjny kobiet, którego skutkiem są ogromne pogłębiające się różnice w formalnym wykształceniu i umiejętnościach. Dziś w Polsce na 10 mężczyzn z wyższym wykształceniem przypada niemal 16 kobiet. Jeszcze bardziej zaskakująco wygląda sytuacja z umiejętnościami podstawowymi, jak czytanie – aż co piąty nastolatek i tylko co dziesiąta nastolatka nie potrafią czytać. Nie jest zatem bezzasadna teza, że dziś bardziej niż kiedykolwiek w historii perspektywy kobieca i męska oddaliły się od siebie. Sytuacja „kobiet sukcesu” z dużych korpo, które nie założyły rodzin może wynikać nie tylko z ich wyboru strategii życiowej, ale także po części może być konsekwencją postępującego oddalenia się między kobietami i mężczyznami.

Żyjemy w czasach, w których dominuje dążenie do totalnej emancypacji. Rewolucja płci jest jednym z jej przejawów. Szybka zmiana ról społecznych i relacji między płciami to znak naszych czasów. Cel być może zasadny, bo częściowe porzucenie tradycyjnych ról dało nam, kobietom, szansę na awans społeczny poprzez wejście na rynek pracy lub wybranie „męskich” niegdyś ścieżek kariery. Nie towarzyszyła temu jednak gotowość do wejścia

# Polka 2024. Czas na nową strategię

U progu drugiego ćwierćwiecza XXI wieku kobiety przesądzą o wynikach wyborów w Polsce, a nasz gwałtowny awans edukacyjny jest przyczynkiem do wielu sukcesów, ale i rozdarcia społecznego

mężczyzn w role tradycyjnie przypisywane kobietom. Dyskurs emancypacyjny – nawet jeśli słuszny – pozbawiony męskiej perspektywy stworzył podstawy do niebezpiecznego z punktu widzenia społecznego konfliktu płci, podsyconego dodatkowo przez partie polityczne.

W dyskursie *gender* słowo „tradycja” zostało napiętnowane. Stary świat jest z gruntu zły, a ludzie żyli w nienormalnych warunkach, które należy zmienić. Są więc bunt i agresja, i kompulsywna wola totalnego zerwania, gdyż poprzednia sytuacja zaczęła być odczuwana jako głęboko niesprawiedliwa. I jest jeszcze niecierpliwość dążąca do osiągnięcia natychmiastowego efektu i stworzenia doskonałego świata. Cele te oczywiście można osiągnąć poprzez zmiany prawa – choćby takie, jak parytet, który ma skompensować niedobór kobiet w takim czy innym obszarze aktywności społecznej czy zawodowej. Równa godność kobiet i mężczyzn ma stać się w ten sposób widoczna. Rewersem takiego podejścia jest jednak karykatura. Nerwowe poszukiwania kobiety „na sztukę” zarówno w procesach rekrutacyjnych w korporacjach, jak i – co najsilniej widoczne – na listach wyborczych prowadzi de facto do pozbawiania godności. Na liście ma zgadzać się liczba. O poprawności genderowej czy nowoczesności partii ma świadczyć liczba kobiet na listach. Przystajemy zatem konkurować jakością, kompetencjami i umiejętnościami. Jesteśmy potrzebne do spełnienia parytetu.

Jeśli odzyskiwanie podmiotowości przez kobiety – niewątpliwie sukces ruchów emancypacyjnych, mocno zakorzenionych w Polsce od XIX wieku – miał służyć dokonaniu świadomego wyboru własnej ścieżki rozwoju – to przecież nie może oznaczać rozwoju według jedynego wzoru. Nestorka polskiego feminizmu – Narcyza Żmichowska – zakładała różne ścieżki rozwoju kobiet i tak przygotowywała program swoich szkół w XIX wieku! Wiedza miała być potrzebna kobietom przede wszystkim po to, aby mogły podejmować w życiu świadome decyzje i wybierać także różne formy działalności społecznej – publicznej, naukowej, ale też i zwykłej funkcje żony i matki. Celem miała być samodzielność, ale nie samotność. Najnowsze strategii polityczne dotyczące równości płci – choćby takie jak *Unia równości. Strategia na rzecz równouprawnienia płci na lata 2020–2025* Komisji Europejskiej – koncentrując się na dyskryminacji kobiet, pomijają zupełnie nowe nierówności. W strategiach tych celem jest samorealizacja. Instytucje i prawo mają służyć temu, abyśmy mogły się spełnić, zrealizować, jak najwięcej osiągnąć i kontrolować wszystko, co się dzieje, w sposób maksymalnie niezależny od innych. Szybko jednak okazuje się, że jest to strategia skazująca na samotność. Być może ponad podziałami politycznymi kobiety powinny zacząć mówić o podmiotowości – nie o samorealizacji. Podmiotowość jako zdolność do określenia siebie wobec wspólnoty, widzenia siebie w kontekście, a nie poza nim, daje realną perspektywę wyzwań, przed jakimi stoimy. Świat bez kontekstu nie istnieje.

Dyskusje o politykach publicznych dotyczących kobiet wywołują ogromne emocje, kiedy rozmawiamy o sprawach wartości, życia, pojmowaniu wedle statystyk Eurostatu z 2023 roku 4,5 proc., to jednak mało kto mówi o skorygowanych danych, które nie przedstawiają się już tak kolorowo. Skorygowana różnica w wynagrodzeniach między kobietami a mężczyznami w Polsce wynosi 10,4 proc., przy unijnej średniej ok. 11 proc. A im wyższe stanowiska, tym rozbieżności w wynagrodzeniach większe. Tam różnice sięgają 40 proc. O tyle więcej zarabiają mężczyźni z wyższym wykształceniem w porównaniu z kobietami z dyplomem wyższej uczelni. To ponad 2500 zł różnicy w miesięcznych płacach. A zatem postulat równej płacy za tę samą pracę jest dziś zadaniem numer jeden dla większości parlamentarnej w agendzie kobiecej. A rzecznikami jego realizacji mogłyby

stać się posłanki ze wszystkich ugrupowań politycznych.

Drugim wątkiem nierozwiązanym w żaden sposób w polskim systemie prawa jest niewidzialna praca kobiet. Kobiety zajmujące się domem wykonują nawet 25 różnych zawodów i średnio zajmuje im to 22 godziny tygodniowo w porównaniu z 9 godzinami przypadającymi na statystycznego mężczyznę. Obciążenie pracą w domu jest szczególnie duże wśród kobiet wychowujących dzieci do lat sześciu – tygodniowo poświęcają one prawie 49 godzin na pracę na rzecz swojej rodziny. A gdybyśmy mieli policzyć pracę w domu wszystkich Polek i Polaków, to odpowiada ona za aż 30 proc. PKB.

Główny Urząd Statystyczny w 2013 roku – a są to ostatnie dane – wycenił tę niewidzialną pracę na ponad 2100 zł miesięcznie. Niewidzialna praca mężczyzn wyceniona została na 1,2 tys. zł. Uwzględniając to, że ówczesna mediana zarobków była odpowiednio niższa niż teraz – było ok. 2,6 tys. zł netto – wartość niewidzialnej pracy kobiety była więc bliska medianie. W 2023 roku mediana wynagrodzeń osób pracujących w Polsce wyniosła 7144 zł brutto. By odzwierciedlić zatem pracę domową kobiet w systemie wynagrodzeń, kobieta powinna otrzymywać za nią ok. 5 tys. zł „na rękę”.

Tymczasem w Polsce świadczenie pielęgnacyjne nie wlicza się nawet do stażu pracy, bo opieka nad osobą niesamodzielną nie jest pracą! Choć żyjemy dłużej, nasz okres składkowy jest radykalnie krótszy, ponieważ domowa opieka nad dziećmi czy zajmowanie się domem nie są uznawane za pełnowartościową pracę.

Państwo powinno działać na rzecz tworzenia warunków zapewniających możliwość godzenia pracy zawodowej i rodzicielstwa – jeśli taka jest wola i pragnienie rodziców. Powinno także otaczać samotnego rodzica lub rodzica dziecka z niepełnosprawnością szczególną opieką i wsparciem finansowym. Każdy rodzic ma prawo do wyboru, czy będzie realizował się w domu, czy podejmować pracę zarobkową. Trzeba szukać rozwiązań zmniejszających konsekwencje tych wyborów, by nie oznaczały one rezygnacji z pracy i opadnięcia w biedę nie tylko w okresie produkcyjnym, lecz także na emeryturze. Zaczniemy zatem od dowartościowania domowej pracy kobiet i wliczmy ją do stażu pracy.

Trzecim obszarem potencjalnego porozumienia ponad podziałami politycznymi jest aktywizacja zawodowa kobiet wchodzących ponownie na rynek pracy w wieku dojrzałym. Dziś, jak pokazują badania, są to kandydatki do pracy „drugiej kategorii”. Warto przygotować system zachęt dla pracodawców, aby zechcieli sięgnąć po ich potencjał, niewykorzystany w pełni na rynku. W katalogu rozwiązań do wykorzystania od zaraz jest zrównanie obciążeń składkowych dla pracodawcy zatrudniającego dwie osoby na pół etatu zamiast jednej na pełnym etacie. Dziś pracodawcy nie opłaca się zatrudnić kilku pracowników w niepełnym wymiarze czasu pracy, ponieważ jego obciążenie składkowe w takim przypadku rośnie. Pół etatu zamiast etatu to z kolei często doskonałe rozwiązanie dla kobiet, które wchodzi na rynek pracy po dłuższym okresie zajmowania się domem. Zachęta obniżonej składki jest rozwiązaniem niskokosztowym z perspektywy budżetu państwa, a mogłaby wpłynąć na perspektywę zatrudnienia kobiet po 40. roku życia.

I wreszcie czwarty element z obszaru prawa pracy, który powinien zyskać ponadpartyjne porozumienie, to ograniczenie umów na czas określony z 36 do 15 miesięcy. Jak pokazują badania zrealizowane na zlecenie Giełdy Papierów Wartościowych, niemal wszystkie firmy stosują ten maksymalny okres bez żadnego biznesowego uzasadnienia. Tylko dlatego, że prawo na to pozwala. Niepewność zatrudnienia jest szczególnie dotkliwa i dyskryminująca. Brak umowy o pracę na czas nieokreślony to także czynnik ograniczający możliwości uzyskania kredytu na mieszkanie. Powinniśmy to zmienić, budując podstawy prawne do większego zaufania wobec pracownika. Po 15 miesiącach pracodawca powinien podpisać umowę na czas nieokreślony. Byłoby to nieocenione wsparcie stabilizacyjne dla kobiet.

Debata na temat współczesnej kobiecości w Polsce rozpięta jest między dwoma wzajemnie zwalczającymi się stereotypami – „egoistyczną karierowiczką” i „leniwą kurą domową”. Każdy z nich jest powierzchowny i nieprawdziwy. Walcząc o równouprawnienie warto się

zastanowić, czy pozbawiając kobiety możliwości podjęcia decyzji o wyborze swojej strategii zawodowej, nie traktujemy przedmiotowo tych, które podejmują inną.

Badania potwierdzają to, co tak naprawdę od dawna wiemy intuicyjnie. Nie ma jednego modelu kobiecości. Współczesnej Polki nie da się opisać według jednego wzoru. Każda z nich jest inna, ma inne potrzeby i wyznaje różne wartości. Dlatego narzucanie jednego modelu aktywności zawodowej jest nie tylko błędem, ale przejawem dyskryminacji. Państwo powinno kierować się rozwijaniem różnorodnych mechanizmów wspierających kobiety. Zarówno te, które chcą dzielić obowiązki domowe z pracą zawodową, jak i te, które decydują się pozostać w domu i pracować na rzecz rodziny.

W wybranym 15 października 2023 r. Sejmie zasiada 136 posłanek. To rekord – niemal 30 proc. miejsc niższej izby. Rekordowa będzie również liczba kobiet kandydujących w zbliżających się wyborach samorządowych. Mamy zatem wyjątkową okazję, by zaproponować nową debatę o kwestiach kobiecych.

**Nerwowe poszukiwania kobiety „na sztukę” zarówno w procesach rekrutacyjnych w korporacjach, jak i – co najsilniej widoczne – na listach wyborczych prowadzi de facto do pozbawiania godności. Jesteśmy potrzebne do spełnienia wymagań parytetu**

która mogłaby stać się inspiracją także dla europejskich polityk publicznych. Czas napisać nowe strategii, które nie mogą wychodzić z założenia o dyskryminacji kobiet. Jeśli takie założenie przyjmują, to odpowiedzią stają się „akcje afirmatywne”, które – jak pokazują doświadczenia – przynoszą katastrofalne efekty społeczne. Kobiety nie są mniejszością etniczną, która wymaga rezerwatu. Współtworzą rzeczywistość – będąc nie tylko statystycznie jej ponad pięćdziesięcioprocentową częścią – dlatego biorą za nią odpowiedzialność. Dyskusja o prawach kobiet jest w istocie dyskusją o kondycji współczesnej Polski, a tę wspólnotę tworzymy, dziedziczymy i przekazujemy dalej razem. Dyskurs nie może odbywać się tylko w obrębie pokoju z napisem: „tylko dla kobiet”, jeśli jego celem jest rzeczywiste rozwiązanie problemów. W przeciwnym razie nierówności, napięcia i różnice będą się tylko pogłębiać. Coraz silniejsza polaryzacja wartości, idei, stylu życia utrudniać będzie budowanie relacji między kobietami i mężczyznami. I takie podejście mogłoby stać się polskim wkładem do nowej europejskiej strategii – już nie na rzecz równouprawnienia płci, ale spójności społecznej.

Próbą zbudowania forum dla takiej debaty jest projekt „Polka XXI wieku”, realizowany przez Fundację Projekt PL, który zainicjowałam trzy lata temu. Jest to forum, na którym rozmawiamy o sprawach ważnych z perspektywy kobiet. Ponad podziałami politycznymi i bez zaciekości. Dlatego tematami są bezpieczeństwo, gospodarka, zdrowie, edukacja, kultura, a głos przerywają tam wybitne ekspertki zajmujące się daną problematyką.

Polityka rodzi się w przestrzeni znajdującej się między ludźmi, czymś zewnętrznym dla człowieka. To wspólna przestrzeń, wpisana w historię, która trwała przed nami i będzie trwała po nas. Tymczasowość naszego włączenia się w strumień historii zmusza nas do pokory. Człowiek nie może kształtować historii, nigdy do końca nie wie, co robi jako część historii i świata. Pomysł zmieniania historii i budowania przyszłości był iluzoryczny, co pokazało doświadczenie totalitaryzmów XX wieku. W debacie o sprawie kobiet takiego spojrzenia wspólnotowego dziś mocno brakuje. Na pewno złotym środkiem nie jest pigułka „dzień po”. W czasie pogłębiających się podziałów, erze geopolitycznie niepewnej – debata kobiet aktywnych publicznie i społecznie – choć spod różnych ideowych sztandarów – może zbudować nową jakość. Dziś może bardziej niż kiedykolwiek wcześniej potrzebujemy odwagi i świadectwa kobiet, które bez kompromisów opowiadają się po stronie zdrowego rozsądku.

